

# CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



**1-2**  
(102-103) 2021

---

**Stanisław Dziedzic** o wołyńskich Atenach ♦ **Aleksandra Ziółkowska-Boehm** o rodzinie Wartanowiczów ♦ **Anna Stengl** o prof. **Wacławie Szybalskim** ♦ **Marek Koprowski** o napadzie OUN UPA w Gródku Jagiellońskim ♦ **Poezja Stanisława Srokowskiego**

---

---

## Został w naszej pamięci

Z grona Rady Programowej „Cracovia–Leopolis”, z naszego zespołu redakcyjnego śmierć zabrała śp. dra Stanisława Dziedzica – twórcę i dyrektora Biblioteki Kraków. Odszedł 8 kwietnia – w dniu rocznicy pogrzebu św. Jana Pawła II, co zauważył w homilii wygłoszonej w czasie pogrzebu ks. prof. Robert Tyrała. To skojarzenie nie jest bez znaczenia. Ostatnio Stanisław Dziedzic pracował – w szacownym zespole pod kierunkiem prof. Jacka Popiela rektora UJ – nad twórczością literacką młodego Karola Wojtyły, a efekty tych badań to *Jan Paweł II – Karol Wojtyła. Dzieła literackie i teatralne. Tom I. Juwenilia (1938–1946)* i *Tom II. Utwory poetyckie (1946–2003)*. Nie doczekał tomu trzeciego...

Dla nas Jego postać to teksty poświęcone Kresom; szczególnie ukochał Lwów, ale i w Wilnie czuł się jak w ukochanym Krakowie. W tym numerze kwartalnika przeczytamy tekst o Krzemieńcu, który Stanisław Dziedzic od lat systematycznie odwiedzał we wrześniu, aktywnie uczestnicząc w „Dialogu dwóch kultur”, sesji naukowej organizowanej przez Urszulę i Mariusza Olbromskich. Na redakcyjne opracowanie (to zadanie dra Pawła Brzegowego) czeka książka *Kresy wciąż bliskie*, która miała być pierwszym tomem trójksięgu kresowego autorstwa Stanisława Dziedzica.

Wciąż nie wierzę w to, że Go już nie ma. Od kilku tygodni milczy Jego telefon. Nie usłyszę już sakramentalnego pytania rozpoczynającego nasze telefoniczne rozmowy: *To nad czym teraz pracujesz?* Nie pojedziemy już do Lwowa, Krzemieńca, Berdyczowa i gdzie tam by nas jeszcze wiedza Stanisława Dziedzica poniosła...

21 marca, w Światowy Dzień Poezji, odszedł też poeta, eseista, prozaik, rodem ze Lwowa – śp. Adam Zagajewski, którego nie tak dawno gościliśmy z kresowymi wierszami na naszych łamach.

Pisze w wierszu *Przedwiośnie 2021*, poświęconym pamięci Stanisława Dziedzica i Adama Zagajewskiego, poeta Józef Baran:

co krok  
urywa się  
za losem los  
jak spadające gwiazdy  
ni w pięć ni w dziewięćdziesiąt pięć...

To wszystko tak niewiarygodne... Nasz świat pustoszeje ...

Pierwszy w 2021 roku, znowu podwójny, numer „Cracovia–Leopolis” miał być świąteczny. Nie udało się. Covid wtrącił swe trzy grosze, ale nie jest tragicznie, skoro czytają Państwo te słowa... Z tej wielkanocnej atmosfery pozostają tylko wiersze pani Stanisławy Nowosad. I życzenia od nas – dużo zdrowia i odporności na wszelkiej maści wirusy!

Janusz M. Paluch

---

# W intencji Obrońców Lwowa

Tradycyjnie 22 listopada spotykamy się w Bazylice Mariackiej w Krakowie na mszy św. odprawianej za Obrońców Lwowa. W roku 2020 ten dzień wypadł w niedzielę i niby było tak jak w zeszłych latach, ale jednak zupełnie inaczej. „Normy” koronawirusowe dopuszczają w kościele Mariackim obecność ok. 150 osób. I pewnie tyle też ich było, nie sprawiało to jednak wrażenia tłumów. Nie było pocztów sztandarowych ze szkół (w roku poprzednim było ich 19) ani młodzieży, nie było harcerzy, nie było chóru z Nowodwórka (I Liceum w Krakowie), który od lat uświetniał swoim śpiewem sprawowaną Eucharystię. Był tylko jeden sztandar: Światowego Związku Żołnierzy AK Obszaru Lwowskiego, dzielnie trzymany przez, również związanego z naszym TML-owskim środowiskiem, Kaspra Bednarka. Czy ta msza była więc w jakiś sposób gorsza, uboższa? Oczywiście nie, bo jej intencją była przecież nasza pamięć i modlitwa za tych, którzy swoje życie oddali za

wolną Ojczyznę i polskość Lwowa – miasta *Semper Fidelis*. I takie były nasze odczucia – głębokiego wzruszenia i wdzięczności za możliwość takiej modlitwy. Mszę odprawił i homilię wygłosił ks. infułat Bronisław Fidelus (drukujemy ją poniżej), długoletni (1995–2011) archiprezbiter Bazyliki Mariackiej, a muzycznie oprowadził organista bazyliki, p. Zygmunt Kokoszka, niewielka grupka niezawodnych „Promyków Krakowa” z ich muzyczną mentorką, a naszą przyjaciółką Romą Krzemień oraz nasza druga przyjaciółka – Jaga Wrońska, która niezmiennie wrzusza nas swoim wykonaniem *Madonny Łyczakowskiej* i *Ślicznej Gwiazdy Miasta Lwowa*. Jak co roku wielką pomocą byli dla nas: niezawodny i zawsze bardzo nam przyjazny i życzliwy ks. archiprezbiter Dariusz Raś oraz „zatrudnieni” w parafii pan kościelny, siostry z kancelarii i służba porządkowa. Wszystkim im z całego naszego wdzięcznego serca dziękujemy. Bóg zapłać!

*Anna Madej*

---

**Ks. infułat Bronisław Fidelus**

## *Tylko mi Ciebie, Lwowie...\**

*O mamo, otrzyj oczy,  
z uśmiechem do mnie mów,  
ta krew, co z piersi broczy,  
ta krew to za nasz Lwów!  
Ja biłem się tak samo  
jak starsi, mamo chwal!  
Tylko mi ciebie, mamo,  
tylko mi Polski żal!*

Ten wiersz Artura Oppmana pod tytułem *Orlątko* towarzyszy nam jako memento, kiedy celebруем ofiarę Jezusa Chrystusa w kościele Mariackim. Myślmy o daninie krwi Orląt Lwowskich i wszystkich obrońców tego wiernego miasta po 102 latach.

Modlimy się za ich dusze wraz ze Światowym Związkiem Żołnierzy Armii Krajowej, środowiskiem żołnierzy AK Obszaru Lwowskiego im. Orląt Lwowskich w Krakowie, Towarzystwem Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Oddział Kraków. Winniśmy dziś wpatrywać się w oblicze Chrystusa Pana z krzyża. Wówczas, tylko wówczas, rozpoznajemy dobrze przyczyny ofiarowania życia przez ludzi, w tym bardzo młodych, za miasto, za Ojczyznę Polskę i w obronie tożsamości, bo obrona Lwowa była przecież krzyżową i krwawą drogą do wolności. Otóż kiedy władze zaborcze Austro-Węgier pozwoliły na użycie zapasów broni i amunicji pułkom armii austriackiej złożonym w znacznej mierze z Ukraińców, podczas gdy polskie pułki odsyłane były na

---

\* Tytuł nadany przez redakcję, tekst nieautoryzowany.

dalekie placówki, wiadomym się stało, że lud z jego bogactwem i polskością stanie się celem jakiejś prowokacji w 1918 roku. Jeszcze w przeddzień wybuchu walk nic nie zapowiadało hekatomb. Wincenty Witos gościł we Lwowie jako nieoficjalny premier Galicji, a nazajutrz 1 listopada 1918 roku budzący się Lwów powitały jednak regularne ukraińskie warty i wybuch polskiego powstania przeciw takiemu obrotowi spraw stał się faktem. Lecz, jak to podkreślają historycy, niewątpliwie inspiratorem, podżegaczem walk polsko-ukraińskich był ciemiężyciel, zaborca, który bezwzględnie wykorzystywał marzenie narodu ukraińskiego o samostanowieniu i obrócił je przeciwko Polakom. Do walki przystąpili po polskiej stronie wszyscy zdolni do uniesienia broni, robotnicy, urzędnicy, księża, batiarzy, kobiety, dzieci, starcy, gimnazjaliści i studenci. Z początku z szablami, strzelbami, pistoletami wyciągniętymi z lamusa szli w obronie swoich praw z dziedzictwa wieków. Miasto było bowiem w większości zamieszkałe przez ludność polską. Krwi nie szczędził nikt. Dla Lwowa były to zaskakująco bohaterskie dni, ale jednocześnie bardzo tragiczne, o czym świadczą pomniki tak wielu poległych na Cmentarzu Orłąt. Lwów pozostał jednak wierny swojej tożsamości w myśl dewizy, że *Leopolis semper fidelis* – Lwów zawsze wierny. Generał Michał Karaszewicz-Toka-

rzewski, dowódca polskiego wojska, opowiadał kiedyś na falach radia Wolna Europa o walkach w obronie Lwowa w listopadzie 1918 roku: „Moi żołnierze lwowiaczy, a wśród nich i krakowiaczy, poszli do walki jak w taniec, ale walka była ciężka. Walczyliśmy całą noc do szóstej rano następnego dnia. O świcie zajęliśmy Łyczaków, ponieśliśmy ciężkie straty”. Wojska ówczesnego pułownika liczyły około tysiąca żołnierzy. Wyruszyli oni z Krakowa do Przemyśla 19 listopada 1918 roku. Na trasie do Lwowa wojsko polskie stoczyło pierwszą zwycięską potyczkę z Ukraińcami pod Gródkiem Jagiellońskim. Potem dotarli do Lwowa. Przy wsparciu małoletnich powstańców Orłąt Lwowskich pokonano armię ukraińską, wypierając ją z miasta następnego dnia. W listopadzie 1920 roku do Lwowa przyjechał Marszałek Józef Piłsudski. W uznaniu zasług odznaczył Lwów, jako jedyne wówczas miasto polskie, krzyżem *Virtuti Militari*. Dlatego, obdarzając modlitwą i pamięcią polskich bohaterów i nie żywiąc nienawiści do przeciwników w tamtej walce, przytoczmy na zakończenie jeszcze jeden wiersz jako memento do naszego rozmyślenia. Miłość do Ojczyzny jest bowiem rozpoznana jako obowiązek serca. I tego chcemy dzisiaj uczyć się od Chrystusa i Jego Matki Maryi. Autorem wiersza jest Tadeusz Różewicz.

Homilia wygłoszona 22 listopada 2020 r.

Tadeusz Różewicz

## *Oblicze Ojczyzny*

Ojczyzna to kraj dzieciństwa  
Miejsce urodzenia  
To jest ta mała najbliższa  
Ojczyzna

Miasto miasteczko wieś  
Ulica dom podwórko

Pierwsza miłość  
Las na horyzoncie  
Groby

W dzieciństwie poznaje się  
Kwiaty zioła zboża

Zwierzęta  
Pola łąki  
Słowa owoce

Ojczyzna się śmieje

Na początku ojczyzna  
Jest blisko  
Na wyciągnięcie ręki

Dopiero później rośnie  
Krwawi  
Boli



# Wielkanoc we Lwowie

## Alleluja

Na „Alleluja” w Wiernym Grodzie  
Wokół świątyni Pańskiej tłumnie  
Jak niegdyś przed półwiekiem może  
Procesji orszak kroczy dumnie.

Na „Alleluja” w Grodzie Wiernym  
W procesji lud do Rynku zmierza  
Ociera z oczu łzy promienne  
Radością serca młot uderza.

Na „Alleluja” tu, we Lwowie  
Radosnym dźwiękiem biją dzwony  
Tęsknotą naszych serc wyżsiony  
Znów nastał czas błogosławiony.



## Święcone

Święcone na stole  
Ze Zwycięskim Barankiem  
W przyjaciół kole,  
W rodzinnym zaścianku

Wiosennym bukietem  
Pachnie pokój cały  
Ten kwiat rozkwitnięty  
To Bóg Zmartwychwstały

Dźwięk dzwonów i pieśni  
Rozbrzmiewa wokoło  
Świątecznej procesji  
Dzień nastał wesoly

Święcone na stole  
W krąg tyle radości  
Bowiem w sercu twoim  
Rezurekcja gości.

---

STANISŁAWA NOWOSAD urodziła się we Lwowie w 1942 r. Po ukończeniu nauki w Szkole nr 10 rozpoczęła studia bibliotekarskie na Uniwersytecie Lwowskim. Po ich ukończeniu pracowała w Bibliotece Akademii Nauk i Bibliotece Uniwersyteckiej w dziale archiwalnym. W wierszach Poetki przejawiają się elementy religijne i żarliwość patriotyczna. Jej wiersze ukazały się w antologii *Miłość jak ziarno odwagi* (Białystok 2000), *Habemus Papam* (Lwów 2001). Utwory Stanisławy Nowosad drukowane były w „Semper Fidelis” (Wrocław), „Cracovia–Leopolis” (Kraków), „Kurierze Galicyjskim” (Lwów), antologii *My ludzie Lwowa* (Lwów 2006).

---

**Stanisław Dziedzic**

# WOŁYŃSKIE ATENY

**M**alowniczy Wołyń wieńczy wyniosły, skalny masyw Góry Zamkowej, najwyższej, wypiętrzonej na wysokość 407 m n.p.m., panującej nad okolicą, z relikdami potężnego ongiś zamczyńska, strzegącego bezpieczeństwa okolicznych mieszkańców niespokojnych tych ziem. Położony u stóp Góry Zamkowej, zwanej także Górą Bony, nad płynącą w głębokim jarze Ikwą, Krzemieniec uchodził kiedyś za najładniejsze polskie miasto o drewnianej zabudowie, pochodzącej głównie z XVIII i XIX wieku. Były to czasy wielkiego rozgłosu miasta, w którym jezuita wzniesli dzięki hojnym donacjom Wiśniowieckich okazały zespół kościelno-klasztorny, gdzie znaczną część pomieszczeń przeznaczono na potrzeby jezuickiego kolegium. Cały monumentalny i nadzwyczaj okazały kompleks jezuitów, najlepsze bodaj dzieło uznanego zakonnego architekta, ks. Pawła Giżyckiego, dominował od początku w panoramie miasta, typowej „ulicówki”, zarówno wyjątkowo malowniczą sylwetą, jak i położeniem na

wysokiej, kaskadowo uformowanej skarpie, świetnie przestrzennie zakomponowanej. Urodę i rozmach symetrycznie zestrojonego zespołu gmachów jezuickich ogniskuje i potęguje malownicza, pełna późnobarokowego dynamizmu, wysoka dwukondygnacyjna fasada kościoła z bliźniaczymi, usytuowanymi po bokach wieżami i osadzona w oddali, bo na przecięciu nawy głównej i transeptu, na wysokim tamburze malownicza, pięknie zestrojona z hełmami wież, kopuła. Świątynia ta, stanowiąca piękną dominantę potężnej elewacji jezuickiego kolegium, zasadniczo zachowała nadany jej w projekcie Giżyckiego wygląd. Inaczej jest w przypadku wnętrza kościoła, zbudowanego w latach 1731–1746, w którym z dawnego wyposażenia zachowały się zaledwie dwa obrazy. Kościół ten, pw. Ducha Świętego, św. Ignacego Loyoli i św. Stanisława Kostki, potężna trzynawowa bazylika, posiadał kiedyś piętnaście późnobarokowych i rokokowych ołtarzy, zachwycał też bogactwem wystroju, utrzymanego w jednolitym stylu, był też kościołem szkolnym. Jezuita jeszcze przed wzniesieniem nowego kościoła i klasztoru oraz konwiktu prowadzili w Krzemieńcu (w zespole architektonicznym pałacu Wiśniowieckich), od 1712 r. kolegium ze szkołami gramatyki, poetyki i retoryki, a przejściowo także studium teologii moralnej dla kleryków diecezjalnych. W nowych gmachach kolegium

Budynek dawnego Liceum Krzemienieckiego założonego przez Tadeusza Czackiego w 1805 roku. Fot. Janusz M. Paluch



jezuickie zyskało świetne warunki funkcjonowania w pomieszczeniach specjalnie do tych celów zbudowanych. W chwili kasaty zakonu jezuitów (1773) była tam pięcioklasowa szkoła średnia, prowadzono też studium filozofii, łącznie kształcające 700 uczniów. Pojezuicki kościół włączony wówczas został w struktury parafialne, a w 1775 roku kolegium przejęła Komisja Edukacji Narodowej. W należącej już do KEN szkole pozostało kilkunastu nauczycieli – jezuitów. W porzobiorowej rzeczywistości zmieniły się warunki funkcjonowania szkół, które w pierwszych dziesięcioleciach ulegały często likwidacji, ale pozostali ludzie związani kiedyś z Komisją Edukacji Narodowej oraz ideą gromadzenia pamiątek narodowych i piśmiennictwa, celem ochrony tych dóbr i ocalenia ich dla przyszłych pokoleń. Gdy w 1803 roku mocą carskiego ukazu Aleksander I powołał wileński Okręg Naukowy, a Tadeusza Czackiego mianowano wizytatorem szkół guberni wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej, Czacki porozumiał się z Hugonem Kołłątajem w kwestii pilnej potrzeby założenia w tej części Wołynia szkoły opartej na założeniach wypracowanych przez Komisję Edukacji Narodowej. Pierwotnie zamierzał on założyć szkołę w Dubnie, ale nie znalazł wsparcia u księcia Lubomirskiego i wybór padł na Krzemieniec i jego pojezuickie gmachy.

„Współpraca z Hugonem Kołłątajem (1750–1812) doprowadziła do utworzenia placówki w Krzemieńcu. Nie byłoby wołyńskich Aten, gdyby nie pomoc kuratora wileńskiego księcia Adama Jerzego Czartoryskiego (1770–1861). To dzięki jego staraniom rząd przyznał dotacje na założenie szkoły i dzięki niemu udało się pozyskać siedzibę. Tadeusz Czacki, otrzymawszy darowizny od szlachty i magnaterii, zakupił nowoczesne pomoce naukowe, a także sprowadził do Krzemieńca świętych wykładowców”<sup>1</sup>.

Założona w 1805 roku w pojezuickich zabudowaniach szkoła miała początkowo status gimnazjum. Szkoła uzyskała prawo nadawania patentów na wykonywanie zawodów chirurga, weterynarza, ogrodnika, mierniczego i akuszerki.

„Oprócz gimnazjum – pisze Bożena Gorska – zaplanowano jeszcze pięć szkół: mechaników – z programem obejmującym budownictwo dróg i mostów oraz wyrób narzędzi rolniczych – architektury wiejskiej, ogrodniczej, geometrów i położnych. Powstały dwie: mechaników i geometrów. Były to pierwsze polskie szkoły zawodowe. Zamierzano też stworzyć seminarium dla dziewcząt, kształcające guwernantki. Ostatecznie powstała pensja żeńska pod opieką Gimnazjum. Udało się natomiast założyć w Gimnazjum Wołyńskim konwikt dla kandydatów na nauczycieli szkół parafialnych”<sup>2</sup>.

Lata działalności Liceum Krzemienieckiego, którego podstawy stworzyło wspomniane Gimnazjum, były czasem największego rozkwitu i świetności Krzemieńca. Sława krzemienieckiej szkoły dobrze służyła rozwojowi miasta i zamożności jego mieszkańców. W 1819 roku, w sześć lat po śmierci Tadeusza Czackiego, a w siedem lat po śmierci faktycznego twórcy programu i kierunków nauczania w tej renomowanej szkole, Hugona Kołłątaja, Gimnazjum przekształcone zostało w Liceum Wołyńskie, szkołę półwyższą, z prawami nadawania jego absolwentom niższych stopni naukowych – studenta rzeczywistego i kandydata nauk. Ale to właśnie Tadeusz Czacki stworzył podstawy finansowania szkoły, przeznaczając na ten cel znaczną część własnego majątku.

„Czacki był wzorem menedżera. Umiał skłonić zainteresowaną dotąd głównie sprawami materialnymi i bynajmniej nie hojną wołyńską szlachtę do darowizn na rzecz szkoły. Ba – nie tylko szlachtę, bo i duchowieństwo dwóch diecezji, łucko-żytomierskiej i kamienieckiej, miejscowe zakony bazylianów, dominikanów, karmelitów i trynitarzy, a także mieszczaństwo i kahały żydowskie. A ile własnych pieniędzy utopił w Gimnazjum – podobno ponad dwie trzecie majątku! Jak wspomina Karol Kuczkowski, po śmierci Czackiego udało się Czartoryskiemu uzyskać dla jego sukcesorów nadanie na dwaście lat starostw na Litwie, przynoszących 60 000 zł polskich dochodu”<sup>3</sup>.

<sup>1</sup> Magda i Mirek Osip-Pokrywka, *Leksykon zabytków architektury Kresów południowo-wschodnich*, Warszawa 2014, s. 146.

<sup>2</sup> Bożena Gorska, *Rzeczpospolita Krzemieniecka albo Nowe Ateny wołyńskie*, Kraków 2017, s. 63.

<sup>3</sup> Ibidem, s. 64.

Rzeźba przedstawiająca Juliusza Słowackiego wykonana przez Wacława Szymanowskiego w 1909 roku z okazji setnej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego. Znajduje się w kościele pod wezwaniem św. Stanisława Biskupa. Fot. Janusz M. Paluch



Oprócz tych uposażeń i dochodów szkoła rozporządzała znacznymi funduszami edukacyjnymi, na które składały się dochody z majątków pojezuickich, ze starostwa krzemienieckiego i kapitały z darowizn.

Wielkim dziełem reformatora Uniwersytetu Krakowskiego, Hugona Kołłątaja, było nie tylko wprowadzenie opracowanych przez niego i jego świątliwych współpracowników programów nauczania oraz systemu edukacyjnego, ale także sprowadzenie i zaangażowanie w Krzemieńcu wybitnej kadry profesorskiej, w tym w niemałej mierze profesorów uniwersyteckich z Krakowa i Wilna, zagranicznych uczelni oraz krakowskich i pozakrakowskich szkół średnich. Czackiemu i Kołłątajowi, ale także Czartoryskiemu zależało na dorównaniu poziomowi uniwersyteckiemu.

Literatury polskiej, wymowy i poezji nauczał w Gimnazjum Krzemienieckim Euzebiusz Słowacki, literatury i filologii klasycznej – ks. Alojzy Osieński, autor piętnastotomowego słownika języka polskiego – „Bogactwa mowy polskiej”, wymowy i literatury polskiej nauczał – Józef Korzeniowski, historii powszechnej – Józef Oldyński, matematyki Józef Czech, botaniki i zoologii – Willibald Besser, opiekun ogrodu botanicznego, chemii i mineralogii – Stefan Ziemowicz, rysun-

ków – malarze Józef Pitschmann i Bonawentura Klembowski, a języków obcych – na ogół specjalnie sprowadzani z zagranicy nauczyciele, autorzy podręczników i słowników. Warto podkreślić, że wykładowcami byli także m.in. najśłynniejszy naówczas polski historyk – Joachim Lelewel i Julian Aleksander Mickiewicz – młodszy brat Adama Mickiewicza, w przyszłości profesor uniwersytetów w Kijowie i Czarkowie. Przykładów starannie dobranych nauczycieli można by podawać więcej. Czacki zadbał o nader bogate zaplecze naukowe Gimnazjum Wołyńskiego, którego sercem była zasobna biblioteka. Trzon krzemienieckiej księżnicy stanowił zakupiony przez niego i przywieziony z Warszawy księgozbiór króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. W zbiorach szkoły znalazły się także nieliczne obrazy i ryciny pochodzące z kolekcji ostatniego polskiego monarchy. Zasobne jak na tamte czasy zbiory biblioteczne, liczące ok. 25 000 tytułów, były systematycznie powiększane i uzupełniane. W zbiorach tych znajdowały się liczne egzemplarze pojezuickie oraz dary z zasobów prywatnych. Z założenia biblioteka ta miała charakter księżnicy publicznej, jej zbiory udostępniano w czytelnicy nie tylko uczniom i profesorom Gimnazjum, a później Liceum, ale także osobom spoza szkoły czy samego Krzemieńca. Krzemieniecka szkoła mieściła w swoich murach liczne, świetnie wyposażone pracownie – m.in. geograficzną, fizyczną, mineralogiczną, dla celów edukacyjnych stworzono ogród botaniczny, jeden z najlepszych tego typu w Europie. Wykupione z kolekcji Stanisława Augusta przyrządy astronomiczne, systematycznie wzbogacane o dary i zakupy, pozwoliły na urządzenie profesjonalnego obserwatorium. W oparciu o nowoczesny sprzęt, w części sprowadzony z zagranicy, zorganizowano stację meteorologiczną i laboratorium chemiczne.

W Liceum Krzemienieckim naukę pobierali zarówno synowie arystokratów, ziemiaństwa, jak i środowisk plebejskich – z niezamożnych rodzin mieszczańskich, a nawet chłopskich. Biednej, ale osiągającej dobre wyniki nauki młodzieży przysługiwały stypendia, fundowane z donacji świątliwych mecenasów. Jednym z nich był doktor medycyny Jan Lernet, który przeznaczył na ten cel niemałą sumę ponad czterdzieści tysięcy rubli srebrnych.



Szkoła i zorganizowany przy niej konwikt stwarzały dobre, wręcz wyjątkowo dogodne warunki pracy, przygotowania merytorycznego, ale też dawały niemałe możliwości w zakresie samokształcenia. Od uczniów wymagano wiele, bo program był obszerny, a egzaminy odbywały się z zachowaniem niemałych rygorów. Egzaminy roczne miały charakter publiczny w obecności wizytatorów z Wilna.

„Program szkoły był bardzo obszerny. Do otrzymania świadectwa ukończenia szkoły, jak podaje Aleksander Kozieradzki, konieczne było oprócz zdania egzaminów z obowiązujących przedmiotów kursowych oraz języków i literatury (łacińskiej, polskiej, francuskiej, niemieckiej i rosyjskiej) zaliczenie: wyższej matematyki, geometrii wykreślnej i mechaniki, architektury, prawa rzymskiego, prawa cywilnego krajowego, technologii, gramatyki powszechnej, bibliografii z bibliologią, języków i literatury angielskiej i greckiej<sup>4</sup>.

Uczniowie wychowywani byli w surowym, nieomal klasztorным rygorze. Każdy dzień, wyłączając niedzielę, kiedy obowiązywał odmienny harmonogram zajęć, wypełniony był szczerze zajęciami, a także zróżnicowanymi formami rekreacji.

Liceum Wołyńskie funkcjonowało do roku szkolnego 1830/31. W marcu 1831 roku zostało zamknięte w odwecie za wybuch powstania listopadowego. Pod koniec 1832 roku ukazem carskim majątek ruchomy szkoły przewieziony został do Kijowa, gdzie bardzo bogate wyposażenie krzemienieckich pracowni naukowych i cenny księgozbiór stały się bazą do wyposażenia utworzonego w tym mieście w październiku 1833 roku Uniwersytetu św. Włodzimierza. Kilka lat później przewiezione zostały do Kijowa nawet rośliny z licealnego ogrodu botanicznego. Do Kijowa wywieziono też część kadry profesorskiej. Po unicestwieniu szkoły Krzemieniec już nigdy nie odzyskał dawnego znaczenia. W 1832 roku władze carskie odebrały katolikom także pojezuicki kościół z pięknym i cennym barokowo-rokokowym wystrojem wnętrza. Świątynię przekształcono w cerkiew prawosławną, w efekcie czego usunięto z niej dotychczasowy, oryginalny wystrój, wprowadzono ikonostas i wyposażenie cerkiewne. Katolicy odzyskali świątynię

w 1920 roku, po włączeniu miasta do odrodzonej II Rzeczypospolitej. W okresie międzywojennym i zasadniczo podczas II wojny światowej był ten kościół w rękach katolików, a przez kilka dziesięcioleci, w okresie sowieckiej Ukrainy, zdesakralizowany, pełnił funkcję m.in. hali sportowej. W 1992 roku, po upadku imperium sowieckiego i powstaniu państwa ukraińskiego, świątynię przekazano Ukraińskiej Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej. Po kolejnych przeróbkach, gruntownym remoncie wnętrza i wprowadzeniu ponownie wystroju cerkiewnego, mieści się tu sobór pw. Przemienienia Pańskiego.

Próby przywrócenia świetności krzemienieckiej szkole podjęto w okresie międzywojennym, przy radykalnym wsparciu Józefa Piłsudskiego. Właśnie Marszałek Piłsudski zadbał o to, aby reaktywowana 27 maja 1920 roku szkoła Tadeusza Czackiego, jako wyjątkowo zasłużona w dziejach polskiego szkolnictwa, została hojnie wyposażona. Krzemienieckiemu Liceum przydzielono rozległe majątki, dokonując zwrotu zagrabionych nieruchomości przez władze rosyjskie w 1832 roku, po likwidacji Liceum Wołyńskiego, a także nadając wówczas i w latach późniejszych majątki fundacyjne i państwowe. Obok zabezpieczenia potrzeb związanych z funkcjonowaniem tego potężnego zespołu szkół, zadbano nade wszystko o środki na stypendia dla uczniów. Krzemienieckie



Krzemieniec, widok na ruiny zamku Królowej Bony.  
Fot. Janusz M. Paluch

<sup>4</sup> Ibidem, s. 71.

Liceum podlegało bezpośrednio Ministerstwu Wyznań i Oświecenia Publicznego. Obok gimnazjów ogólnokształcących typu matematyczno-przyrodniczego oraz humanistycznego, siedmioklasowej powszechnej szkoły ćwiczeń, seminarium nauczycielskiego, w którego miejsce w 1935 roku powołano dwuletnie pomaturalne „pedagogium”, istniała sieć szkół o profilu zawodowym, zlokalizowanych w kilku pobliskich miejscowościach, kształcących w zakresie rolnictwa-leśnictwa, spółdzielczości, budownictwa, ogrodnictwa czy rzemiosła. W okresie wakacyjnym prowadzono ogniska związane z dokształcaniem nauczycieli w zakresie muzyki, rysunku oraz pracy społecznej w środowisku wiejskim. Jak w szkole stworzonej przez Czackiego i Kołłątaja, biblioteka naukowa była ogólnodostępna dla wszystkich mieszkańców Krzemieńca, a nawet całej Polski.

W okresie międzywojennym szkoła o tak wielu kierunkach kształcenia posiadała świetne zaplecze, sukcesywnie pomnażane. Obok kierunkowych pracowni, sal koncertowych, teatralnej (na 400 miejsc), sal gimnastycznych i boiska sportowego, stworzono ogród botaniczny, rosarium im. Juliusza Słowackiego oraz Muzeum Ziemi Krzemienieckiej im. Willibalda Bessera. W czerwcu 1938 roku z inicjatywy tamtejszych elit powołany został w Krzemieńcu przy tamtejszym liceum Wołyński Instytut Naukowy. Ambicje Instytutu wykraczały poza statutową działalność szkoły, ale nawiązywały w sposób oczywisty do tradycji Liceum Wołyńskiego – szkoły z ambicjami uniwersyteckimi. Tak było i teraz: bogata, z wielkimi tradycjami szkoła miała prowadzić samodzielne badania naukowe, wdrażać inicjatywy w tym względzie i publikować efekty naukowych poczynań we własnych wydawnictwach. Plany wydawnicze w odniesieniu do konkretnych publikacji, autorstwa znakomitych uczonych – m.in. Jakuba Hoffmana (*Bibliografia Wołynia*), ks. Jana Nepomucena Fijałka (*Biskupstwa katolickie na Wołyniu*) czy Marii Danilewiczowej (*Dawna Biblioteka Krzemieniecka*) nie zostały zrealizowane z powodu wybuchu wojny.

Ważnym sprawom Liceum, postrzegającym w szerszym kulturowym i naukowym kontekście, poświęcony był periodyk-biuletyn „Życie Liceum Krzemienieckiego”, wydawany w latach 1929–1931, od 1932 roku

przekształcony w miesięcznik „Życie Krzemienieckie”, pismo o szerszej formule organizacyjnej i tematycznej, podejmowano bowiem na jego łamach nie tylko tematykę ogólnomiejską, ale i regionalną.

W międzywojennym dziewięcioletnim Krzemieńcu nie było teatru zawodowego, ale na scenie szkolnej wystawiała niejednokrotnie swoje spektakle „Reduta”, w samym zaś Liceum funkcjonował prężnie szkolny zespół teatralny, kierowany przez Izabelę Kunicką-Rowicką, aktorkę „Reduty”. Teatr ten, obok działalności repertuarowej, uczestniczył w wielu uroczystościach szkolnych i środowiskowych. W bogatym repertuarze zespołu szkolnego, o którym w recenzjach pisano, iż nierzadko pod kierunkiem wprawnych reżyserów osiągał poziom właściwy dla profesjonalistów, nie brakowało spektakli opartych na tekstach wychowanków Gimnazjum Krzemienieckiego: Juliusza Słowackiego i Antoniego Malczewskiego. Tak więc wystawiano tam z zastosowaniem różnych form scenicznych *Marię* Malczewskiego i fragmenty *Balladyny*, a w kwietniu 1939 r. uczniowie klasy maturalnej przygotowali pod kierunkiem polonistki Aliny Ruskowej i zaprezentowali *Złotą czaszkę* Juliusza Słowackiego.

Powolano się tam po wielokroć, także i wówczas, nieomal w przededniu wojny, na piękne wspomnienia i zamysły artystyczne Juliusza Słowackiego, wyrażone w liście dedykacyjnym poety – autora *Balladyny* skierowanym do „poety ruin” – Zygmunta Krasińskiego, któremu tę „tragedię w pięciu aktach poświęcił”:

„Bo ileż to razy patrząc na stary zamek, koronujący ruinami górę mego rodzinnego miasteczka, marzyłem, że kiedyś w ten wieńiec wyszczerbionych murów nasypię widm, duchów, rycerzy, że odbuduję upadłe sale i oświecę je przez okna ogniem piorunowych nocy, a sklepieniom każę powtarzać dawne Sofoklesowskie – *Niestety!* A za to imię moje słyszane będzie w szumie płynącego pod górą potoku, a jakaś niby tęcza z myśli moich unosić się będzie nad ruinami zamku. – O! nie mów mi, że z dzwonek polnych większa ozdoba ruinom niż z tego wieńca myśli, w które ubierze poeta...”<sup>5</sup>

<sup>5</sup> Juliusz Słowacki, *Balladyna*, Warszawa 1974, s. 6.

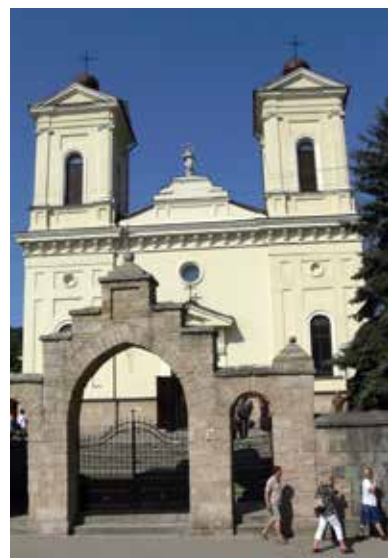
W niepodległej międzywojennej Polsce, z trudem w warunkach kryzysów ekonomicznych w Europie odbudowującej zręby tożsamości kulturowej i podstawy ekonomicznego bytu, urzeczywistniona idea stworzenia w Krzemieńcu Liceum, które odwoływało się do wielkich tradycji Czackiego i Kołłątaja, była zamysłem niezwykle i nie anachronicznym. Warto odwołać się raz jeszcze do opinii w tym względzie monografistki tej szkoły, Bożeny Gorskiej, która w oparciu o szeroki ogląd tych zagadnień stwierdza wręcz:

„Liceum, powstałe w 1920 roku na fundamentach ideowych Gimnazjum Wołyńskiego (...) było fenomenem edukacyjnym lat międzywojennych, któremu nie dorównała później żadna szkoła – ani w PRL, ani w dzisiejszej niepodległej Rzeczypospolitej. Było dużo więcej niż szkołą. Stało się centrum kulturalnym nie tylko dla powiatu krzemienieckiego, ale całego Wołynia. Instytucją organizującą życie społeczne. Kiedy dziś słyszę o nowoczesnych pomysłach – nie tylko edukacyjnych, ale i tych dotyczących różnych urzędzeń społecznych – uświadomiam sobie, że wszystko to już było w międzywojennym Krzemieńcu”<sup>6</sup>.

Wraz z okresem obu wojennych okupacji dla pięknie odnowionych wcześniej gmachów krzemienieckiej szkoły nadeszły trudne czasy. Zasadniczo służyły one nadal funkcjom edukacyjnym, ale wobec znikomych prac remontowo-konserwatorskich w budynkach pojezuickich i pobazylińskich najcenniejsze, historyczne budynki popadały w stan pogłębiającego się zniszczenia. Stały się ruderami. Nie mniej przygnębiający był stan otoczenia, pięknych kiedyś ogrodów i poklasztornych dziedzińców. W następstwie uzyskanej przez Ukrainę niepodległości w zabytkowych gmachach, częściowo rozbudowanych, mieści się Państwowa Wyższa Szkoła Pedagogiczna im. Tarasa Szewczenki. Od zaniedbanych budynków pojezuickich – klasztoru i kolegium – wyróżnia się dziś wyremontowanymi elewacjami kościół, wybitne dzieło Pawła Giżyckiego, obecnie – jak już wspomniano – sobór prawosławny.

Z oddali, od frontu, cały ten niezwyklej architektonicznej urody kompleks prezentuje się okazale, a z Góry Zamkowej drzemiące w malowniczym jarze, otoczonym wysokimi wzniesieniami, prowincjonalne dziś i zaniedbane miasteczko wyraziście eksponuje ten swój klejnot architektury, który mimo dotkliwego zapuszczenia prezentuje się pysznie. Może w niedługim czasie i w tym względzie nastąpią tu zmiany, może przyjdzie

czas na refleksję i próbę sięgnięcia do wielkich tradycji minionych, trudnych przecież czasów, w których stworzono fenomen wołyńskich Aten. Wiele relikwów dawnej drewnianej zabudowy miasta poszło w ruinę i nie pamięć, wiele pamiątek czasów dawnej świetności zniszczono. Fakt, że gmachy pojezuickie dawnego Gimnazjum-Liceum mają dziś gospodarza, którym jest uczelnia wyższa, stwarza nadzieję na zmiany, na te oczekiwane zmiany. Na temat sławnej krzemienieckiej szkoły pojawiły się nowe, rzetelnie opracowane publikacje<sup>7</sup>, które ułatwią bądź wręcz wskażą kierunki prac konserwatorskich, może staną się one probierzem perspektywicznych, a nie doraźnych zmian. Miasto na szczęście nie zatraciło swojego klimatu, do którego po wielokroć w swojej twórczości i listach stęsknionego wygnańca odwoływał się przed dwoma wiekami największy spośród urodzonych w nim ludzi, Juliusz Słowacki.



Krzemieniec, kościół św. Stanisława Biskupa. Fot. Janusz M. Paluch

<sup>6</sup> Bożena Gorska, *Rzeczpospolita...*, op. cit., s. 5.

<sup>7</sup> Szerzej: Jan Skłodowski, *Krzemieniec – Ateny wołyńskie*, Warszawa–Rzeszów 2006; Andrzej Szmytt, *Gimnazjum i Liceum Wołyńskie w Krzemieńcu w systemie oświaty wileńskiego Okręgu Naukowego w latach 1805–1833*, Olsztyn 2009; Stanisław Sławomir Niciejka, *Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych*, t. IX, Opole 2017.

## O Lwowie książęcym i kazimierzowskim

W przekonaniu znakomitego historyka mediewisty Jerzego Wyrozumskiego, Lwów identycznie jak Kraków powstał na etnicznym podłożu słowiańskim i rozwijał się na obszarze istniejącej w odległej przeszłości, bo już najpewniej w neolicie ekumeny. Zlokalizowana na obszarze *barbaricum* (poza Renem i Dunajem) Ruś Halicka znajdowała się w strefie wpływów rzymskich, Lwów zaś do najazdu mongolskiego w 1240 r. stanowił jej centrum polityczne i kulturalne<sup>1</sup>. W przygotowanej z rozmachem *Historii Lwowa* można wyczytać, że najstarsze ślady osadnictwa na obszarze grodu datować należy na piąte stulecie<sup>2</sup>. Przestrzeń rozpościerającą się pomiędzy jego najwyższym punktem – wzgórzem Góry Zamkowej (zwanej też Książęcą) w północnym grzbiecie Zniesienia, wznoszącym się na wysokość niemal 400 m n.p.m., a będącą lewym dopływem Bugu rzeką Pełtwią zajęli przedstawiciele plemienia lechickiego zwani Lędzianami (*Lendizi*)<sup>3</sup>. Ze skreślonej około 845 r. *Zapiski karolińskiej* wynika, że zamieszkiwali terytorium odpowiadające wiele stuleci później Galicji Wschodniej. Wspomnił ich również w jednej z rozpraw cesarz bizantyjski Konstantyn VII Porfirogeneta<sup>4</sup>. Zapewne przez wzgląd na usytuowanie i rzeźbę terenu na swoją siedzibę obrali Lędzianie Górę Zamkową. Zrealizowane w drugiej połowie lat 70. XX w. badania dowiodły, że na stoku wzgórza istniał w przeszłości cmentarz, na którym wzniesiono później jedną z najstarszych lwowskich świątyń – cerkiew pw. św.



Daniel Halicki na litografii Edwarda Stoltza. Źródło: Biblioteka Narodowa, Magazyn Ikonografii. Sygnatura: G.326/Sz

Mikołaja. Najdawniejsza wzmianka kronikarska o terenach, na których założono Lwów, pochodzi z roku 981, a jej autorem był dziejopisarz i mnich pieczerskiego monasteru Nestor.

Wtedy oto ziemię czerwieńską podbił Włodzimierz Wielki. Ten wywodzący się z dynastii Rurykowiczów książę kijowski, najmłodszy syn księcia Światosława, pamiętany jest przede wszystkim jako gorliwy obrońca chrześcijaństwa. Wyzwoliwszy się z nałogu rozpusty i porzuciwszy wojowniczy tryb życia, po przyjęciu sakramentu chrztu świętego w zlokalizowanym na Krymie mieście greckim Chersonozie, niszczył następnie pogańskie budowle sakralne, zarządził chrzest ludności w Dnieprze, a posąg gromowładnego Peruna nakazał wrzucić w nurt rzeki<sup>5</sup>. Za przyczyną Włodzimierza Wielkiego stały się Grody Czerwieńskie integralną częścią Rusi Kijowskiej. I chociaż odbił je

<sup>1</sup> J. Wyrozumski, *Kraków i Lwów w średnio-wiecznej Europie*, [w:] J. Purchla (red.), *Kraków i Lwów w cywilizacji europejskiej. Materiały międzynarodowej konferencji zorganizowanej w dniach 15–16 listopada 2002*, Kraków 2005, s. 35–36.

<sup>2</sup> Я. Ісаєвич, М. Литвин, Ф. Стеблій (red.), *Історія Львова. У трьох томах*, t. 1, Львів 2006, s. 7.

<sup>3</sup> W literaturze przedmiotu nazywa się ich również Lędzianami, Lędzicami lub Lendisami.

<sup>4</sup> S. Zakrzewski, *Opis grodów i terytoriów z północnej strony Dunaju czyli tzw. Geograf Bawarski*, Lwów 1917, s. 50–51.

<sup>5</sup> Szerzej: Ю. Діба, *Історично-географічний контекст літописного повідомлення про народження князя Володимира Святославовича, „Княжа доба. Історія і культура”* 2012, nr 6.

później Bolesław Chrobry, w wyniku interwencji Jarosława Mądrego w 1031 r. ponownie powędrowały do ruskiej macierzy.

Najstarsze napomknięcie o Lwowie z 1259 r. znajdziemy na kartach znanego z trzech odpisów *Latopisu halicko-wołyńskiego*, traktującego o wydarzeniach rozgrywających się na ziemi halickiej i wołyńskiej w trzynastym stuleciu<sup>6</sup>. Początki Lwowa jako twierdzy warownej w Rusi Halicko-Włodzimierskiej związane są z panowaniem księcia Daniela Romanowicza Halickiego (1201–1264), który około roku 1250 założył gród nazwany po rusku Lwihorodem – wedle legendy na cześć syna Lwa Daniłowicza (ok. 1228–ok. 1301), upamiętnionego odsłoniętym na placu Halickim w 2001 r. okazałym pomnikiem, a w 2018 r. filmem historycznym<sup>7</sup>. Ojciec jego, zostawszy księciem Wołynia, a następnie w 1245 r. księciem halickim, podjął się ambitnego zadania zjednoczenia ziem ruskich. W 1253 r. w Drohiczynie za sprawą legata papieża Innocentego IV dokonała się jego koronacja<sup>8</sup>. Przywołana powyżej wersja okoliczności założenia Lwowa znana jest za przyczyną siedemnastowiecznych relacji podanych przez burmistrzów tego miasta: kupca i aptekarza Jana Alnpeka oraz pisarza i poety Józefa Bartłomieja Zimorowica, a jej ugruntowanie nastąpiło w wieku XIX i żywo pamiętane jest po dziś dzień, szczególnie w literaturze ukraińskiej. Pomimo że Zimorowicowska kronika *Leopolis Triplex* należy niewątpliwie do najwartościowszych dzieł w historiografii Lwowa, Łucja Charewiczowa za ujemne jej strony uznała obok zbyt wyszukanego i utrudniającego studiowanie języka nietolerancyjną postawę autora wobec Rusinów i Żydów<sup>9</sup>. W przekonaniu Michała

Balińskiego i Tymoteusza Lipińskiego gród (a właściwie podgrodzie z rynkiem) istniał już jednak wcześniej<sup>10</sup>. Daniel Halicki odbudował go po tragicznych wydarzeniach związanych z najazdem wnuka Czyngis-chana, mongolskiego władcy Batu-chana z 1240 r. podczas tzw. wyprawy zachodniej, w trakcie której podbito Kijów<sup>11</sup>. Konkludując, Lwów istniał bez wątplenia w 1256 r. W sprawie etymologii nazwy grodu przypomnę interesujące ustalenia historyka ks. Ignacego Chodynickiego, według którego uwzględnić należy nie tylko imię księcia, ale i fakt, że w herbie swoim miał lwa, umieszczonego później w herbie miasta<sup>12</sup>.

Ów stary, czyli ruski Lwów zajmował teren między dzisiejszymi ulicami Żółkiewską i Zamarstynowską, a sercem jego był współczesny Stary Rynek. Z inicjatywy Daniela Halickiego i jego syna zaczęli do osady przybywać obcokrajowcy, co nadało jej charakter wielonarodowy<sup>13</sup>. W przekonaniu Aleksandra Czołowskiego szczególną pozycję społeczną mieli przybysze niemieccy, kontrolujący rzemiosło i handel oraz posiadający młyn na Pełwi. Była to ludność na tyle znacząca, że Lwów nazywano wtedy Lemburgiem<sup>14</sup>. Wraz ze wzrostem liczby stałej ludności postępował jego rozwój przestrzenny. Powstawały nowe cerkwie, kościoły rzymskokatolickie i nieistniejące obecnie świątynie ormiańskie pw. św. Anny i św. Jakuba. Pokłosiem tamtej rozbudowy są podziwiane w czasach dzisiejszych obiekty sakralne, przez konserwatora zabytków Bohdana Janusza zaliczone do stylu halicko-bizantyjskiego<sup>15</sup>: cerkiew

<sup>6</sup> Z grodu Lwa obserwowano podobno łunę pożaru Chelma. O. Czerner, *Lwów na dawnej rycinie i planie*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1997, s. 19; A. Czołowski, *Lwów za ruskich czasów*, Lwów 1891, s. 8. Zob. również *Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzeczypospolitej Polskiej z Archiwum tak zwanego bernardyńskiego we Lwowie*, t. 3, Lwów 1872, s. 43.

<sup>7</sup> *Король Данило*, reż. Тарас Химич.

<sup>8</sup> D. Dąbrowski, *Daniel Romanowicz król Rusi (ok. 1201–1264). Biografia polityczna*, Kraków 2012.

<sup>9</sup> Ł. Charewiczowa, *Historiografia i miłośnictwo Lwowa*, Biblioteka Lwowska, t. 37, Lwów 1938, s. 21–22.

<sup>10</sup> M. Baliński, T. Lipiński, *Starożytna Polska pod względem historycznym, geograficznym i statystycznym opisana*, t. 2, Warszawa 1845, s. 551.

<sup>11</sup> Zob. N. Jakowenko, *Historia Ukrainy od czasów najdawniejszych do końca XVIII wieku; Dzieje krajów Europy Środkowo-Wschodniej*, t. 1, Lublin 2000, s. 93–95.

<sup>12</sup> I. Chodynicki, *Historia stołecznego królestwa Galicji i Lodomerji miasta Lwowa od założenia jego aż do czasów teraźniejszych*, Lwów 1829, s. 27.

<sup>13</sup> P. Włodek, A. Kulewski, *Lwów. Przewodnik*, Pruszków 2006, s. 32.

<sup>14</sup> A. Czołowski, *Z przeszłości dziejowej Lwowa*, [w:] B. Janusz (red.), *Lwów. Dawny i dzisiejszy*, Lwów 1928, s. 2.

<sup>15</sup> B. Janusz, *Zabytki architektury Lwowa*, [w:] idem, op. cit., s. 8.



św. Mikołaja oraz kościoły Matki Boskiej Śnieżnej i św. Jana Chrzciciela.

Pierwsza z przywołanych świątyń chrześcijańskich (ob. przy ul. Bohdana Chmielnickiego 28) jest jednym z ciekawszych przykładów lwowskiego budownictwa średnio-wiecznego. Powstała w latach 1264–1340<sup>16</sup> i do połowy wieku XVII nie uległa większym przeobrażeniom architektonicznym. Wystawiono ją na planie krzyża greckiego, z kwadratową nawą główną oraz usytuowanym na wschód prezbiterium. W północnej i południowej części świątyni umieszczono dwie kaplice z apsydami kształtu półkolistego. Rozplanowanie przestrzenne cerkwi znakomicie oddaje spotykane w wielu innych obiektach użyteczności sakralnej na Rusi Kijowskiej założenie planistyczne. Fundamenty położone na miejscu jeszcze starszego kościoła, zapewne drewnianego, podobnie jak kamienne mury apsydy datowane są na trzynaste stulecie. Świątynia jest dobrym przykładem płynnego połączenia elementów budownictwa bizantyjskiego i ruskiego, które nadały jej wyjątkowy charakter architektoniczny. Wbrew temu, co podają niektóre przewodniki, przechowywane wewnątrz stare ikony wyobrażające Matkę Boską i św. Teodora Tyrona nie pochodzą z wieków średnich, tylko z XVII i XVIII<sup>17</sup>.

Zbudowany na niewielkim wzniesieniu z inicjatywy osadników niemieckich przed



1340 r. kościół Matki Boskiej Śnieżnej (Maryi Śnieżnej)<sup>18</sup> jest najstarszą świątynią katolicką we Lwowie. Według Jana Sas Zubrzyckiego podtrzymywanie stanowiska, że był on dziełem nieznanego z nazwiska mistrza niemieckiego, nie wytrzymało krytyki. W architekturze kościoła dostrzegał oczywiste wpływy stylu polskiego, pamiętającej czasy Bolesława Krzywoustego tzw. „sztuki duninowskiej”. Potwierdzeniem tego była obecność łuku tęczowego i układ czteroprzęsłowy w rzucie poziomym i przekroju podłużnym<sup>19</sup>. Budowla jest gmachem jednonawowym, o dachu dwuspadowym zwieńczonym niewielką, ale wysoką wieżą. W części zachodniej umieszczono kruchtę, a prezbiterium przybrało postać wieloboku<sup>20</sup>. Pseudoromański charakter budynku jest zasługą Juliana Zachariewicza. Również późnodziewiętnastowieczne są freski autorstwa Edwarda Lepszego, ucznia Jana Matejki i asystenta Leonarda Marconiego<sup>21</sup>.

Umiejscowiony przy Starym Rynku gotycki kościół św. Jana Chrzciciela zgodnie z aktualnym stanem wiedzy powstał w drugiej połowie XIV w.<sup>22</sup> Wcześniej przypuszcza-

<sup>16</sup> I. Chodyniecki, powołując się na *Księgę Historii Monasteru Lwowskiego*, jej budowę określił na 1292 r. I. Chodyniecki, op. cit., s. 344.

<sup>17</sup> Szerzej: A. Dylewski, *Miasta marzeń*. Lwów, Warszawa 2009.

<sup>18</sup> Ob. przy ul. Śnieżnej 2. Cerkiew Matki Bożej Nieustającej Pomocy (Церква Матері Божої Неустанної Помочі) należy do Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego.

<sup>19</sup> J. Sas Zubrzycki, *Zabytki miasta Lwowa*, Lwów 1928, s. 11–13.

<sup>20</sup> I. Качор, Л. Качор, *Львів кризь віку*, Львів 2004, s. 168–169.

<sup>21</sup> A. Strojny, K. Bzowski, K. Chojnacka, Z. Błazińska, *Lwów. Krzemieniec. Kamieniec Podolski oraz największe atrakcje Ukrainy zachodniej*, Kraków 2009, s. 150.

<sup>22</sup> I. Качор, Л. Качор, op. cit., s. 168–169.

no, że wybudowano go z inicjatywy księcia Lwa z myślą o jego żonie Konstancji – córce króla węgierskiego i chorwackiego Beli IV i siostrze św. Kingi, uczęszczającej do kościółka na modlitwę<sup>23</sup>. Podczas prowadzonych w latach 70. i 80. XX w. badań archeologicznych potwierdzono, że jednonawowy budynek wzniesiono na planie prostokąta, absydzie zaś nadano rzut trójboczny. Cennej informacji na temat przeszłości świątyni dostarczył dokument datowany na 1371 r., zawierający wzmiankę, że wieś Hodowica (*Hodovicza*) została przekazana dla związanych z kościołem zakonników ormiańskich<sup>24</sup>. Na tej podstawie niektórzy historycy żywią przekonanie, że budowlę wystawiono w latach 60. XIV stulecia. Nawiązania do architektury ormiańskiej w przypadku kościoła św. Jana Chrzciciela są bardzo wyraźne. Sprawą pewną jest natomiast, że w 1415 r. jego okolicę przekształcono w niepodlegającą władzom miejskim jurydykę z prawem ormiańskim. Ponadto kościół uzyskał status prepozytury. Korzystała z niego ludność niemiecka trudniąca się głównie rękodzielnictwem. Zachowane we wnętrzu łuki przyjmowane są za czternastowieczne. W wyniku pożaru z końca XVIII w. kościół ponad trzy dekady był zrujnowany. Wskutek późniejszej nieudanej przebudowy i osłabienia murów świątynię ponownie zamknięto. Dopiero za przyczyną Juliana Zachariewicza, który w 1887 r. nadał jej cechy pseudoromańskie, m.in. wzmocniono konstrukcję budowli, zlikwidowano grozący zawaleniem przedsiónek i położono nowy dach<sup>25</sup>.

Istnieje przypuszczenie, że w centrum grodu księcia Lwa znajdował się drewniany dwór, a położona nieopodal cerkiew św. Mikołaja służyła za świątynię książęcą. Na ówczesną zabudowę składały się ponadto domy dostojników dworskich, dworzan, bojarów i mieszkańcy rzemieślników. Nawiązując do tego, co napisałem powyżej, należy stwierdzić, że we Lwowie ruskim żyli wygnańcy armeńscy, którzy ziemię ojczystą opuścili za sprawą ucisku tureckiego. Ko-



Kościół św. Jana Chrzciciela we Lwowie na drzeworycie Józefa Sosńskiego z 1869 r. Źródło: Biblioteka Narodowa, Magazyn Ikonografii. Sygnatura: G.27713/1

rzystali z własnego kościoła pw. św. Anny przy późniejszej ul. Żółkiewskiej i innych miejsc kultu. W zróżnicowaniu narodowościowym Lwowa wymienić trzeba również Czechów, Karaimów, Polaków, Saracenów, Tatarów, Węgrów i Żydów. Już wtedy gród był liczącym się ośrodkiem handlu połączonym drogami z innymi miejscowościami<sup>26</sup>. Ukraiński historyk związany z ruchem moskalofilskim Dionizy Zubrzycki (Денис Іванович Зубрицький) nie miał wątpliwości, że w 1270 r. Lwów był zamożny i pełen ludzi, z magistratem zorganizowanym na wzór miast niemieckich i znacznie starszy, niż sądzono. Nazwa jego pochodzić miała od króla zwierząt obecnego w herbach władców południowej Rusi<sup>27</sup>.

Jest kwestią oczywistą, że ówczesny krajobraz przedstawiał się zupełnie odmiennie od dzisiejszego. Pozbawioną drzew Górę Zamkową (Łysą) porastała przesypana warstwą piasku trawa. Zamiast reprezentacyjnych kamienic w stylu historyzmu powstałych w czasach austriackich dominowały skromne domy drewniane. Już wtedy był Lwów grodem Wschodu i Zachodu o wielkim potencjale rozwojowym<sup>28</sup>. Położony na

<sup>23</sup> O. Czerner, op. cit., s. 20.

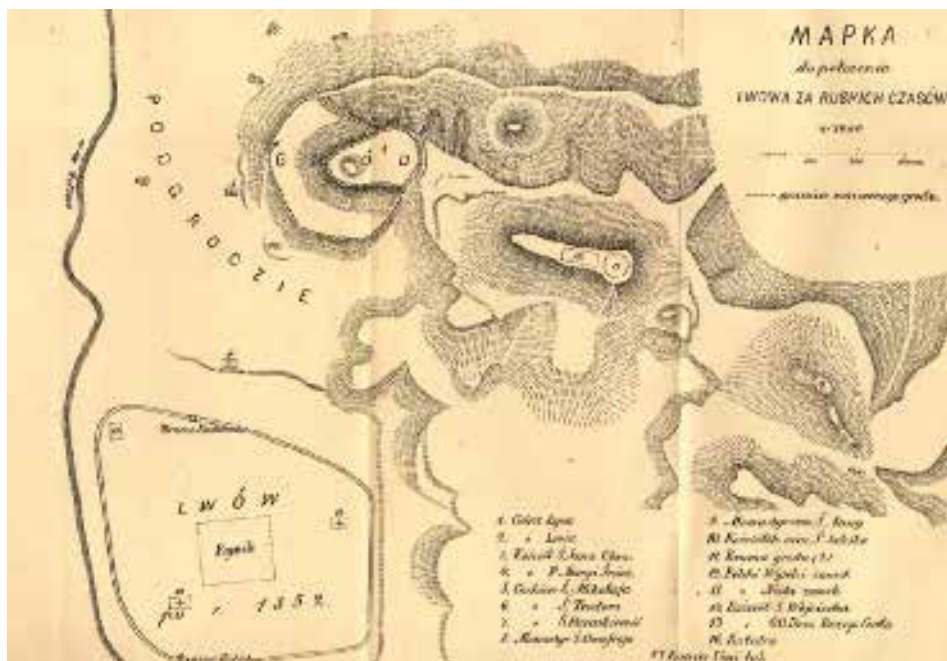
<sup>24</sup> *Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzeczypospolitej Polskiej z archiwum tak zwanego bernardyńskiego we Lwowie w skutek fundacyi śp. Alexandra hr. Stadnickiego*, t. 2, Lwów 1870, s. 4–5.

<sup>25</sup> B. Janusz, op. cit., s. 10–11.

<sup>26</sup> F. Kiryk, *Związki Lwowa z Krakowem w późnym średniowieczu*, [w:] H.W. Żaliński, K. Karolczak (red.), *Lwów. Miasto – społeczeństwo – kultura. Studia z dziejów Lwowa*, t. 2, Kraków 1998, s. 11.

<sup>27</sup> D. Zubrzycki, *Kronika miasta Lwowa*, Lwów 1844, s. 6–7.

<sup>28</sup> F. Papée, *Historia miasta Lwowa w zarysie*, Lwów 1894, s. 23–26.



Lwów ruski. Źródło: A. Czolowski, Lwów za ruskich czasów, „Kwartalnik Historyczny” 1891, R. V.

krzyżujących się szlakach handlowych przecięty był kilkoma gościńcami. Wijąca się po pagórkowatym terenie droga główna prowadziła do Chełma, zahaczając zaledwie o kilka małych wsi. Pozostałe trzy gościńce dawały możliwość połączenia z Gródkiem, Haliczem i Glinianami. W 1261 r. doświadczył Lwów wielkiej tragedii. Gród tak dynamicznie się rozwijający zniszczyli Tatarzy, pałac pierwotną drewnianą zabudowę. Wydarzeniem niezwykle ważnym było przeniesienie w 1272 r. stolicy Rusi Halicko-Włodzimierskiej z Chełma do Lwowa, co dodatnio wpłynęło na jego dalszy rozwój społeczno-gospodarczy i kulturalny.

Po śmierci księcia Lwa ok. 1301 r. nastąpił czas krótkotrwałego panowania jego syna Jerzego Lwowica. Ostatnie z rodu Lwa kobiety wydano za syna Giedymina Lubarta oraz księcia mazowieckiego Trojdena Piastowicza. W wyniku wyprawy Kazimierza III Wielkiego z 1340 r. doszło do zajęcia miasta i odebrania od bojarów przysięgi wierności. Wydarzenie to opisał w wiekopomnych *Rocznikach* Jan Długosz, donosząc, że król zastał w grodzie wielkie bogactwa w postaci złota, srebra, klejnotów i drogocennych kamieni. Najwspanialszym skarbem miały być dwa krzyże w znacznym stopniu wykonane z drewna krzyża Chrystusowego. W 1349 r. podczas drugiej wojny o Ruś polski władca opanował ziemię halicką, lwowską i przemyską,

a tym samym utwierdził swe panowanie nad Rusią Czerwoną<sup>29</sup>. Stał się zatem Lwów w roku 1349 integralną częścią Królestwa Polskiego, przy którym dane mu było pozostać niemal sześć stuleci. Wyrazem polskiego panowania było w pierwszej kolejności wzniesienie przez Kazimierza Wielkiego w drugiej połowie XIV w. murowanej warowni gotyckiej, powstałej na fundamencie poprzedniej drewnianej budowli. Pozostałości tego tzw. zamku kazimierzowskiego rozebrali ostatecznie wiele wieków później Austriacy. Lwów powtórnie założony na prawym brzegu Pełtwi na wzór zachodni (być może na podstawie planu Niczka z Opawy) w 1352 r., lokowany na prawie magdeburskim (1356 r.), o szachownicowym układzie przestrzennym, wskutek obecności wielu narodów stał się jeszcze bardziej wielokulturowy i wieloreligijny. Trudniący się handlem i rzemiosłem Germanie otrzymali przywileje handlowe i samorządowe. Otoczone murami obronnymi miasto gotyckie o kształcie trapezu, którego poprzedzone mostami zwodzonymi nad fosą wypełnioną wodą z Pełtwi bramy (Halicką i Krakowską) łączyły ulice Tatarska i Halicka, w centralnej części posiadało rynek<sup>30</sup>. O wielkiej trosce i przywiązaniu

<sup>29</sup> Ibidem, s. 29–34.

<sup>30</sup> A. Schweiger-Lerchenteld, *Geografia Powszechna Ilustrowana*, K. Jurkiewicz (przel.



Kazimierza Wielkiego do grodu poświadczą fakt, że przyjeżdżał doń corocznie, w 1366 r. spędzając w nim całe lato, zaś w 1350 r. podczas panującego głodu wystąpił tam zapasy zboża<sup>31</sup>. Według Józefa Bartłomieja Zimorowica „Lwów w duszy Kazimierza najpierwsze zajmował miejsce”<sup>32</sup>. Ważne, aby zapamiętać – na co słusznie uwaźliwiają w swoim bogato ilustrowanym wydawnictwie Ryszard Jan Czarnowski i Eugeniusz Wojdecki, że ostatni z dynastii Piastów na tronie polskim Lwowa nie przyłączył, tylko przeniósł w inne miejsce, a właściwie na nowo założył<sup>33</sup>.

Panoramę miasta uzupełniły kolejne świątynie, uznawane współcześnie za wysokiej klasy zabytki sztuki sakralnej: kościół farny – przez Emila Kunke nazwany „kościółem-fortecą”<sup>34</sup> z ok. 1360 r. (ob. Bazylika Archikatedralna Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny), kościół Dominikanów z ok. 1370 r., przylegający do Niskiego Zamku kościół Franciszkanów, katedra ormiańska i cerkiew św. Jura (Jerzego)<sup>35</sup>. Według niektórych źródeł budowana przez Ormian od 1363 r. murowana (lub murowano-drewniana)<sup>36</sup> katedra w oryginalnej wschodniobizantyjskiej manierze była najcenniejszym zabytkiem Lwowa średniowiecznego<sup>37</sup>. Jan Sas Zubrzycki, nie dowierając, jakoby budowlę tę wzorowano na pochodzącej z przełomu X i XI w. katedrze w Ani, doszukiwał się w niej cech polskiego gotyku<sup>38</sup>. W opinii Joanny Wolańskiej, którą uważam za najlepszą znawczynię dziejów katedry, nadal „stanowi

jedyny w swoim rodzaju przykład architektury o rysach orientalnych w Europie Środkowej”<sup>39</sup>. Dopowiedzieć należy, że wcześniej modlili się Ormianie w kaplicy św. Walentego przy kościele Franciszkanów<sup>40</sup>. Prawdopodobnie niedługo przed nimi poza granicami miasta cerkiew, również murowaną, zaczęli wznosić Rusini. Budowla ta nie wytrzymała jednak próby czasu<sup>41</sup>. Powstała na miejscu, w którym w 1280 r. wystawił Lew Halicki kaplicę drewnianą i niewielki klasztor dla pustelników z zakonu św. Bazylego, do którego należał jego brat Wasyl (Waszko)<sup>42</sup>.

Podsumowując, w pierwszej kolejności godzi się odnotować, że Lwów jako osada grodowa zaczął formować się za przyczyną króla Rusi Daniela Romanowicza, który podjął się urzeczywistnienia ambitnego planu stworzenia nad Pełtwią grodu – ośrodka sprawowania władzy z prawdziwego zdarzenia. Dzieło to kontynuował jego syn Lew, zaśluzony w dalszym rozwoju przestrzennym oraz sprowadzeniu nowych mieszkańców. Z czasem Lwów stał się ważnym ośrodkiem politycznym i militarnym Rusi Halicko-Włodzimierskiej. Wskutek obecności Czechów, Niemców, Ormian, Polaków, Rusinów, Węgrów i Żydów kształtował się jego wielokulturowy charakter. Wysoki Zamek wraz z najbliższym otoczeniem oraz podgrodzie stanowiły załążek powstania późniejszej metropolii. Analizując zabudowę ruskiego Lwowa, trzeba stwierdzić, że najokazalszymi jego gmachami obok siedziby władcy pozostawały obiekty sakralne: cerkiew św. Mikołaja, kościół św. Jana Chrzyciela, kościół Matki Bożej Śnieżnej. Niszczony i odbudowywane stanowią współcześnie ważne zabytki lwowskiej kultury materialnej. Miasto o średniowiecznym układzie urbanistycznym podniesione ze zniszczeń i *de facto* na nowo założone przez Kazimierza Wielkiego, dzięki zwiększeniu liczby ludności i ożywionej działalności handlowej w następnych wiekach miało doświadczyć dynamicznego rozwoju cywilizacyjnego, przeobrażając się właściwie w *Respublica Leopoliensis*.

i uzupełn.), Warszawa 1895, s. 282; A. Czołowski, *Obraz dziejowy Lwowa*, Lwów 1896, s. 2; O. Czerner, op. cit., s. 23–24.

<sup>31</sup> I. Chodyniecki, op. cit., s. 41, 43.

<sup>32</sup> B. Zimorowicz, *Historia miasta Lwowa, królestw Galicyi i Lodomerji stolicy; z opisaniem dokładnem okolic i potrójnego oblężenia*, M. Piwocki (tłum.), Lwów 1835, s. 108.

<sup>33</sup> R.J. Czarnowski, E. Wojdecki, *Lwów. Dzieje Miasta*, Kielce 2015, s. 40.

<sup>34</sup> E. Kunke, *Architektura Lwowa. Przewodnik dla poznania stylów, oglądanych na zabytkach miejskich*, Lwów 1935, s. 2.

<sup>35</sup> *Encyklopedia Kresów*, Kraków [bdw] s. 251.

<sup>36</sup> B. Zimorowicz, op. cit., s. 113.

<sup>37</sup> *Przedwojenna Polska w krajobrazie i zabytkach. Lwów i Województwo Lwowskie* [reprint J. Bułhak, i in., *Polska w Krajobrazie i Zabytkach. X. Województwo Lwowskie*, t. 2, z. 3, Warszawa 1930], Rzeszów 2013, s. 10.

<sup>38</sup> J. Sas Zubrzycki, op. cit., s. 56–61.

<sup>39</sup> J. Wolańska, *Katedra ormiańska we Lwowie w latach 1902–1938. Przemiany architektoniczne i dekoracja wnętrza*, Warszawa 2010, s. 23.

<sup>40</sup> I. Chodyniecki, op. cit., s. 351.

<sup>41</sup> B. Janusz, op. cit., s. 19–20.

<sup>42</sup> I. Chodyniecki, op. cit., s. 340.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm

## Dramaty polsko-ormiańskiej rodziny Wartanowiczów

**P**isząc książkę *Dwór w Kraśnicy i Hubalowy Demon* zbierałam materiały na temat spokrewnionej niezwyklej rodziny – Jaxa Bąkowskich, Krasickich i Wartanowiczów.

Bratem Anny (po mężu Jaxa Bąkowskiej) był Józef Wartanowicz (ojciec Tomasza). Pochodzili z rodziny ormiańskiej. Zaprzyjaźniłam się z Ewą Bąkowską, córką Anny, i przyjaźń ta trwa wiele lat. Między innymi spowodowała moje bliższe zainteresowanie Ormianami, do których historii, także zaangażowania w sprawy polskiej historii, mam ogromny podziw.

Rodzice Ewy: Anna i Jerzy Jaxa Bąkowscy w majątku Kraśnica niedaleko Opoczna posiadali hodowlę koni arabskich (z niej wywodził się słynny koń Bask, syn Bałałajki, który po wojnie został zakupiony przez Amerykanów i zdobył międzynarodową sławę).

Wybuch drugiej wojny światowej spowodował wiele tragedii. Jerzy Jaxa Bąkowski zginął zamordowany w Katyniu, podobnie jak ojciec Janusza – Witold Krasicki (ojciec żony Janusza, Danuty – Czesław Gawarecki – zginął rozstrzelany w 1942 roku w Auschwitzu).

Pisząc książkę (powstały dwie książki), poznałam między innymi Tomasza Wartanowicza, bliskiego kuzyna Ewy. Jemu i jego rodzinie poświęcam ten tekst.

Dr Tomasz Wartanowicz – wieloletni pracownik naukowy Politechniki Warszawskiej w Instytucie Techniki Ciepłej, był synem Józefa i Stanisławy (Stachny) z domu Lewandowskiej. Urodził się we Lwowie.

Ojciec Tomasza, Józef Wartanowicz, w rodzinnym majątku w Dźwiniaczu prowadził winnice i sady. W ostatnich miesiącach przed wybuchem drugiej wojny światowej winnica Józefa Wartanowicza posiadała dwadzieścia pięć tysięcy krzewów i należała do najbardziej znaczących winnic na Podolu.

Podole było kolebką polskiego winiarstwa od bardzo dawna. W okresie międzywojennym winnice na Podolu stały się częścią kresowej legendy. Były to czasy, które miały odejść na zawsze.

Józef Wartanowicz udzielał się społecznie, był prezesem Komisji Ogrodniczo-Sadowniczej Lwowskiej Izby Rolniczej, członkiem Kuratorium Państwowej Szkoły Ogrodniczej w Zaleszczykach. Tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej dostał powołanie do wojska i w stopniu kapitana Wojska Polskiego odbył kampanię wrześniową, z której wrócił do Zaleszczyk, gdzie przebywała żona z małym Tomkiem.

Zamieszkali w pensjonacie pani Sokołowej, ale niebawem władze sowieckie nakały im opuścić Zaleszczyki. Józef z rodziną przeniósł się do Stanisławowa.

Kiedy 26 lipca 1941 roku do Stanisławowa wkroczyły wojska niemieckie, Józef włączył się w działalność podziemną. Miesiąc później przyszło Gestapo, zrobiono rewizję zakończoną zabraniami Józefa i Stachny na przesłuchanie.

Tomek, gdy w czasie rewizji rozsypały się rodzinne fotografie, ukląkł i zaczął je przeglądać. Gdy zobaczył zdjęcie ojca



Tomasz Wartanowicz z żoną Marią i synami Jackiem i Rafałem

w mundurze oficerskim, ukradkiem schował je do kieszeni. Jakby rozumiał, że ważne jest, aby jej nie znaleziono. Jeden z Niemców, widząc co robi, z rozmachem kopnął chłopca w plecy. Rodzice byli już zabrani na Gestapo, zapłakana babcia zajęła się wnukiem. Tomasz na zawsze zapamiętał, jak leżał na podłodze, długo nie mogąc złapać oddechu.

Stachnę wypuszczono dzień później, Józefa trzymano tydzień, po czym został zwolniony do domu. Przesłuchujący powiedzieli, że ma się zgłosić za kilka dni z powrotem, wyznaczyli dzień.

Tajna organizacja, do której należał Józef Wartanowicz, załatwiła całej rodzinie papiery wyjazdowe, aby uciekli za granicę. Józef chciał, by żona pojechała z synem, sam zdecydował się zostać. Ostatecznie wszyscy zostali. O Niemcach wyraził się między innymi, że „to jest kultura”, to nie „barbarzyństwo Sowieców”. Znał dobrze niemiecki i myślał, że „się wybroni”, że wróci do rodziny. Tłumaczył, że przecież był już na przesłuchaniach i go wypuścili.

W wyznaczonym dniu zgłosił się na Gestapo. Pożegnał się z rodziną bez żadnych wielkich gestów czy łez, jakby miał niebawem wrócić.

Po dziesięciu dniach do mieszkania przyszedł Ukrainiec (Ukrainiec-Polak-patriota, jak mówił Tomasz) i powiedział, że siedział z Józefem Wartanowiczem na Gestapo. Józef wiedział, że już ma wyrok, że jest skazany na rozstrzelanie. Wiedział też, że Ukrainiec zostanie zwolniony, i prosił, by poszedł do jego rodziny. By przekazał słowa pożegnania ukochanej Stachnie. Mówił dużo o Tomku. Mówił z przejęciem o sześcioletnim synu... że nie doczeka ani jego szkół, ani jego młodości, ani jego dojrzałości. Że to jest wielki ból, z którym odchodzi.

Kilka dni później, dokładnie 30 listopada 1941 roku, Józef Wartanowicz został zabrany na ciężarówkę, wywieziony poza miasto i rozstrzelany. Wśród skazanych był duchowny wyznania grekokatolickiego, który przygotował ich na śmierć. Była spowiedź i były modlitwy. Razem z nimi zginął.

Po wojnie w Gdańsku Anna Bąkowska, siostra Józefa, spotkała braci Flachów, któ-



rzy mieli transport konny. Powiedzieli jej, że przed wojną znali rodzinę Wartanowiczów. W Stanisławowie także zostali aresztowani i byli przetrzymywani na Gestapo. Przez zakratowane okienko widzieli, jak Niemcy zabierali więźniów na ciężarówkę i wywozili na rozstrzelanie. W jednej z grup rozpoznali Józefa Wartanowicza.

Tomasz Wartanowicz pamiętał opowieści Ukrainca całe życie, brak ojca odczuwał przez wszystkie lata.

Podał mi informacje, które usłyszał później od matki: – Według relacji Mamy, na Ojca doniósł Ukrainiec z faszystowskiej policji pomocniczej, która rekrutowała się z ukraińskich nacjonalistów z terenu Stanisławowa. Rozebranych do bielizny formowano w grupy i ciężarówkami krytymi brezentem wywożono poza miasto. W jednej z grup był mój Ojciec. Wywieziono ich do lasu w okolicy wsi Pawełcze.

Stachna Wartanowicz z synem Tomkiem i matką Wandą, dzięki Annie z Wartanowiczów Bąkowskiej (siostrze Józefa), sprawdzili się do majątku Jaxa Bąkowskich, w którym Anna zamieszkała po ślubie, i we dworze w Kraśnicy koło Opoczna przeżyli resztę okupacji.

Podróż ze Stanisławowa do Kraśnicy była męcząca i trwała niemal trzy tygodnie. Na stacji w Opocznie czekała ciotka Anna, która ze stangretem przyjechała bryczką wypełnioną kożuchami. Wycalowani, wrzuczeni do łez, ciepło opatuleni pojechali do dworu. Rozpoczął się zupełnie inny rozdział ich losów. Tomasz wspominał pobyt w Kraśnicy jako najlepszy okres w całym dzieciństwie i młodości. Ciotka Anna miała kontakty z partyzantami, którzy pojawiali się

Kraśnica. Od lewej: Ewa Bąkowska, Anna Bąkowska z brązowym Jamnikiem Dukackiem, Tomek Wartanowicz, siedzi Ewa Kleinert

często we dworze i to oni zajmowali całkiem jego wyobraźnię. Miał kolegów, szczególnie zaprzyjaźnił się z Milkiem, synem gajowego i Marii Dobrowolskiej, niani Ewy Bąkowskiej, którego ojciec zginął w Auschwitz. Partyzanci, którym dwór udzielał wszelkiej pomocy, fascynowali obu chłopców i Tomasz pamiętał, że zasypiał rozgorączkowany i wręcz szczęśliwy.

Po zajęciu Kraśnicy przez Sowieców w styczniu 1945 roku Stachna z synem na jakiś czas zamieszkała w Opocznie u państwa Lasotów. Następnie przenieśli się do Koła, gdzie mieszkała jej ciocia, siostra matki, Zofia Złotnicka. Ostatecznie Stachna osiadła w Warszawie (w 1948 roku wyszła ponownie za mąż za Jana Kołakowskiego; zmarła w Warszawie w 2006 roku w wieku 97 lat), a Tomek z babcią zostali w Kole, gdzie chłopiec skończył szkołę i zdał maturę. Babcią Wanda Lewandowska całą wojnę bardzo się niepokoiła o jedyne go wnuka, miała lęki o jego przyszłość. Po wojnie bała się, że Rosjanie „znowu przyjdą”. Straciła męża, syna i zięcia, miała tylko wnuka.

W okresie szkoły i później studiów Tomasz Wartanowicz, jedyny syn Józefa, miał wiele przykrych doświadczeń. Uważany był za „wroga klasowego” i tylko życzliwość kilku osób pomogła mu przetrwać te lata. Pamięta je jako bardzo trudne. Dyrektorem szkoły średniej był Ukrainiec, syn kierownika szkoły w Dźwiniaczu, który rozpoznał Tomasza i wiedział o rodzinie Wartanowiczów. Był mu jednak przyjazny, nie rozpowiadał o jego pochodzeniu, a gdy była potrzeba, bronił.

Tomasz pamięta pomoc i życzliwość koleżanki należącej do Związku Młodzieży Polskiej (ZMP). Przede wszystkim jednak wiele zawdzięcza własnym zdolnościom, był wybijającym się uczniem, wygrał olimpiady matematyczno-fizyczne. Mimo trudności, „wróg klasowy” zdał maturę. Chciał studiować wymarzoną elektronikę. Zdał do-

skonałe egzaminy, był w czołówce, ale nie został przyjęty na uczelnię „z powodu braku miejsc”. Jak mówił po latach, hierarchia partyjna miała trzy kwalifikacje, jeżeli chodzi o studia: 1. zabrania się studiować, 2. nie stawia się przeszkód, 3. powinien studiować. Tomasz otrzymał drugą, że „nie stawia się przeszkód”. Tak się złożyło, że dziekanem Wydziału Mechaniczno-Konstrukcyjnego Politechniki Warszawskiej był przyjaciel rodziny Stachny, który mu pomógł. – Musi zostać przyjęty – powiedział, gdy zobaczył wyniki egzaminów. Ostatecznie więc zamiast elektroniki Tomasz ukończył Wydział Mechaniczny. W 1965 roku obronił doktorat i został pracownikiem akademickim Politechniki Warszawskiej Wydziału Mechanicznego Energetyki i Lotnictwa (MEL).

Tomasz Wartanowicz ożenił się z pochodzącą z Wileńszczyzny Marią z Wojtkiewiczów. Urodziło się dwóch synów. Starszy Jacek (ur. 1962) zmarł nagle na serce dwa dni przed urodzinami w 1982 roku. Drugi syn Rafał (ur. 1967) ożenił się i ma dwie córki, Katarzynę i Annę.

Tomasz zaangażował się czynnie i w okresie „Solidarności”, i później w ruch opozycji. Jeżdżąc za granicę na konferencje naukowe, przywoził sprzęt drukarski dla „Solidarności”. Zajmował się też kolportażem prasy podziemnej, miał kontakt z księdzem Jerzym Popiełuszką.

Zapytany przeze mnie, czym jest dla niego szczęście, odpowiedział: „Mam krótką definicję: moja głęboka i pełna wiara sprawia, że jestem szczęśliwy”.

Na święta Bożego Narodzenia napisał mi życzenia, a 1 stycznia 2021 – zadzwonił z życzeniami zdrowego roku. Kolejnego dnia został zabrany do szpitala, 5 stycznia zmarł.

... Polskie losy, polskie dramaty polskiego Ormianina.

*O tej niezwykłej rodzinie i jej dramatycznych losach napisałam w książce „Lepszy dzień nie przyszedł już” (Warszawa 2011). Amerykańskie wydanie: „The Polish Experience through World War II A Better Day has not come”, przedmowa: Neal Pease (Lexington Books 2013, 2015). Także napisałam „Dwór w Kraśnicy i Hubalowy Demon” (Warszawa 2009).*

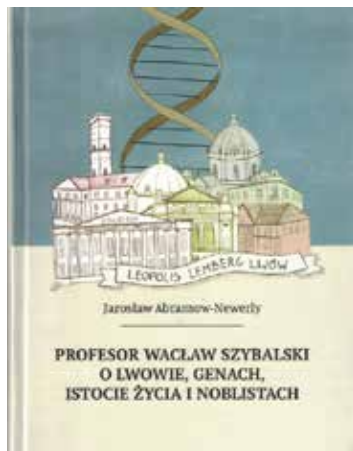


Anna Stengl

## Profesor Waław Szybalski (1921–2020) „Zawsze w górę”

*Z jednej strony najważniejsze w życiu jest, żeby coś stworzyć, z drugiej, żeby mieć przyjaciół, pracować, żeby się nie wykręcać od życia. Trzeba być odważnym. Coś w końcu osiągnąć i zrobić. Coś dobrego dla Polski zrobić i dla Lwowa.*

W 2018 roku ukazała się książka wydana przez Fundację Profesora Waław Szybalskiego (Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego), pt. *Profesor Waław Szybalski. O Lwowie, genach, istocie życia i noblistach*. Zarówno pomysł, który zrodził się w 2010 roku, jak i propozycja, aby jej autorem był Jarosław Abramow-Newerly (pisarz, kompozytor, autor tekstów piosenek, słuchowisk radiowych, dziennikarz) wyszły od Jerzego Barankiewicza, twórcy i prezesa Polskiego Salonu Artystycznego w San Diego. Jak wspomina w przedmowie, przekonanie o konieczności opisanego życia profesora Waław Szybalskiego, a potem nakłonienie Jarosława Abramowa-Newerlygo do realizacji tego przedsięwzięcia, nie były łatwe. Jednakże wielkie osiągnięcia Profesora, jego kariera naukowa, jego patriotyzm, pamięć o polskim, przeciwieństwo jego Lwowie, nie mogły zostać bez biografii tak wielkiego człowieka. Przy pomocy wielu osób, samego Waław Szybalskiego, ale także jego rodziny, współpracowników, przyjaciół, kolegów naukowców, a przede wszystkim autora, jego żony Wandy (która była z zawodu biologiem molekularnym, zatem mocnym wsparciem merytorycznym), współpracownicy Profesora, Ireny Frączek, która wiele wysiłku włożyła w dopracowanie tekstu i strony graficznej, pomysł powstania biografii został zrealizowany. Dodatkowo do książki dołączony jest film o życiu Profesora w reżyserii Anny Ferens *Esencja życia*. Pisząc wspomnienie o profesorze Waławie Szybalskim, opierałam się, rzecz jasna, głównie na omawianej pozycji biograficznej. Aby wzbogacić swoją wiedzę o tym wspaniałym człowieku, sięgnęłam również do innych źródeł, m.in. zainteresowała mnie *Broszura*, przygotowana przez przyjaciela Profesora,



Stanisława Kosiedowskiego, obecnego prezydenta Fundacji im. Profesora Waław Szybalskiego, na uroczystą sesję 50-lecia terapii genowej, która odbyła się w Krakowie w dniach 28–29 września 2012 roku.

I zadałam sobie pytanie, na które chciałam przede wszystkim sobie odpowiedzieć: jak opisać tak barwne, bogate życie człowieka, które wiódł przez bez mała cały wiek. Jak opowiedzieć o kimś, kto miał tak otwarty umysł na rozwiązywanie trudnych zagadnień z punktu widzenia nauki. Jak pisać o Profesorze, który miał serce otwarte na drugiego człowieka, na ludzkie sprawy, na miejsca, które kochał, z którymi na zawsze był związany i z którymi się żył. Którego wzruszał się na widok bżów w Madison, czuł ich zapach i z tęsknotą w głosie wspominał jaśminy w Parku Stryjskim we Lwowie. O kimś, kto uwielbiał tańczyć, bawić się, kto „w tańcu” zaprzyjaźnił się z Audrey Hepburn, kto był gościem na ślubie zaprzyjaźnionej z nim Grace Kelly i księcia Monaco, kto w Afryce tańczył z Meryl Streep? A przede wszystkim był szanowany, ceniony, wielki! Jedno wiedziałam na pewno! To nie może być życiorys w klasycznym tego słowa znaczeniu!

Wobec wielkiego szacunku i podziwu dla dokonań profesora Waław Szybalskiego z ogromnym smutkiem przyjął



wiadomość, że 16 grudnia 2020 roku Profesor zmarł w Madison, gdzie przez wiele lat mieszkał, pracował, działał, żył... Pomyślałam jednak, że zostawił po sobie tak wiele w nauce, przyjaźniach, gestach dobroczynnych na rzecz różnych celów, a przede wszystkim dowody miłości do ukochanego Lwowa, że trudno o nim myśleć w czasie przeszłym – BYŁ... Był i został w wielu dziedzinach życia naukowego światowego, polskiego, lwowskiego, w serdecznych wspomnieniach wielu, wielu ludzi, a nawet w miejscach, którym też coś „darował”.

Zatem spróbuję snuć tę opowieść, choć w życiu Profesora nie ma właściwie zdarzeń, sytuacji, sukcesów, które można pominąć. A także i wartościować – które rezultaty jego pracy były ważniejszym dokonaniem... Czy wybrać te nowatorskie spojrzenia, czy naukowe sukcesy, czy jego życiową drogę, która miała początek we Lwowie? Wszystko jest ważne, ale nie można pisać drugiej książki... choć materiału wciąż sporo!

Wacław Szybalski urodził się 9 września 1921 roku we Lwowie w rodzinie inteligentkiej polskiej szlachty Szybalskich herbu Prus I i Rakowskich herbu Trzywdar, legitymujących się długą tradycją niepodległościową.

Matka, Michalina z Rakowskich Szybalska, studiowała chemię i krytalografię na Wydziale Chemicznym Uniwersytetu Lwowskiego. Ojciec – Stefan Szybalski – warszawianin, był absolwentem Szkoły Mechanicz-

no-Technicznej H. Wawelberga i S. Rotwanda w Warszawie, w 1912 roku wyjechał do Francji, na Uniwersytecie w Tuluzie w 1913 roku otrzymał dyplom inżyniera elektrotechniki, zamiłowany automobilista.

W czasach przedwojennych dom rodziny Szybalskich był otwarty, pełen elegancji i dobrobytu. Wacław miał barwne, pogodne dzieciństwo, urozmaicone różnymi zajęciami. Przede wszystkim była to nauka języków obcych, tańca towarzyskiego, gry na fortepianie (jednym z kolegów był Stanisław Skrowaczewski, późniejszy wspaniały dyrygent i kompozytor). Był bardzo dobrym, inteligentnym uczniem, interesował się wszystkim i ze wszystkiego czerpał... Równocześnie był wzorowym harcerzem, zdobył wszystkie sprawności, żeglował, lubił wycieczki rowerowe, wędrował po górach – przeszedł cały szlak wzdłuż Karpat Wschodnich na Huculszczyznę. Jednakże pasją jego młodości było lotnictwo, od dziewiątego roku pasjonował się modelarstwem. Chciał zostać konstruktorem samolotów. Ze względu na krótkowzroczność nie było to możliwe, ale pasja spadochroniarsko-szybowcowa w nim tkwiła. Maksyma „Zawsze w górę”, którą kolega wpisał mu do pamiętnika, była początkiem nieodpartej chęci naśladowania ideału, którym okazał się właśnie ów o sześć lat starszy kolega Edward. Z własnej woli postanowił on zaopiekować się znacznie młodszym, dziewięcioletnim uczniem, bowiem Edward był rok przed maturą. Wacłowi bardzo odpowiadała propozycja Edwarda, który prowadził kursy Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, dotycząca pomocy w zakresie aerodynamiki i budowy modeli samolotowych. Gdy poznał tajniki tej dziedziny, zajął się szybownictwem, a potem spróbował sił w sporcie spadochronowym, zresztą z pewnymi sukcesami.

Gdy rodziców odwiedzali różni znamiennicy goście, jak m.in. Jan Czekanowski (światowej sławy antropolog), Adam Gruca, Franciszek Groër, Roman Rencki (znakomici lekarze), Stefan Banach, ludzie kultury, Wacław przysłuchiwał się z zaciekawieniem i ze wszystkiego czerpał... Od dziecka miał też taką zasadę, że stawiał sobie cel i konsekwentnie dążył do jego realizacji. Myślę, że w jego wspaniałej karierze naukowej i drodze życiowej miało to ogromne znaczenie i sprzyjało osiągnięciu wielkich sukcesów.

Profesor Waclaw Szybalski był niepowtarzalnym przykładem człowieka, który oprócz niewątpliwych zdolności, inteligencji, wielu wspaniałych cech, talentu wyniósł bardzo wiele „z domu”. Czas dzieciństwa tak obfitujący w różnorodne zajęcia, pasję dał efekty w jego przyszłym życiu. Niebagatelną rolę w życiu Waclawa odegrał jego dziadek Tadeusz Rakowski. Otóż kiedy dostrzegł, że jego ukochany wnuk jest dociekliwy i „wszystko musi rozkręcić do ostatniej śrubki”, postanowił edukować go od najmłodszych lat. Wobec tego, kiedy spostrzegł zainteresowania dziecka zegarkiem, wynajął na tydzień zegarmistrza, któremu przyniesione przez niego liczne zegarki i zegary służyły za „eksponaty” do poznania mechanizmów. Następnie zaproszony introligator uczył Wacusia procesu oprawiania książek, wreszcie stolarz odkrywał tajemnice, głównie stolarskich narzędzi, przy czym dziadek zorganizował wnukowi mały warsztat stolarski. Poza tym każdego dnia przynosił mu prezenty, które zawsze miały cel edukacyjny. Kiedy Wacek zaczął poznawać tajniki różnych urządzeń, miał pięć lat. Ten czas nauczył go badania i poznawania rzeczy nieznanymi, bystrości, precyzji i szacunku do pracy w różnych zawodach. Niestety dziadek zmarł, gdy Wacek miał sześć lat, i wtedy świadomie odkrył, że jego życie dzieli się na czas przed śmiercią dziadka i po niej.

W wieku sześciu lat Waclaw poszedł do szkoły powszechnej, po czterech latach rozpoczął naukę w VIII Gimnazjum im. Kazimierza Wielkiego, jednym z najlepszych, jeśli chodzi o wyposażenie pracowni, a przede wszystkim z wybitnymi nauczycielami, którzy byli również wykładowcami na Politechnice Lwowskiej i Uniwersytecie Lwowskim. Dla Waclawa ta szkoła była niejako krokiem do realizacji planów na życie. Choć chciał studiować aeronautykę, budować samoloty, ale nie było to możliwe z powodu likwidacji tego kierunku. Zwrócił się więc ku swojej drugiej pasji i po ukończeniu gimnazjum w 1939 roku w warunkach okupacji sowieckiej podjął studia na Wydziale Chemicznym Politechniki Lwowskiej – w czasie okupacji niemieckiej „przemianowanej” na Technische Fachkurse Lemberg. I tak oto Waclaw Szybalski stał się absolwentem Wydziału Chemicznego Politechniki Lwowskiej z dyplomem inżyniera chemika, pieczętą Technische Fachkurse,

podpisanym przez profesora Alfreda Joszta. Ten unikatowy dyplom, jak wiele innych dokumentów, pamiętek ze Lwowa, przechowywał do końca życia w kasie pancernej. Podczas studiów był zafascynowany wykładami profesora Alfreda Joszta, który był kierownikiem Zakładu Przemysłowej Fermentacji i Biotechnologii. Często wracał do profesora Joszta w dobrych wspomnieniach.

Wiedza i przeszkolenie technologiczne, jakie Waclaw zdobył na Politechnice Lwowskiej, dały mu przewagę nad kolegami ze Stanów Zjednoczonych, bowiem profesorowie Politechniki należeli do światowej czołówki uczonych, a zwłaszcza profesor Joszt, który przewidywał współpracę z Waclawem, tylko panowie nie wiedzieli, że to już nie we Lwowie.

Okres okupacji niemieckiej we Lwowie to także czas pracy Waclawa w Instytucie Badań nad Tyfusem Plamistym i Wirusami u profesora Rudolfa Weigla – wspaniałego człowieka i naukowca, który ocalił setki ludzkich istnień i niewątpliwie uratował od zagłady kwiat polskiej inteligencji. Pomógł też bardzo rodzinie Waclawa Szybalskiego. Zatrudnił jego ojca – Stefana – w charakterze osobistego tłumacza języka rosyjskiego, a równocześnie jako automobilista, jeszcze przed wkroczeniem Niemców, ojciec został kierownikiem bazy samochodowej. Kiedy nastali Niemcy i zlikwidowano bazę samochodową, ojciec został karmicielem wszy. Po jakimś czasie profesor zatrudnił także Waclawa na stanowisku kierownika grupy karmicieli wszy zdrowych, a następnie Sta-





sia, brata Waclawa, jako jednego z preparatorów. I tak oto rodzina Szybalskich mogła czuć się choć trochę bezpieczniej. W grupie Waclawa pracowali w większości lwowscy uczeni z lwowskiej szkoły matematycznej (m.in. Stefan Banach), bakteriolog, artyści w szerokim tego słowa znaczeniu (m.in. Stanisław Skrowaczewski), twórcy i tak ważne dla nauki i Lwowa osoby, jak m.in. profesor Stanisław Kulczyński, były rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza. Poprzez zatrudnienie tak wielu osób profesor Weigl ochronił usuniętych z pracy profesorów i ich współpracowników, ludzi związanych z podziemiem, a także z Radą Pomocy Żydom.

Profesor Waclaw Szybalski darzył profesora Weigla wielkim szacunkiem, wdzięcznością i sympatią. Po śmierci Weigla na wiele lat zapadło o nim milczenie. W powojennej Polsce chciano zabić pamięć o Lwowie, o polskiej przeszłości, o takich ludziach jak Rudolf Weigl. Dzięki profesorowi Szybalskiemu niejako odżyła pamięć o tym wspaniałym człowieku, był bowiem rozgoryczony, że tak wielki naukowiec, tak szlachetny człowiek nie został doceniony, choć dwukrotnie był o krok od nagrody Nobla. Cóż, pomówienia, oskarżenia o kolaborację z Niemcami zamknęły tę drogę. A przecież był Polakiem z wyboru. Wiadomo, że swoje życie poświęcił nauce, nie oczekując nagród ani odznaczeń, ale... Jedyne, co nagrodziło

jego wysiłek, to medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, którym został pośmiertnie odznaczony w roku 2003 za pomoc ludności żydowskiej. W 2015 roku w ramach serii wydawnictw Fundacji im. Profesora Waclawa Szybalskiego ukazała się książka autorstwa Ryszarda Wójcika *Kapryśna gwiazda Rudolfa Weigla*, w całości sfinansowana przez Fundację. Warto zaznaczyć, że w książce znalazł się rzetelnie opracowany *Wykaz osób zatrudnionych w Instytucie prof. Rudolfa Weigla w latach niemieckiej okupacji (lipiec 1941–lipiec 1944)* autorstwa Katarzyny Cieślak i Mariana Kłapkowskiego.

W maju 1944 roku, po ukończeniu Politechniki, Waclaw wyjechał ze Lwowa do Końskich, gdzie przebywała już jego rodzina wraz z młodszym bratem Stasiem. Po pałacowym, otwartym, pełnym elegancji domu we Lwowie mansarda przy strychu „zrobiła na nim wrażenie”; była skromnym pomieszczeniem, ale bezpiecznym, a to w owym czasie liczyło się najbardziej. Były tam już poustawiane z pietyzmem przez matkę rzeczy przywiezione ze Lwowa. I teraz to miejsce stało się domem rodziny Szybalskich.

29 listopada 1945 roku Rada Wydziału Chemicznego Politechniki Śląskiej, na podstawie dyplomu ukończenia studiów na Politechnice Lwowskiej, przyznała Waclawowi Szybalskiemu stopień akademicki inżyniera chemika, a dziekanem Wydziału, który podpisał dyplom, był prof. dr inż. Alfred Joszt.

Po zakończeniu wojny w 1945 roku Waclaw wyjechał na Wybrzeże, chciał trafić na Politechnikę w Gdańsku, bowiem niezmiennie najbardziej zależało mu na pracy naukowej. Gdańsk był bardzo zniszczony, ale zarówno mieszkanie, jak i lepsze warunki do życia znalazł w Sopocie. Jednak najważniejsza była Politechnika i start do pracy naukowej. Wobec tego udał się do Gdańska, na Politechnice spotkał starszego pana, który okazał się być profesorem ze Lwowa, a był to Włodzimierz Wawryk (absolwent Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, doktor chemii w zakresie mineralogii i petrografii) i aktualnie piastował stanowisko dziekana na Wydziale Chemii. Po krótkiej rozmowie Waclaw Szybalski został mianowany kierownikiem Zakładu Przemysłu Fermentacyjnego i Biotechnologii (później Zakładu Chemii Spożywczej). Na początku trzeba było odgruzować pomieszczenia Politechniki



i stworzyć warunki do pracy. W tym działaniu Waław okazał się doskonałym organizatorem, oczywiście pomocne były także inne osoby, zwłaszcza studenci.

W latach 1945–1946 Szybalski współorganizował Wydział Chemii Politechniki Gdańskiej, tam też wykładał. Równocześnie był kierownikiem Działu Przemysłu Spożywczego w Urzędzie Wojewódzkim. Zresztą w tym czasie pracował na pięciu posadach.

Dla Waława mistrzem i autorytetem w działalności naukowej był profesor Ernest Sym, oczywiście też ze Lwowa. Przekazywał swojemu podopiecznemu wiele cennych rad i wskazówek, ale przede wszystkim proponował mu, aby „natychmiast zrobić doktorat”, a na przyszłość starać się pracować w najlepszych laboratoriach. Tak też się stało – w 1949 roku Waław Szybalski otrzymał stopień doktora nauk chemicznych. A w kwestii laboratoriów? Poszedł wskazaną drogą.

Ponieważ Waławem zaczęła interesować się Służba Bezpieczeństwa, bezzwłocznie wyjechał do Danii, miał tam bowiem już przetartą drogę. W 1946 roku, na zaproszenie noblisty profesora Nielsa Bohra, działającego w Danii w Komitecie Pomocy Kulturalnej Polsce, został zorganizowany wyjazd ze studentami do Kopenhagi. Duńczycy, świadomi sytuacji w Polsce po zniszczeniach wojennych, chcieli pomóc polskim studentom i naukowcom w poszerzaniu wiedzy podczas letnich sesji wyjazdowych. Do organizowania tego przedsięwzięcia dołączyli brat Nielsa Bohra, Harold Bohr – matematyk, a całą organizacją zajął się Stefan Rozent, pochodzący z Polski. Wszelkie koszty podróży i pobytu pokryła strona duńska. I tak 24 czerwca 1946 roku około dwustu trzydziestu studentów i ponad dwudziestu pracowników naukowych z pięciu uczelni – Gdańska, Warszawy i Łodzi – wypłynęło duńskim statkiem do Kopenhagi.

„Rozwinięcie skrzydeł” – tak brzmi jeden z rozdziałów biografii Profesora i tak też potoczyło się jego życie, zarówno naukowe, jak i osobiste. Waława Szybalskiego najbardziej interesowała biochemia drobnoustrojów. I właśnie w Kopenhadze w Instytucie Technologii w Carlsberg Laboratory naukowo działał prof. Qjwind Winge, pionier i ojciec genetyki drożdży i bakterii. W latach 1947–1949 Waław Szybalski pracował na najwyższych obrotach – równolegle

w trzech, a nawet czterech laboratoriach. Ten czas pobytu w Danii posłużył zarówno budowaniu dorobku, jak i opinii dobrego naukowca.

Lata 1950–1956 to czas pracy naukowej w Cold Spring Harbor Laboratory w Stanach Zjednoczonych, właśnie tam formowały się zręby genetyki bakterii i wirusów. To światowy instytut naukowy, zajmujący się badaniami m.in. w dziedzinie neurobiologii, chorób nowotworowych, genetyki roślin i biologii komórki. To miejsce miało stać się domem Waława na kilka następnych lat.

1956–1960 to lata pracy w Instytucie Mikrobiologii Uniwersytetu Rutgersa w New Brunswick w zespole laureata nagrody Nobla profesora Selmana Waksmana.

Od roku 1960 Waław Szybalski był profesorem onkologii w Mc Ardle Laboratory Uniwersytetu Wisconsin w Madison. Choć w 2003 roku oficjalnie przeszedł na emeryturę, nadal prowadził aktywną działalność naukową.

Profesor Waław Szybalski, jako naukowiec wielkiego formatu, dokonał wielu odkryć na miarę nagrody Nobla i choć ta do niego nie trafiła, to na pewno był prekursorem badań wielu noblistów. Wszystkie prace, poparte wieloma doświadczeniami prowadzonymi przez Profesora, były wielkim odkryciem. Trudno w tym miejscu omawiać jego naukowe sukcesy, trzeba by napisać kolejną książkę, można natomiast określić dziedzinę, w których poruszał się z wielkim powodzeniem. Najogólniej rzecz biorąc, szerokie spektrum działalności naukowej Profesora obejmowało takie dyscypliny, jak: biologia molekularna, genetyka molekularna, biotechnologia, onkologia, a w ich obrębie terapia wielolekowa i płynące z niej korzyści, jak leczenie gruźlicy, białaczki dziecięcej i AIDS (1952–1957), terapia genowa (1962–1969, twórcza), która przywraca zdrowie dzieciom pozbawionym układu odpornościowego, inne dzieci chroni przed utratą wzroku, daje nadzieję chorym na hemofilię, synteza *in vitro* biologicznie czynnego DNA (1961–1964, z dr Różą Litman), inżynieria genetyczna (dzięki niej rozwój biologii i genetyki molekularnej), biologia syntetyczna (1974–2009, twórcza), unikatowe badania nad wirusem bakteryjnym, zwanym fagiem lambda (1969–2009). Poza tym Profesor wniósł istotny wkład w poznanie sekwen-

cji genomu ludzkiego. Dodam, że wśród osób, z którymi współpracował, była także jego żona Elizabeth z domu Hunter, która była świetnym mikrobiologiem i cytologiem, zatem razem państwo Liz i Wacław Szybalscy mogli więcej... Trzeba też pamiętać, że w laboratoriach Profesora pracowało wielu naukowców z Polski, bo tak pojmował pomoc Ojczyźnie – trzeba przenieść do Polski nową wiedzę na temat nauk biomedycznych.

Nazwisko Profesora kojarzone jest na świecie przede wszystkim z badaniami, które pozwoliły na rewolucyjne wprowadzanie DNA do komórek ludzkich, czyli transformację komórek. Jego prace w dziedzinie genetyki i biologii molekularnej są wykorzystywane do badań nad działaniem genów.

Swoje genialne hipotezy Profesor prezentował na sympozjach, kongresach, zjazdach, niejednokrotnie posłużyło to innym naukowcom i było wykorzystywane w pracach uhonorowanych nagrodą Nobla. Zawsze bronił zasad etyki zawodowej i odpowiedzialności naukowej w prowadzeniu badań genetycznych.

Hojność Profesora Wacława Szybalskiego nie miała granic. Przez cały czas pobytu na emigracji utrzymywał bliski kontakt z Polską. W każdym wystąpieniu zaznaczał, że jest Polakiem urodzonym we Lwowie, w Polsce, i jest absolwentem Politechniki Lwowskiej. Szczególnie podkreślał pisownię miasta Lwów, lubił też *Leopolis*. Tę pamięć o Polsce, o Lwowie wyrażał także w postaci gestów wspaniałomyślności, pewnie nie o wszystkich wiemy, ale o tych najważniejszych trzeba powiedzieć koniecznie.

Profesor przekazywał fundusze na różne cele, które miały związek z wzbogacaniem wiedzy o polskim Lwowie. Powstały obszerne portale tematyczne, m.in. o profesorze Rudolffie Weiglu, Lwowskiej Galerii Obrazów czy o uczelniach wyższych. Przekazał poważny wkład finansowy na rozbudowę i wyposażenie obiektów akademickich w Gdańsku, czyli na Politechnikę, Akademię Medyczną i Uniwersytet Gdański.

Wspierał finansowo takie inicjatywy, jak m.in.: wydawanie „Rocznika Lwowskiego”, zakup nowoczesnego sprzętu dla Teatru Polskiego we Lwowie, działalność redakcji „Rocznika Lwowskiego” i Instytutu Lwowskiego, prowadzonego przez profesora Janusza Wasylkowskiego, i Radia Lwów,

a także pomoc Polakom, którzy zostali we Lwowie. Sfinansował znaczną część kosztów budowy wrocławskiego obelisku upamiętniającego zasługi profesora Weigla czy remont grobowca profesora chemii Politechniki Lwowskiej Wacława Leśmiańskiego.

Ufundował samodzielnie kryształową podświetlaną tablicę w Instytucie Biochemii i Biofizyki PAN w Warszawie poświęconą Profesorom Lwowskim zamordowanym przez Niemców w lipcu 1941 roku na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie. Odsłonięcia tablicy pamiątkowej dokonał 24 czerwca 2008 roku przyjaciel profesora – noblista, najśłynniejszy biolog XX wieku, James Watson, jeden z dwóch odkrywców struktury DNA. Pod listą nazwisk tych, którzy tej nocy zostali w bestialski sposób pozbawieni życia jest napis: „Blisko połowa ofiar tego ludobójstwa to moi lwowscy nauczyciele, lekarze i przyjaciele. Tablicę poświęcam ich pamięci. Wacław Szybalski, absolwent VIII Gimnazjum i Politechniki Lwowskiej...” Autorem projektu był Krzysztof Kujawski, a przygotowania trwały 2 lata, przy czym Profesor osobiście nadzorował postępowanie prac. Wspomógł także finansowo budowę pomnika ku czci lwowskich profesorów, ich bliskich i przyjaciół rodzin, odsłoniętego w lipcu 2011 roku na miejscu zbrodni we Lwowie.

Profesor Wacław Szybalski był wybitnym naukowcem o światowej sławie, twórcą biologii syntetycznej, pionierem światowej biotechnologii, terapii genowej, genetyki. Jego aktywność zaznaczała się w każdej z tych dziedzin.

W latach 1945–1949 brał aktywny udział przy tworzeniu Wydziału Fermentacji Przemysłowej i Biotechnologii Gdańskiej.

W 1976 roku Profesor Szybalski założył czasopismo naukowe „Gene” i przez 20 lat był jego redaktorem naczelnym. Wydawane było w Amsterdamie przez jedno z największych światowych wydawnictw naukowych Elsevier. Wszystkie zeszyty „Gene” noszą i będą nosić nazwisko lwowskiego i polskiego naukowca: „FOUNDED IN 1976 BY WACŁAW SZYBALSKI”.

Również w 1976 roku powołał nowy oddział genetyki molekularnej w Laboratorium McArdle przy Uniwersytecie Wisconsin w Madison.

Ufundowany przez Profesora: Wacław Szybalski Annex przy Carnegie Library w La-



Uroczystość nadania Waławowi Szybalskiemu doktoratu *honoris causa* przez Politechnikę Gdańską w 2001 r. Po prawej promotor prof. Edward Borowski (fot. S. Kosiedowski)

laboratorium Cold Spring Harbor (2005–2009) to trzykondygnacyjny aneks do biblioteki tego laboratorium (szereg pokoi z dużą salą czytelną). Zawieszony jest tam duży portret Profesora ufundowany przez noblistę Jamesa Watsona i tablica z brązu, na której widnieje herb rodziny Szybalskich Prus i łaciński napis, wzięty z biblioteki Politechniki Lwowskiej: HIC MORTUI VIVUNT ET MUTI LOQUUNTUR tzn. TUTAJ ZMARLI ŻYJĄ, A NIEMI MÓWIĄ. Trzeba dodać, że biblioteka Politechniki Lwowskiej została zbudowana w 1934 roku, a jednym z jej fundatorów był ojciec Waławowa, inżynier Stefan Szybalski. Po uroczystości otwarcia aneksu Profesor powiedział: „Nic bym nie zdziałał, gdybym nie był lwowskim inżynierem”.

Z inicjatywy Profesora powstała idea utworzenia jednostki naukowo-dydaktycznej: Międzyuczelnianego Wydziału Biotechnologii Uniwersytetu Gdańskiego i Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego w Gdańsku. Profesor przyczynił się finansowo do powstania Wydziału Biotechnologii, co znalazło wyraz w treści umieszczonej w październiku 2004 roku tablicy w budynku Wydziału. Z kolei 27 października 2009 roku na ścianie Wydziału Biotechnologii została odsłonięta tablica poświęcona pamięci inicjatorów i twórców Międzyuczelnianego Wydziału Biotechnologii Uniwersytetu Gdańskiego i Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego z nazwiskami profesora Waławowa Szybalskiego i jego współpracowników, a wcześniej uczniów: profesor Anny J. Podhajskiej i rektora Uniwersytetu Gdańskiego profesora Karola Taylora, z podziękowaniem wykładawców i studentów.

W okresie wakacji odbywały się Letnie Szkoły Biotechnologii, w których wielokrotnie uczestniczył Profesor, prowadząc wykłady dla pracowników i studentów. Pierwszą z nich zorganizowała Anna (Jagoda) Podhajska w 1994 roku.

W 2004 roku na terenie kampusu Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego powstał budynek Trójmiejskiej Akademickiej Zwierzężarni Doświadczalnej, były tu także laboratoria. Profesor Szybalski przekazał na ten cel prywatną dotację w wysokości około miliona złotych.

Najwyższy czas, aby powiedzieć o zaszczytach...

Profesor Waław Szybalski został wyróżniony godnością doktora *honoris causa* pięciu polskich uczelni: Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie (1980), Uniwersytetu Gdańskiego (1989), Akademii Medycznej w Gdańsku (2000), Politechniki Gdańskiej (2001), a także Uniwersytetu Jagiellońskiego (2012).

Był laureatem nagrody Casimir Funk Natura Science w dziedzinie nauk przyrodniczych Polskiego Instytutu Sztuki w Nowym Jorku w 2003 roku.

W 2004 r. został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi RP. W 2011 roku został odznaczony przez Prezydenta Bronisława Komorowskiego Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski (Polonia Restituta) za wybitne osiągnięcia w pracy naukowej



Prof. Waław Szybalski – Kawaler Orderu Odrodzenia Polski, Polonia Restituta, na Zamku Królewskim w Warszawie, 3 maja 2011 r.

i badawczej w dziedzinie biotechnologii i genetyki oraz za działalność dydaktyczną.

W 1975 r. został członkiem honorowym Polskiego Towarzystwa Mikrobiologów, w 1995 r. – członkiem zagranicznym Polskiej Akademii Nauk, w 2012 r. – członkiem zagranicznym Polskiej Akademii Umiejętności. Jest laureatem wielu nagród i wyróżnień zagranicznych. W 1970 r. otrzymał nagrodę Karla-Augusta Foerstera Niemieckiej Akademii Nauki i Literatury, w 1977 r. został laureatem nagrody w dziedzinie biologii Fundacji Alfreda Jurzykowskiego w Nowym Jorku, w r. 1994 otrzymał Medal Hilldale, najwyższe odznaczenie Uniwersytetu Wisconsin, w r. 1995 Złoty Medal Grzegorza Mendla, przyznawany przez Akademię Nauk Republiki Czeskiej. W 2012 r. został w Nowym Jorku laureatem konkursu „Wybitny Polak”.

Szereg budynków uniwersyteckich i politechnicznych w Gdańsku nosi nazwisko profesora Szybalskiego.

O Uniwersytecie Jagiellońskim i dwudniowych uroczystościach dedykowanych Profesorowi słów parę:

28 września 2012 roku Uniwersytet Jagielloński nadał swoje najwyższe wyróżnienie – doktorat *honoris causa* – profesorowi Wacławowi Szybalskiemu, emerytowanemu profesorowi McArde Laboratory for Cancer Research University of Wisconsin w Madison, USA. Uroczystość, uświetniona udziałem wielu innych przedstawicieli nauki polskiej, była zarazem pierwszym punktem międzynarodowej konferencji naukowej.

– To ogromny honor dla mnie otrzymać doktorat *honoris causa* UJ, ale jako rodowity lwowianin chciałbym, by w ten sposób było uhonorowane moje królewskie, stołeczne miasto Lwów, bo to moja ziemia ojczysta – powiedział podczas uroczystości w Collegium Maius UJ prof. Szybalski.

Drugim wydarzeniem konferencji była dwudniowa sesja, której obrady toczyły się w siedzibie Polskiej Akademii Umiejętności przy ulicy Sławkowskiej 17 w Krakowie. Odbyła się także dwudniowa sesja naukowa poświęcona 50. rocznicy terapii genowej, której podstawy stworzyli w pionierskich doświadczeniach profesor Szybalski i jego żona Elizabeth. Podczas sesji odbyła się ceremonia powołania Profesora w poczet członków zagranicznych Polskiej Akademii

Nauk. Pełny tytuł sesji brzmiał: „50-lecie terapii genowej. Wkład Profesora Szybalskiego do nauki i ludzkości”.

W latach osiemdziesiątych Profesor zainicjował zbiórkę pieniędzy na pomoc polskiej nauce. Z inicjatywy Profesora została utworzona fundacja jego imienia, na którą przekazał swoje prywatne fundusze. Sprawami organizacyjnymi zajęła się profesor Ewa Łojkowska i zrealizowała myśl Profesora. W 2007 roku została prezesem Fundacji i czuwa nad nią do dziś. „Fundatorem i założycielem Fundacji swojego imienia jest Profesor Wacław Szybalski. Celem Fundacji jest działanie na rzecz nauki, w szczególności poprzez wspieranie naukowców i zespołów badawczych zajmujących się naukami ścisłymi i przyrodniczymi, a także wspieranie międzynarodowej wymiany ich doświadczeń i wiedzy. Celem Fundacji jest działanie na rzecz wzmocnienia międzynarodowego prestiżu nauki polskiej oraz miasta Lwowa”. I można powiedzieć, że czytając cele Fundacji, zgodne ze statutem, we wszystkich bez mała punktach czytamy: „Lwowa i Kresów Wschodnich...”. Tu komentarz na pewno nie jest potrzebny.

Z inicjatywy profesora Szybalskiego w 2007 r. w ramach działalności fundacji ustanowiono nagrodę naukową. Laureatem Nagrody Specjalnej Fundacji Profesora Wacława Szybalskiego, za działalność związaną z upowszechnianiem wiedzy o możliwościach i ograniczeniach medycyny regeneracyjnej, został profesor Józef Dulak z Instytutu Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. To wielki zaszczyt, tym bardziej że panowie utrzymywali kontakty naukowe – profesor Szybalski dwukrotnie odwiedził Wydział Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii UJ, pierwszy raz w 2008 roku razem z odkrywcą DNA Jamesem Watsonem, laureatem nagrody Nobla.

Po ukazaniu się książki Jarosława Abramowa-Newerlego pt. *Wacław Szybalski o Lwowie, genach, istocie życia i noblistach*, wydanej przez Fundację, przygotowana została wystawa obrazująca treść książki promowanej na spotkaniach z autorem. Takie spotkania miały miejsce na uczelniach gdańskich, w Krakowie na Wydziale Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, ale także na Uniwersytecie we Lwowie.

Jaki był profesor Waclaw Szybalski? Jako naukowiec – genialny; człowiek, który w pełni wykorzystał swój talent, niezwykle przedsiębiorczy, nie tylko wielki uczyony, ale też świetny organizator nauki. Naukowy pedant, który nie tracił czasu, miał zaplanowaną każdą minutę. Odpowiedzialny, opiekuńczy, przewodził i skupiał wokół siebie innych kolegów, miał wielu przyjaciół, szybko zdobywał autorytet, zdecydowany, silny, ale bardzo spokojny. Człowiek pięknego umysłu, oddany Ojczyźnie, ludziom, sprawom, a zawsze najważniejszy był Lwów. Ciepły, serdeczny, towarzyski, z dużym poczuciem humoru. Do wyboru przyszłej małżonki podszedł z igraszką naukowym zacięciem: *Wiedziatem, że musi być naukowcem. Chciałem, żeby była bardzo mądra, żeby dobrze wyglądała, żeby była szczupła, dobra narciarka, z dobrej rodziny i żeby za dużo nie mówiła – żeby była cicha i spokojna.*

Był sentymentalny – to było najbardziej widoczne w jego wspomnieniach ze Lwowa. Lubił życie, narty, wodę, muzykę klasyczną, raczej utwory kompozytorów współczesnych: Lutosławskiego, Szymanowskiego, Prokofiewa, Pendereckiego, a ukochaną kompozytorką i skrzypaczką była Grażyna Bacewicz.

Po 24 latach od opuszczenia Lwowa, w 1978 roku, Profesor odwiedził swoje miasto. Jako gość zaproszony przez Akademię Nauk ZSRR miał propozycję odwiedzenia różnych miejsc, ale uparcie powtarzał: – Ja chcę do Lwowa.

Zobaczył smutne, zmienione miasto. Ale sentymentalnie poszedł do ukochanego VIII Gimnazjum. Pracownie były prawie nietknięte. W pokoju przyrodniczym te same ekspozycje, tyle że po ćwierć wieku „nieco” zakurzone... Od 1990 roku Profesor odwiedzał Lwów co kilka lat, okazją były bowiem konferencje poświęcone biotechnologii. Gdy ponownie do Lwowa przyjechał w 2005 roku, z radością zwiedził Cmentarz Obrońców Lwowa, odbudowany z wielkim wysiłkiem i trudem.

Nie było już tak bardzo przygnębiająco. A potem znów Gimnazjum, Park Stryjski, Teatr-Opera, odwiedziny znajomych, bywał u pani Janiny Zamojskiej, u państwa Tyssonów. Cóż mówić, był w swoim ukochanym mieście Lwowie, zostawił tu swoje dzieciństwo i młodość, wyjechał wyposażony w wiedzę, z której korzystał przez całe swoje naukowe życie, a zdobył ją na Politechnice Lwowskiej. Sentymentalnie... Nie chciał tracić nadziei, że odzyskamy Lwów.

*Profesor Waclaw Szybalski, należący do wspaniałego przedwojennego pokolenia „Kolumbów – rocznik dwudziesty”, urodzonego i wychowanego w wolnej, odrodzonej po 123 latach zaborów Ojczyźnie, na dodatek we Lwowie, prawdziwie polskim mieście, całym swoim życiem dowodzi, że naczelną wartością, jaka mu przyświeca, jest lwowski i polski patriotyzm.*

Tak powiedział o Profesorze Stanisław Kosiedowski, prezydent Fundacji im. Profesora Waclawa Szybalskiego, przyjaciel Profesora, inżynier informatyk, absolwent Wydziału Automatyki Politechniki Lwowskiej, twórca i administrator strony internetowej *Mój Lwów*.

Polecam Państwu tę książkę z wielu powodów:

- jest pięknie skomponowana, tak, bo powiedzieć „napisana” – to za mało
- jest w niej jakiś niezwykły klimat, ale to chyba dzięki wrażliwej duszy autora, pana Jarosława Abramowa-Newerlego
- jest o niezwykłym, wspaniałym, niepowtarzalnym człowieku
- ma bogate przypisy, ich wartość doceniłam, kiedy chciałam o kimś wiedzieć coś więcej
- bogato ilustrowana fotografiami i cudownymi rysunkami.

I za te wszystkie walory dziękuję po stokroć wszystkim, którzy przyczynili się do takiego sukcesu!

Piotr Boron

# Jerzy Bożyk vel Boży Jerzyk, Lwowiak vel Krakus

Przygotowując się do tego artykułu wspomnieniowego, zrobiłem szeroką kwerendę i z przytłaczającą większością tekstów wyniosłem wrażenie, że był to człowiek widziany z daleka jako koncertująca sława jazzu. Nie przecząc tej wizji, postanowiłem wspomnieć go jednak przede wszystkim takim, jakim go znałem osobiście – jako Jureczka, który był u mnie w domu ponad sto razy, a z jego rodziną zaprzyjaźniłem się na wieki. Dlatego i tym razem zwróciłem się z prośbą o pomoc do jego brata – Piotra, któremu wdzięczny jestem za tak życzliwą pomoc, że oddając do druku tekst, mam skrupuły, czy nie powinienem podpisać Piotra jako współautora...



Jurek u nas w domu na wsi

## Przodkowie z Francji

Rzeczpospolita Obojga Narodów była tyleż przedmurzem chrześcijaństwa, co i azylem dla ludzi prześladowanych za swoje wyznanie w państwach, które zwykły pouczać innych w kwestiach tolerancji. Wojny religijne w XVI-wiecznej Francji miały bardzo ostry przebieg, a gdy zaczęły się masowe rzezie, rodzina hugenocka Papée, uciekając z Dijon przez Brunszwik, odnalazła w Polsce schronienie. Mężczyźni z tej rodziny byli na ogół drukarzami i specjalistami od fechtunku. Jej przedstawiciele szczególnie ulubili sobie dwa miasta: Lwów i Kraków.

Sławnym przedstawicielem rodziny Papée był Fryderyk – urodzony w 1856 roku w Złoczowie niedaleko Lwowa. Był synem swego imiennika – urzędnika lwowskiego. Fryderyk junior zasłynął jako wybitny historyk i bibliotekoznawca. Pracował najpierw jako profesor w Gimnazjum nr II we Lwowie, Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Lwowie, a następnie jako profesor na Uniwersytecie Jagiellońskim, dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej, zastępca dyrektora Biblioteki Książąt Czartory-

skich i członek Polskiej Akademii Umiejętności. Był współzałożycielem i działaczem Polskiego Towarzystwa Historycznego we Lwowie i w Krakowie.

We Lwowie w 1889 r. przyszedł na świat jako syn wyżej wspomnianego Fryderyka i Władysława z Anczyców (a zatem wnuk Władysława Ludwika Anczyca) Kazimierz Nienburg-Papée. Ich rodzina przeniosła się w 1905 roku do Krakowa, więc studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wybitny dyplomata w Hadze, w Berlinie, w Pradze i na wielu innych placówkach, a wreszcie w latach 1939–79 (do śmierci) w Watykanie jako przedstawiciel Rządu RP oraz Rządu RP na Uchodźstwie (w różnym charakterze) jako symbol więzi Polaków z papieżem, mimo zerwania stosunków dyplomatycznych ze Stolicą Apostolską przez PRL. Był żonaty z Leonią Hubal-Dobrzańską (siostrą sławnego Majora Hubala). Jego brat Adam Papée, urodzony we Lwowie w 1895 roku, zasłynął jako kilkakrotnie mistrz Polski w szermierce, medalista olimpijski oraz znany działacz sportowy. Walczył w Powstaniu Warszawskim, a po wojnie mieszkał w Krakowie. Silnie związany z Krakowem był krytyk literacki i polonista Stefan Papée (1897–1981).

## Na tle wielkiej historii

Matką Jurka i Piotra była Helena Papée, bardzo utalentowana muzycznie artystka malarza i witrażystka. Jej ojcem był Maksymilian,

dr weterynarii i dyrektor Rzeźni Miejskiej w Krakowie. Ponieważ miał mieszkanie służbowe przy pracy, więc Helena urodziła się – jak byśmy to dziś mogli określić – na terenie Galerii Kazimierz. Z tamtych czasów pochodzi niesamowita historia rodzinna, powtarzana z pokolenia na pokolenie. Maksymilian miał szwagra Austriaka. Ten hulaka i hazardzista wpadł kiedyś w wielkie kłopoty finansowe i doszedł do wniosku, że najlepszym wyjściem z sytuacji jest samobójstwo. W trosce o jego liczną rodzinę Maksymilian postanowił wziąć na siebie spłatę większości długów weksłami i sam znalazł się w trudnej sytuacji. Odajmy głos Piotrowi Bożykowi: „Zrozpaczonemu dziadkowi przyśnił się (wówczas już nieżyjący) przyjaciel, prezydent Józef Dietl, który zaoferował pomoc z zaświatów: – Maksiu, idź na mój grób na Rakowicach i postaw na znalezione tam liczby, skończą się twoje kłopoty! (grób Dietla jest w sąsiedniej alejce od naszego grobu rodzinnego) Dziadek początkowo zlekceważył sen, jednak po jakimś czasie zdecydował się wysłać z tą misją swojego pracownika. Jakież było jego zdziwienie, gdy z szeregu wylosowanych liczb tylko jedna była błędna. Okazało się, że pracownik pomylił wykutą siódemkę z jedyneką...”

Helena postanowiła zdawać na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie i w oczekiwaniu na dopełnienie formalności usłyszała, że ktoś gwizdząc Mozartowską *Eine kleine Nachtmusik*, więc dołączyła się drugim głosem i tak poznała przyszłego swojego męża Eugeniusza Bożyka. Okazało się, że on – tak jak i jej rodzina – pochodzi z okolic Lwowa, a dokładniej z Rawy Ruskiej, gdzie podczas długiego chłania wódki w dniach 10–13 VIII 1698 r. przez Augusta Mocnego i Piotra Wielkiego wyklął się prawdopodobnie pomysł wspólnej napaści na Szwecję, co przerodziło się w wojnę północną. Bożykowie byli tam znani z muzycznych talentów, którymi szafowali na wielu uroczystościach religijnych różnych wspólnot, a brat i siostra Eugeniusza ukończyli konserwatorium muzyczne we Lwowie.

## *Beztraskie dzieciństwo*

Jerzy Michał urodził się 7 maja 1941 r. w okupowanym od września 1939 r. Lwowie, czyli przez półtora miesiąca był obywatelem ZSRR, a już wkrótce dostał się pod okupację hitlerowską w związku z ofensywą niemiecką, roz-

poczętą 22 czerwca 1941 roku. Zestaw jego imion jako żywo odzwierciedlał etos sienkiewiczowskiego pana Wołodjowskiego. W trzy lata później przyszedł na świat – ale już nie w Krakowie, lecz w Chrzanowie, gdzie rodzina przyjęła uciekinierów ze Lwowa – jego młodszy brat Piotr. Jak zatem widać, migracje Heleny i Eugeniusza były podobne do losów wielu ówczesnych Polaków, którzy najpierw w obawie przed Niemcami uciekli na Wschód, a następnie, aby nie dosięgła ich władza sowiecka, woleli uciec na Zachód.

Utalentowany muzycznie od najmłodszych lat Jerzy Michał zapisany został do szkoły muzycznej, gdzie jedną z jego koleżanek z klasy była Ewa Demarczyk. Brat Piotr wspomina, że ich dzieciństwo – szczególnie w kontraście do wojennej pożogi – przedstawiało się jako idylla. Rodzina mieszkała na Podgórzu w kamienicy przy ul. Krakusa 21 na terenie niedawnego getta. Piotr Bożyk tak ją i jej właściciela wspomina: „To była kamienica przyjaciela dra Adama Papée (brata Mamusi), lekarza Ferdynanda Pawłowskiego (m.in. legionisty). Adam Papée, uczestnik I i II wojny, przed wojną lekarz zdrojowy w Krynicy, ginekolog (m.in. specjalista od leczenia niepłodności, u niego pod zmienionym nazwiskiem leczyła się królowa holenderska Juliana – jak się okazało... skutecznie). Adam był zmobilizowany w stopniu kapitana gdzieś na Kresach – zgarnęli go sowieci i osadzili w kopalni w Archangielsku. Po układzie Sikorski–Majski dotarł jakoś do Armii Andersa i przeszedł cały szlak bojowy łącznie z Monte Cassino. Nie wrócił do okupowanej przez sowietów Polski (zbyt świeże doświadczenia z NKWD). Emigrował do brata do Brazylii. Przez lata pracował na etacie noszowego u brazylijskiego ginekologa (Brazylia nie nostryfikuje żadnych dyplomów), leczył rdzennych mieszkańców w interiorze, zmarł w Brazylii”.

Chłopcy nie mieli świadomości strasznych losów Żydów, wysiedlonych stąd przez Niemców. Dopiero w latach 80., a oni już tam nie mieszkali, gdy przybyła ocalała Żydówka i wruszała się detalami architektonicznymi na strychu, więźbą i zakamarkami, odczuli w pełni, że ten ich świat wyobraźni, tworzony na strychu doświetlonym przez szklane dachówki, był też kiedyś taką baśniową krainą dla innych dzieci.

Kochający rodzice starali się, aby dzieciństwo dwóch chłopaków biegło radośnie wśród



sztuki, a przede wszystkim muzyki i teatru. Ojciec Eugeniusz (scenograf) stworzył nawet niewielki teatr, na którego spektakle przybywali sąsiedzi. Twórczość artystyczna była sensem życia rodziców, a wyobraźnię odziedziczyli chłopcy z różnymi konsekwencjami. Piotr wspomina jedno z najsilniejszych i traumatycznych przeżyć z dzieciństwa, gdy któregoś dnia Jurek, rozczytujący się w opowiadaniach science-fiction Stanisława Lema, zbudował statek kosmiczny z „napędem śniegulinkowym”. Do czterech nóg krzesła przywiązał chusteczki z owocami tego krzewu, który znamy szczególnie dobrze, bo jego owoce w postaci białych kulek, pękających z charakterystycznym „plaskiem”, są jeszcze długo w zimie pysznym pożywieniem dla ptaków. Obiektywnie więc nie było się czego obawiać, ale dla młodszego Piotra oświadczenie takiego autorytetu jak starszy brat, że za chwilę usiądzie w statku kosmicznym i polecą – bagatela! – na Księżyc, spowodowało wielkie przerażenie. Błagał więc Jurka ze łzami w oczach, aby nie odlatywał tak daleko. Jurek rzeczywiście „odpalił”, ale na szczęście pozostał z bratem w pokoju, a ich więź do końca życia może być dla wszystkich wzorem miłości braterskiej.

Rodzina Bożyków zwyczajowo spędzała wakacje koło Makowa Podhalańskiego w willi „Agata” u babci Rybczyńskiej we wsi Żarnówka. Jej dom był jakby wyjęty z epoki secesyjnej z wystrojem, ale może jeszcze bardziej stylem babci – staropolskiej arystokratki, potomkini władarzy zbaraskiego zamku i obrońców kresowych stanic, którzy w potrzebie –

jak „pradziad Koziarowski” – walczyli o wolność „waszą”, a w jego przypadku Stanów Zjednoczonych Ameryki. Za swą służbę pod rozkazami Waszyngtona otrzymał spory przydział ziemi – dziś centrum miasta Buffalo. Rodzinny etos posiadania wielkiego majątku w Ameryce był tak silny, że dwukrotnie wysyłali potem z pełnomocnictwami do Ameryki adwokatów, z których jeden został zamordowany w Hamburgu, a drugi zniknął na Nowym Kontynencie.

## *Klasyka i jazz*

Z początkiem lat 50. Eugeniusz Bożyk dostał atrakcyjną ofertę współpracy od Jerzego Kawalerowicza, więc rodzina przeniosła się do Łodzi na ul. Życziwą, gdzie z czasem został wykładowcą w Szkole Filmowej i dyrektorem liceum. Jurek trafił do średniej szkoły muzycznej i zaprzyjaźnił się z kolegą z klasy Michałem Urbaniakiem – wybitnym saksofonistą i skrzypkiem. Jurek Bożyk był przede wszystkim klawiszowcem. Trzeba też zaznaczyć, że już od dłuższego czasu dzielił wprawki muzyczne na oficjalne gamy i pasaże oraz muzykę klasyczną z jednej i jazz z drugiej strony. Jazz uprawiał w konspiracji... Jeszcze w Krakowie odkrył smaczek tego nowego w Polsce stylu, a w Łodzi zdawał się już przechylać w jego stronę. W 1959 roku, ukończywszy szkołę średnią, Jurek z Michałem Urbaniakiem skierowali swe kroki do konserwatorium, zlokalizowanego w pałacu jednego z łódzkich przemysłowców i oddzielonego od Szkoły Aktorskiej pianinem, stojącym w poprzek korytarza. Oddajmy głos bratu Piotrowi: „Oczywiście Jurek otoczony pięknymi studentkami był tam osobistością. Kiedyś samotnie improwizował przy owym pianinie, był w głębokim transie i nie dosłyszał skradającego się z nienawiścią rektora... Ów zaskoczył go, chwytając za uszy. Jurek jednym półbrotem dzielił intruza... Na drugi dzień nie tylko został relegowany, ale powołany do wojska, w którym spędził dwa lata. Do konserwatorium już nie wrócił, ale w 1977 r. zdał egzamin piosenkarski przed samym prof. Bardinim



i stał się twórcą dyplomowanym. Założył jeden z pierwszych zespołów jazzowych w Łodzi, współpracował z Kabaretem „Cytryna” WAM-u. Ukończył eksternistycznie studia magisterskie z teatrolologii (jego praca dyplomowa otrzymała jakąś ważną nagrodę). Nastąpiła Solidarność, a Jurek został bardem NZS-u w Łodzi”.

Przez wiele lat Jurek był działaczem Festiwalu YAPA (Ogólnopolskiego Przeglądu Studenckiej Piosenki Turystycznej) w Łodzi – był jego gwiazdą, jurorem i corocznie dawał kultowy występ, a publiczność skandowała, co ma jeszcze zaśpiewać ze swoich nieco skandalizujących przebojów.

## *Dwa grosze od autora*

Jurka poznałem osobiście w klubie „Kornet” Roberta Jakubca przy Alejach Trzech Wieszczów na tzw. próbach „Old Metropolitan Band”. Jeśli się nie mylę, zespół miał tam dwa wieczory grania w tygodniu. Faktycznie były to koncerty. Jurek zaczął improwizować do arii *Va a pensiero* Giuseppe Verdiego, a mnie napadło, żeby w przerwie zwrócić mu uwagę, że zmienił lekko temat (do dziś mi wstyd, że wtedy wymyśliłem, iż improwizacja musi trzymać się tematu...). Do dziś też wspominam najserdeczniej, że Jurek mnie nie przegonił, ale wyciągnął swój kajećnik i poprosił tylko, abym zanucił, jak to leci prawidłowo. Nagle poczułem, że to tak dobry człowiek, iż chcę go mieć za przyjaciela. Jako profan muzyczny, nie umiałem zapewne docenić w całej rozciągłości jego talentu, ale skutkiem tego lepiej widziałem w nim wspaniałego człowieka.

Oczywiście nasze kontakty nie mogły pominąć muzyki, a nawet zaowocowały wspólnym śpiewnikiem patriotycznym, który doczekał się ponad stu wznowień. Moją pasją jest zbieranie pieśni patriotycznych i śledzenie ich dziejów oraz mutacji. Aby do śpiewnika dodać choćby prymkę dla akompaniatorów, umówiłem się kiedyś z Jurkiem – a było to nawet w domu jego brata, zanim tam zamieszkał. On zasiadł przy fortepianie, ja zaś nuciłem mu te piosenki, których nie znał, i śpiewaliśmy je wkrótce razem, a Jurek przelewał na papier. Wspominam do dziś te chwile jako jedno z najmiłszych w moim życiu.

Tu trzeba koniecznie wtrącić, że Jurek był dla wielu muzykiem kultowym, ale nie miał nic z posągowości. Tak dalece kochał muzykę, że wcale nie dbał o to, czy ktoś mu za występ

zapłaci, i wcale nie negocjował, co i kiedy ma zagrać. Owszem, umawiał się na repertuar, ale równie dobrze odnosił się do chwilowych pragnień towarzystwa, w którym aktualnie przebywał. Nie zapomnę, jak kiedyś u mnie w dworku w gronie kilkudziesięciu osób, już po wspólnym odśpiewaniu kolęd, przyszła pora na koncert życzeń. Wiedząc, że Jurek potrafi zagrać wszystko, zasugerowałem, aby moja teściowa coś zaproponowała. Miłośniczka Nat King Cole’a spytała nieśmiało, czy Jurek przypadkiem zna *Tu es mi corazon*, a on naturalnie odparł: – Ale, czy woli pani po angielsku, czy po hiszpańsku?

Dosłownie każde koncertowanie zawierało wiązkę piosenek lwowskich, które Jurek zapowiadał słowami: „A teraz będzie bardzo miło, jeżeli szanowna publiczność będzie włączać się przynajmniej przy refrenach, a będę śpiewał o moim ukochanym Lwowie, znajdującym się tymczasowo pod obcą administracją”.

Boży Jerzyk miał jeszcze jedną wyraźną cechę: był muzycznie skromny. Są bowiem tacy „wielcy” artyści – jak ci opisani przez Janusza Gajosa w genialnym skeczu – którzy wzrokiem zabijają każdego, kto nie przykłęknie na ich widok. Jureczek po prostu kochał sztukę i korzystał z każdej okazji, by ją upowszechnić. Dopuszczał każdego do śpiewu z nim i bardzo chętnie akompaniował dosłownie każdemu, kto chciał próbować swych sił. Też byłem tego zjawiska beneficjentem, choć przynajmniej miałem świadomość, że coś tu nie grało, bo to on powinien był śpiewać. Ale on się – jak to się mówi – nie certolił i wielu było mu wdzięcznych. A jeżeli ktoś za to mógł go mniej szanować to bardzo brzydko...

## *Mama Helena*

Jurek był mocno związany ze swoimi rodzicami i bratem Piotrem, który serdecznie zaopiekował się nim w ostatnich latach jego życia, przyjął go do swego domu na Zwierzyńcu i stworzył warunki do dalszej działalności muzycznej. Od tak zwanych niepamiętnych czasów u Piotrów ustalił się zwyczaj kolędowania w drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia, czyli św. Szczepana. Długie śpiewanie przy nieprzebranych tłumach gości w rozświetlonym domu i z Jurkiem przy klawiszach to jeden z miłszych fenomenów Krakowa.

Oddajmy jeszcze raz głos prof. Piotrowi: „Miał też niezwykle talent do języków: znał sło-

wacki (został tłumaczem przysięgłym), fiński, niemiecki i angielski. Podczas jednego z występów w klubie Awaria w Krakowie poznał słynnego czeskiego reżysera Petra Zelenkę – od pierwszej chwili się zaprzyjaźnili – Jurek wystąpił niedługo potem w jego filmie *Bracia Karamazow*.

Drobny z pozoru wypadek na rowerze skończył się groźną infekcją i mimo najmniejszych antybiotyków najpierw jednej, a potem drugiej nogi nie udało się uratować. Jurek poruszał się na wózku inwalidzkim (również kolejnymi elektrycznymi pojazdami, które jednak nie wytrzymały długo, bo woził dziewczyny). Występował w wielu miejscach (m.in. w Piwnicy Pod Baranami) i wspierał swoim talentem różne stowarzyszenia – m.in. Lwowiaków. Mimo że opuścił Lwów w wieku kilku lat, czuł się lwowiakiem i podkreślał miłość do tego miasta (nawiasem mówiąc we Lwowie mieszkała druga linia rodziny Papée – słynny dermatolog, profesor Akademii Medycznej. W książce *Lwowska secesja* można zobaczyć zdjęcie pięknej rodzinnej kamienicy przy ul. Asnyka). Taka to rodzina... Mamusia – malarka, miłośniczka Norwida (za czasów licealnych zaczytała się w krypcie wawelskiej pomiędzy Mickiewiczem, Słowackim i Norwidem i została sama w ciemnej, zamkniętej katedrze, dopiero rozpaczliwe jej walenie w drzwi doprowadziło do uwolnienia). Oprócz malarstwa Mamusia była autorką witraży w ponad 150 kościołach – w tym wspaniałych okien w łódzkiej katedrze. Nasza najstarsza córka Marta jest adiunktem na Wydziale Grafiki ASP w Krakowie, autorką ogromnej ilości pięknych linorytów. Nasza średnia córka Maśka jest reżyserem w filmie (m.in. drugi reżyser w *Ostatniej rodzinie*). Najmłodsza Magda jest z wykształcenia etnologiem, a z talentu i zamiłowania kompozytorką i wokalistką jazzową (zaczęła od występów z Jurkiem). Nasza (na razie) jedyna wnuczka Antonina za rok zdaje maturę i przygotowuje się do studiów na ASP. Zdaje sobie sprawę, że nie jest łatwo studiować na uczelni, którą kończył ojciec, gdzie był pedagogiem przez prawie 50 lat i prorektorem w jednej kadencji..."

Ja zaś opowiem dwie charakterystyczne scenki, które przydarzyły się u nas na wsi. Moim imieninom zawsze towarzyszyła piękna pogoda, a corocznie gwiazdą był Jurek, dzielący w tym dniu swoją obecność między imieninami swojego brata i moimi. Rozstawialiśmy zatem

w starym sadzie pod wielką jabłonią kibord i setka ludzi skupiała się wokół Jureczka. Któregoś roku w muzycznym zapamiętaniu połknął muszkę i zaniemówił. Wyglądało to poważnie, muszka mogła wpaść do tchawicy. Przeżrana pani Helena rozejrzała się wokół i krzyknęła: „Dajcież mu szklankę wody!” I wtedy Jurek wyksztusił: „Nie wody! Lepiej koniaku!” Zatrwożeni parsknęli śmiechem, a Jurek śpiewał dalej, jak gdyby nigdy nic. Nastroje zmieniły się łatwo, a odzwierciedlały to piosenki. Innym razem, gdy atmosfera była nostalgiczna, Jurek poprosił o absolutną ciszę i podegrał swojej mamie *A la gare Saint Lazare*, a ona zaśpiewała piękną francuszczyznę. Minęło od tej pięknej chwili wiele lat, a ja wciąż mam w uszach to wykonanie...

## *Nogi, rower, wózek...*

Wspominając Bożego Jerzyka, nie można koncentrować się tylko na muzyce. Mało kto dziś pamięta – bo przeminęło z wiatrem prawie pół wieku temu – ogromne zjawisko autostopu. Jurek był jego pionierem i entuzjastą. To zrozumiałe, bo autostop – poprzez swoją ideę bezinteresownej życzliwości dla podróżujących wagańdów – odzwierciedlał znakomicie charakter Jurka. W tym sensie można powiedzieć bez przesady, że Jurek już przynajmniej częściowo żył w niebie, gdzie nie płaci się odliczoną kwotą za każdą usługę. Jurek tyleż chętnie śpiewał za darmo, jak i dosiadał się do kierowców, zmierzających np. do Kopenhagi.

Był niezmordowanym turystą – jak to się wówczas mówiło: kwalifikowanym. Związany z PTTK, zdobywał odznaki i robił kursy zawodowych przewodników. Prowadził wycieczki po Krakowie, po górach i Szlakiem Orlich Gniazd. Był pasjonatem Marszu Szlakiem Pierwszej Kompanii Kadrowej – z przekonań trochę „en-dek”, trochę piłsudczyk – a przede wszystkim antykomunista. Był też zagorzałym rowerzystą i jako taki wpisał się w pejzaż Krakowa.

Wybaczcie, Kochani Czytelnicy, że nie wymieniam z nazwiska w tym artykule nikogo poza Rodziną Jurka, ale musiałem przyjąć taką konwencję, bo nie miałem szans odnotować wszystkich jego przyjaciół. Wiem, jak miał Was wielu, ale gdybym zaczął listę, to musiałbym pominąć jeszcze więcej. Piszcie o nim także i Wy, godząc się z tym, że kochał naprawdę wielu ludzi, a jeżeli komuś wydawało się, że jego właśnie najwięcej... – to najlepiej świadczy o Bożym Jerzyku.

# ROBIMY SWOJE W BOCHNI I WE LWOWIE

Tekst i fotografie  
Jerzy Pączek



Sytuacja wywołana pandemią wprowadziła dla nas wszystkich wiele ograniczeń. Również działalność szkół została sprowadzona do nauczania zdalnego lub w najlepszym wypadku hybrydowego. Zupełnie jednak zatrzymała wymiany między szkołami, które to wymiany nie były wyłącznie rozrywką, ale miały cele poznawcze i wychowawcze.

Jako wieloletni organizator takich wyjazdów najbardziej żałuję wojaży po Ukrainie.

Moje doświadczenia ukraińskie to temat bardzo rozległy, obejmujący okres ponad piętnastu lat, a w tym dwadzieścia wyjazdów z uczniami na Ukrainę. Analizując te doświadczenia, dokonałem wyboru wydarzeń, które oczywiście subiektywnie opiszę. Pozwolę sobie przedstawić nasze obozy historyczne na Podolu i początki współpracy z Liceum Lingwistycznym we Lwowie. Ten drugi wątek jest bardzo rozległy, skupię się więc tylko na początkach, bez których przecież nie byłoby współczesności. Na wstępie garść informacji o naszej szkole, które mają znaczenie dla prezentowanego tematu.

Jestem wicedyrektorem i nauczycielem historii w I Liceum Ogólnokształcącym im. Króla Kazimierza Wielkiego w Bochni, szkoły, która niedawno obchodziła dwustulecie swego istnie-



nia i należy do najstarszych szkół w Polsce. Zmiany społeczno-polityczne w naszym kraju, a także nasz akces do UE ułatwiły rozwój wymiany międzynarodowej młodzieży i wyjście z turystyką dydaktyczną poza granice naszego kraju. Po roku 2002 nawiązaliśmy współpracę z Liceum im. Martina Hattalu w Trstenie na Słowacji, Goethe Gimnazjum w niemieckim Ibbenbüren, Atlantic Liceum w Kristiansundzie w Norwegii, Liceum Athina w greckiej Trikali, Liceum w Nowym Mieście na Morawach w Czechach i Liceum Lingwistycznym we Lwo-

wie. Właśnie ukraińskiemu kierownikowi naszej współpracy chciałbym poświęcić ten artykuł. Wzmianka o innych szkołach to nie tylko autopromocja I Liceum w Bochni, doświadczenia wyniesione z organizacji projektów unijnych okazały się bardzo przydatne we współpracy na polsko-ukraińskim polu. Pozwalają nam one obecnie spojrzeć na współpracę ze szkołami ukraińskimi z nieco szerszej perspektywy. W tamtych wymianach korzystaliśmy z zaplecza finansowego funduszy unijnych: Socrates-Comenius, Youth, Erasmus+, Polsko-Niemiecka Współpraca Młodzieży, co niezwykle ułatwiało organizację projektu. W przypadku kierunku ukraińskiego mogliśmy obserwować dopiero tworzenie zrębów takiego zaplecza finansowego.

Skąd Ukraina w naszych wymianach? Bochnia leży w Galicji i co rusz jako historyk napotykałem galicyjskie i lwowskie ślady w najbliższym otoczeniu, także i w historii naszej szkoły, którą sam ukończyłem. Jednym z pomysłów zrealizowanych w naszym liceum było nadanie salom lekcyjnym imion wybitnych absolwentów oraz opracowanie na szkolne potrzeby biogramów profesorów: Franciszka Bujaka, Jana Ptaśnika, ks. Jana Fijałka i wielu innych. To przedsięwzięcie prowadziło nas wprost do... Lwowa. Opracowując szkolną galerię nauczycieli sprzed 1918 roku delegowanych przez Radę Szkolną Krajową i nauczycieli z okresu międzywojennego, zauważyliśmy, że wielu spośród nich miało w swej biografii pracę czy studia we Lwowie. Ostatnia absolwentka Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie,

nauczycielka naszej szkoły, odeszła na emeryturę w 1985 roku. Najlepszym przykładem splotu historii polsko-ukraińskiej na bocheńskim gruncie może być postać Teodora Biłousa (Федір Білoус), wieloletniego dyrektora naszego liceum z lat 1868–85, który doprowadził do wzniesienia pięknego neorenesansowego budynku naszej szkoły, a następnie do swojej śmierci w 1892 r. był dyrektorem Liceum w Kołomyi. Pełnił też Teodor Biłous funkcję posła na Sejm Krajowy we Lwowie i zapisał się w historii ukraińskiej literatury. Wszystkie te więzy poszły oczywiście w zapomnienie po 1945 roku, gdy Lwów znalazł się poza granicami Polski. To wszystko, paradoksalnie, wróciło do naszej szkolnej historii dzięki wyjazdom na Ukrainę.

W organizacji takich wyjazdów nie mieliśmy absolutnie żadnego doświadczenia. Pierwsza grupa naszych uczniów pojechała do Lwowa w 2003 r. dołączona do zmierzającej tam pielgrzymki. Z wyjazdu wynieśliśmy jedno cenne doświadczenie. Jeździmy sami!

W 2004 roku zorganizowaliśmy pierwszy tygodniowy obóz naukowy dla klasy humanistycznej na Ukrainie. Na bazę wybraliśmy Kamieniec Podolski i klasztor Sióstr Urszulanek. Okazało się to bardzo dobrym rozwiązaniem logistycznym, chociaż wyjazd obfitował w wydarzenia dla nas szokujące. Po przyjeździe do Lwowa i spektaklu *Aidy* w Operze Lwowskiej nasz pilot i organizator wyjazdu oświadczył, że musi nagle wracać do Polski. Otrzymaaliśmy mapę Ukrainy i adres punktu noclegowego... Po naradzie z kierowcą p. Leszkiem zdecydowaliśmy: Jedziemy. Była to wyprawa pionierska. Na szczęście nasz kierowca miał wielkie doświadczenie w podróżach po Ukrainie. Wielką pomocą służyły nam siostry urszulanki, które przyjęły nas bardzo serdecznie i wsparły logistycznie w wyprawach do Chocimia, Czerniowiec, Żwańca i Bakoty. W następnych latach zorganizowaliśmy jeszcze trzy kolejne wyjazdy po tej samej trasie. Wiodła ona przez Lwów, Buczaczy, Kamieniec Podolski, Chocim, Czerniowce, Żwaniec, Skalę Podolską, Trembowłę, Zbaraż, Wiśniowiec



do Krzemieńca. Tutaj z reguły mieliśmy nocleg i w dniu następnym przez Ławrę Poczajowską, Olesko, Podhorce zmierzaliśmy do Lwowa. W czasie każdego z wyjazdów odkrywaliśmy nowe ciekawe, warte zobaczenia miejsca. Byliśmy m.in. w Borszczowie (Bochnia współpracuje z tym miastem), zwiedzaliśmy przepiękną jaskinię gipsową w Krzywczach, urządzaliśmy ogniska nad rozlanym Dniestrem w Bakocie, pływaliśmy statkiem po Dniestrze we Wróblowcach, byliśmy w Okopach św. Trójcy. W czasie obozów kładliśmy nacisk głównie na historię i literaturę. Na miejscu polonista i historyk analizowali konflikty Rzeczypospolitej XVII w., odwołując się i do utworów literackich. Fragmenty *Wojny chocimskiej* Wacława Potockiego czytane na dawnych szanłach Chocimia (tutaj zaśpiewaliśmy *Bogurodzicę*), *Pana Wołodyjowskiego* na zamku w Kamieńcu Podolskim czy *Ogniem i mieczem* pod zamkiem w Zbarażu, nie mówiąc już o Słowackim w Krzemieńcu *gdzie lkwę srebrne fale płyną*. To zostaje w pamięci.

Wyjazdy dla uczestników były nowym doświadczeniem kulturowym. Pierwszy szok to granica, z którą wcześniej się nie zetknęli. Drugi szok to cyrylica. Nagle okazało się, że żaden z uczniów nie potrafił odczytać nawet nazw mijanych miejscowości. Kolejne zaskoczenie to ukraińskie drogi – daleko odbiegające od standardów unijnych. Ukraina okazała się dla nas krajem fantastycznie tanim. Z drugiej strony stawialiśmy sobie pytanie, jak żyją Ukraińcy, patrząc zwłaszcza na domy i samochody.

Jako organizatorzy po kilku wyjazdach zaczęliśmy sobie stawiać nowe pytania o ich cel. No dobrze, mamy obóz naukowy, oglądamy to, co zostało, krzywimy się na ruiny w Skale Podolskiej, zniszczone Podhorce, przebudowany zamek w Zbarażu i co dalej?

Ponieważ w tym czasie rozwijaliśmy współpracę z izraelską szkołą w Kiryat Yam, nasze wyjazdy na Ukrainę dziwnie zaczęły nam przypominać zwiedzanie Polski przez grupy izraelskie (zwiedzają synagogę w Bobowej, obóz w Płaszowie, Kazimierz krakowski, nocują w hotelu i w następnym dniu przechodzą żydowską trasę w Lublinie, zwiedzają obóz w Majdanku, nocują w hotelu...). To, co nam się tak nie podobało w projektach izraelskich, sami powielaliśmy. Stąd pomysł znalezienia szkoły ukraińskiej, z którą można nawiązać współpracę na zasadzie wymiany. Niestety okazało się to zadaniem dość trudnym. Dzięki

kontaktom w Kamieńcu Podolskim spotkaliśmy się z dyrekcją i nauczycielami jednej z kamienieckich szkół. Wizyta wypadła bardzo dobrze, umówiliśmy się na współpracę. Po powrocie do Polski przygotowaliśmy zaproszenia konieczne do uzyskania wiz, ale do rewizyty niestety nigdy nie doszło. Próby nawiązania współpracy z innymi ukraińskimi szkołami kończyły się dość podobnie: na deklaracjach. Nasze plany mocno przyhamował wybuch wojny ukraińsko-rosyjskiej. Ostatni obóz zorganizowaliśmy w roku 2012, wyprawy w głąb Ukrainy musieliśmy zawiesić i właściwie do dzisiaj do nich nie wróciliśmy. Pozostał Lwów i Opera Lwowska.

Zacząło się od dość niezwykłego zakładu. Założyłem się z jedną klasą, że zorganizuję wyjazd do opery we Lwowie taniej niż do opery w Krakowie. Było to jeszcze przed wybuchem wojny na Ukrainie. Oczywiście znałem realia finansowe Lwowa i wyjazd doszedł do skutku. Uczniowie wrócili zachwyceni Lwowem, operą i... fantastycznymi cenami. Tak rozpoczęły się nasze jednodniowe wyjazdy do opery we Lwowie. Wyjeżdżaliśmy z Bochni w nocy z piątku na sobotę, by rano dotrzeć do Lwowa. Umówieni z przewodnikiem rozpoczynaliśmy nasze dotknięcie Lwowa od Cmentarza Łyczakowskiego. W tym czasie nasz autokar pauzował przepisowe dziewięć godzin pod kurią na ul. Winniczenki. Z cmentarza grupa wędrowała do centrum miasta, przerywaliśmy zwiedzanie na małe „co nieco” najczęściej w Pyzatej Chacie. Po obiedzie mieliśmy jeszcze trochę czasu wolnego na lwowskiem rynku, obowiązkowa zmiana strojów i wędrujemy ul. Łesi Ukrainki na spektakl do opery. Budynek opery i spektakle, nie wspominając o cenach biletów, budziły zachwyt naszych uczniów i nauczycieli.

Po spektaklu przed nami kilkugodzinny, w teorii, nocny powrót do Bochni. Czasami nie obeszło się bez problemów na granicy. Nasz rekord w powrocie ze Lwowa do Bochni to... 27 godzin. Każdego roku organizowaliśmy przynajmniej jeden, czasami dwa wyjazdy do Lwowa. Miasto stawało się nam coraz lepiej znane i coraz bliższe. Wciąż jednak uważaliśmy, że to tylko dotykanie Lwowa.

W akcie desperacji, po zawieszeniu obozów w Kamieńcu, poszukiwaliśmy zainteresowanych współpracą szkół bliżej polskiej granicy. Próbowaliśmy nawiązać współpracę między innymi przy pomocy PAUCI. Pozostawiłem także kilka wpisów na ukraińskich portalach,

bez wielkich nadziei. Niespodziewanie otrzymałem mail z Ukrainy. Pisała anglistka, która odnalazła moją wiadomość i szukała polskiej szkoły do współpracy. Prawdziwą bombą był adres szkoły: ul. Cyryla i Metodego we... Lwowie. Szybko odszukałem szkołę w Internecie i okazało się, że położona jest niemal w centrum miasta. Trudno mi było sobie wymarzyć lepszy kontakt. Do tego bardzo dobra szkoła, liceum lingwistyczne z długą i ciekawą historią. Powstała w 1906 roku założona przez arcybiskupa Andrieja Szeptyckiego jako szkoła żeńska. Obecnie uważana jest we Lwowie za najlepsze liceum językowe.

Najważniejsi, jak zwykle, w wymianach okazali się ludzie. Umówiliśmy się z anglistką Natalią na spotkanie on-line i tak się zaczęło. Natalia okazała się bardzo sympatyczną i zorganizowaną osobą. Tego nam było trzeba. Po trzech rozmowach umówiliśmy się na wyjazd polskiej grupy do Lwowa. Pobyt miał być trzydniowy ze zwiedzaniem miasta, ale przede wszystkim uzgodniliśmy udział w zajęciach w szkole i noclegi u rodzin ukraińskich uczniów. Jako język wymiany przyjęliśmy angielski, licząc po cichu, że będziemy się w stanie porozumieć we własnych językach. Tak też pozostało w naszej współpracy: jeżeli się nie rozumiemy, zawsze można przejść na angielski. Szybko zorganizowaliśmy grupę dwudziestu uczniów z klasy humanistycznej



i po miesiącu od nawiązania kontaktu byliśmy na ulicy Cyryla i Metodego we Lwowie. Oczekiwano na nas z pełną pompą, chociaż nie obeszło się bez wpadki. Zapomniałem, jak dużą wagę przywiązuje się na Ukrainie do... stroju. Powitała nas delegacja w strojach wizytowych, uczniowie w „wyszywankach”, a my, po całej nocy w podróży, na sportowo. Uczniom to uszło, ale wicedyrektor? Na szczęście zabrałem garnitur i w kolejnych dniach w szkole pojawiałem się już w stroju właściwym.

W szkole czekało nas szereg niespodzianek. Okazało się, że szkoła ma nie tylko długą historię, ale także bardzo bogate kontakty międzynarodowe. Mimo że nie są w UE, mają wymiany, których może im pozazdrościć niejedna polska szkoła (Grecja, Anglia, Litwa, Czechy, Polska). Wynika to z profilu szkoły, ale i tak zrobiło to na nas wrażenie, podobnie jak poziom znajomości języka angielskiego uczniów. Mieliśmy okazję poznać ukraiński system szkolny, który jest dla nas trochę problemem, gdyż nasi uczniowie są starsi od swoich ukraińskich kolegów i wymiany organizujemy właściwie tylko z uczniami ostatnich dwóch klas lwowskiego liceum. Ponieważ bywaliśmy w szkołach w różnych miejscach Europy, mieliśmy okazję do porównań. Niestety szkoły ukraińskie z całą pewnością nie mają bazy lokalowej takiej jak w Norwegii czy Niemczech, za to na plus zaskoczyła nas metodyka nauczania, także języka polskiego, który w lwowskim liceum można wybrać jako język dodatkowy. Lekcje są ciekawe, na dobrym poziomie, prowadzone z doskonałą obudową dydaktyczną. Oczywiście duża w tym zasługa nauczycielki języka polskiego biegle mówiącej w języku polskim i szeroko korzystającej z możliwości dokształcania w Polsce. Promuje ona w środowisku polską kulturę, co doceniliśmy, oglądając wykonanie krakowiaka w oryginalnych strojach. W czasie jednego z kolejnych wyjazdów zostaliśmy zaproszeni na ciekawą inscenizację polskich wierszy.

Jako temat pierwszego spotkania zaplanowaliśmy wzajemne przedstawienie się. Ukraińcy pokazali prezentację o Lwowie i szkole, zostaliśmy miło zaskoczeni polskimi akcentami. My pokazaliśmy Bochnię, naszą szkołę i Kraków, zapraszając do rewizyty. Kolejny dzień upłynął nam na zajęciach szkolnych z różnych przedmiotów, głównie języków. Jedna z polskich grup trafiła na lekcję języka polskiego, gdzie oczywiście wcieliła się w rolę

*native speakerów*. Mieliśmy także okazję na spotkanie z dyrekcją szkoły. Przy okazji obserwowaliśmy, jak silną pozycję w ukraińskiej szkole ma dyrektor (to zauważyliśmy już w szkole w Kamieńcu Podolskim). W kolejnym dniu zwiedzaliśmy Lwów z przewodnikiem od Cmentarza Łyczakowskiego i Kwatery Orłąt do centrum miasta.



nowej poszukiwaliśmy m.in. tablicy upamiętniającej pobyt w Krakowie Andrzeja Szeptyckiego przy ulicy św. Jana, ławeczki Stefana Banacha i Otto Nikodyma na Plantach, reklamy lwowskiej firmy Ihnatowicza na murach Sukiennic i tabliczek lwowskich fundatorów renowacji Wawelu. Chyba najbardziej zaskoczyła ukraińskich uczniów tablica poświęcona

Popołudnie należało do rodzin. Wędrując ulicami miasta, z prawdziwą przyjemnością spotykaliśmy grupy polsko-ukraińskie w towarzystwie rodziców. Atrakcją były: Fabryka Czekolady, wytwórnia pierników na ul. Krakowskiej i inne lwowskie kafejki. Ostatnie przedpołudnie minęło na podsumowaniu projektu i ustaleniu szczegółów rewizyty. Bardzo miłym dla nas zaskoczeniem była obecność w czasie spotkania rodziców ukraińskich uczniów i przedstawiciela dyrekcji. W czasie kolejnych pobytów we Lwowie będzie to stała dobra praktyka w naszych projektach. Po miesiącu witaliśmy grupę ukraińską w Bochni. Okazało się, że część uczniów ukraińskich nigdy w Polsce nie była. Zaczęliśmy oczywiście od naszego miasta, ale nie mieliśmy wątpliwości, że dla naszych gości o wiele bardziej atrakcyjny jest Kraków. Jeden dzień poświęciliśmy jednak na Bochnię i spotkania w szkole. Tym razem skupiliśmy się, przed wyjazdem do Krakowa, na powiązaniach obydwu miast. Umówiliśmy się na przygotowane przez uczniów *quize* o Polsce (dla Ukraińców) i Ukrainie (dla Polaków). Popołudnie spędziliśmy pod ziemią, zwiedzając wpisaną na listę UNESCO bocheńską kopalnię soli. Dla gości ze Lwowa była to duża atrakcja.

W samym Krakowie staraliśmy się odkrywać miejsca łączące Kraków i Lwów. Ku zaskoczeniu, nie tylko Ukraińców, okazało się, że jest ich bardzo wiele. W czasie gry tere-

w Krakowie fundatorowi ich szkoły Andrzejowi Szeptyckiemu. Dopelnieniem gry terenowej był spacer po krakowskim Kazimierzu. Uczniowie mogli porównać jego atmosferę z tym, co pozostało po dzielnicy żydowskiej we Lwowie. Trzeba przyznać, że śladów żydowskich we Lwowie oprócz ulicy Starojewrejskiej i placu po synagodze Pod Złotą Różą nie widzieliśmy zbyt wielu. Tematyka żydowska na Ukrainie to osobny problem. Próbowaliśmy kiedyś przygotować projekt polsko-ukraiński ze wsparciem Muzeum Galicja, ale to jeszcze chyba melodia przyszłości. Podobnie jak we Lwowie ostatnie przedpołudnie uczniowie spędzili w rodzinach. Spotkaliśmy się w szkole na samo podsumowanie przed wyjazdem. Ten schemat działań powielaliśmy w następnych latach, zmieniając nieco i uzupełniając program.

Co udało nam się zrobić przez dziesięć lat polsko-ukraińskich spotkań? Praktycznie co roku organizowaliśmy wymianę szkolną dla piętnastoosobowych grup. Program spotkań oparty był na wyżej opisanym schemacie. Problemy z przekraczaniem granicy spowodowały, że zmieniliśmy środek lokomocji. Porzuciliśmy autokary i zablokowane przejścia drogowe na rzecz pociągów, tym bardziej że dotarcie do Lwowa koleją z przesiadką w Przemysłu stało się proste i tanie. Zrealizowaliśmy także kilka innych projektów, każdy z nich wart byłby osobnego artykułu. I tak wspólnie z naszymi



niemieckimi partnerami z Goethe Gimnazjum w Ibbenburen przeprowadziliśmy pięciodniowy projekt polsko-ukraińsko-niemiecki sfinansowany przez Polsko-Niemiecką Współpracę Młodzieży. Było to bardzo ciekawe zetknięcie różnych światów, tym bardziej że zajmowaliśmy się konfliktami. Stro-

na ukraińska przedstawiła oczywiście wojnę ukraińsko-rosyjską w Donbasie, w której brali udział znajomi i krewni uczniów, co dla młodych Niemców było prawdziwym szokiem. Gościliśmy kilkusobowe grupy ukraińskich uczniów, którzy mieszkając u polskich rodzin, przez tydzień uczęszczali do naszej szkoły, odbierając praktyczny kurs języka polskiego i doświadczając gościnności polskich gospodarzy. W czasie jednego z takich pobytów miałem okazję zobaczyć zupełnie zaskakujący obrazek. W szkole w ramach projektu American Field Service uczyła się przez rok Węgierka Anna Maria, która z dziewczynami z lwowskiego liceum rozmawiała po... polsku. Siedmiu uczniów z Natalią brało udział w spotkaniach Świątowych Dni Młodzieży w Krakowie w 2016 roku. Oczywiście mieszkali u polskich rodzin, z którymi zadbaliliśmy o atrakcyjność ich tygodniowego pobytu w Polsce. Udział w tym wydarzeniu młodych Ukraińców pod własną flagą był dla nich wielkim przeżyciem.

Wizyty we Lwowie stały się doświadczeniem także wielu nauczycieli i Liceum w Bochni. Do Lwowa wybrali się nauczyciele na trzydniowy wyjazd, nie wspominając grupy ponad trzydziestu nauczycieli, którzy odwiedzili dawną stolicę Galicji w ramach projektów i wyjazdów do opery. Ostatnim naszym polsko-ukraińskim działaniem był projekt z 2019 roku. W tym roku przeprowadziliśmy właściwie dwa projekty. Jeden nasz zwyczajny, czyli czterodniowy wyjazd do Lwowa oraz rewizyta, i drugi, na który uzyskaliśmy grant Polsko-Ukraińskiej Rady Wymiany Młodzieży. Korzystając z niego, zorganizowaliśmy tygodniowe spotkanie

w Bochni i tygodniowe we Lwowie. Grupa liczyła piętnastu młodych Ukraińców i piętnastu Polaków. Postawiliśmy na temat ambitny: „Galicyjskie źródła niepodległości Ukrainy i Polski”. Poprzednie projekty oczywiście dotyczyły spraw problematycznych, nikogo nie trzeba przekonywać, że w stosunkach polsko-ukraińskich ich nie brakuje. W rozmowach między opiekunami z Polski i Ukrainy ustaliliśmy, że skupiać się będziemy raczej na tym, co nas łączy, niż na tym, co nas dzieli. Nie udawaliśmy, że trudnej przeszłości, którą widzimy różnie, nie było. Patrzymy w przyszłość, tym bardziej że dla naszych uczniów, nawet z klas humanistycznych, wydarzenia sprzed stu lat to przeszłość bardzo odległa. W ostatnim projekcie po raz pierwszy dotknęliśmy spraw trudnych. Za najważniejsze uznaliśmy, żeby słuchać siebie nawzajem. Rozpoczynając projekt, na pierwszym spotkaniu w Bochni powiedziałem, że chciałbym, abyśmy zrealizowali program minimum: „Po jego skończeniu Polacy są świadomi, że Lwów to dzisiaj ukraińskie miasto, a Ukraińcy są świadomi, że Polacy byli we Lwowie i w dziejach Polski Lwów odegrał bardzo wielką rolę”. Czy nam się to udało? Nie wiem, co z tego spotkania zostało w moich i Natalii uczniach. Jeżeli mają pozytywny obraz Polaka i Ukraińca, z którym można się zaprzyjaźnić, to osiągnęliśmy sukces.

Możemy mówić o naszych osobistych, rodzinnych drobnych sukcesach. Nasza rodzina nie ma żadnych lwowskich korzeni. Zakochaliśmy się w tym mieście można by rzec na własną rękę. Zajęło to nam trochę czasu, ale był to dobry czas. Po drugiej stronie granicy spotkaliśmy ciekawych ludzi, z którymi nie zawsze się zgadzamy, ale z którymi warto dyskutować, by zrozumieć Ukrainę. Mamy tam przyjaciół, a nawet „przyszywane” dziecko, które przyjechało na wymianę, później odwiedzało nas często, a teraz studiuje w Polsce. Zabraliśmy do Lwowa nasze własne dzieci, które później pojechały tam już same.

Przed nami bardzo daleka droga. Wydawało nam się, że nasze plany może skomplikować wspólna trudna historia lub bieżąca polityka. Życie potrafi jednak zaskakiwać, pojawił się covid, który skutecznie nas od siebie odciął. Na szczęście są media społecznościowe i pozostaje nadzieja, że znów pojedziemy do Lwowa, by usiąść nad kawą w Atlasie, lub zjemy tartę na krakowskim rynku. I będziemy robić swoje. Jeśli nie my, to kto?



Karolina Grodziska

# Pozdrowienia ze Lwowa. Jurek Birner i zośka

Wszufladzie biurka taty było pudełko pełne monet. Tych naprawdę starych, bo oprócz tego było kilka niebieskich kopert, zamkniętych spinaczem i opisanych jako: „pieniądze czeskie”, „francuskie”, „austriackie”, „jugosłowiańskie”, „bułgarskie” czy „węgierskie”. Te koperty to ślady po wycieczkach do tzw. demoludów lub – rzadziej – na upragniony Zachód; gdy ktoś z bliskich miał możliwość wyjazdu, ojciec wręczał mu odpowiednią kopertę, informując, że jej zawartość to starczy akurat na bilet metra, lody, wstęp do muzeum, kawę... W czasach, gdy wyjeżdżając na Zachód można było kupić w banku państwowym 10 dolarów, a na wycieczki do krajów demokracji ludowej niewielkie kwoty forintów, lewów, lei czy koron, odnotowywane w książeczkach walutowych, nawet taki drobny zastrzyk gotówki był cenny.

Ale skrzyneczka ze starymi monetami to już był inny, pełen tajemniczego uroku czas przeszły. Miedziane, niklowe, srebrne. Austriackie, pruskie i rosyjskie. Piękne monety z Drugiej Rzeczypospolitej: Marszałek i śliczna żniwiarka. Kilka staropolskich szóstaków i tyńfów. I wreszcie ta jedna, szczególnie przyciągająca wzrok: moneta z otworem w środku. Jedyna w całym pudełku, starannie opakowana w bibułkę.

Wiedziałam, że to była zośka.

Była i nie była. W zośkę grywali moi koledzy: duże kredowe koła na asfalcie były wszędzie w naszej dzielnicy, w parku, na podwórkach, nawet na płytach chodnika. Każdy gracz bronił swojego koła przed wkopaniem do niego zośki, sześć wpadek powodowało eliminację gracza. Ale ich zośki były inne – zwykłe grudki

szarego ołowiu z otworkiem, przez który przewlekano kolorową czuprynkę z przyszytych włóczki. Te barwne nitki szybko traciły swój kolor, ołów na zośkę był zaś niezwykle pożądany, do dziś pamiętam prośbale spojrzenie kolegi z klasy, Tomali, gdy zobaczył w naszej kuchni jakieś bardzo stare widelce...

Ale to nie o moich kolegach mam tu opowiadać, a o koledze i przyjacielu mojego ojca, który przed wojną mieszkał przy ulicy Długiej. Tam była kancelaria adwokacka dziadka i mieszkanie służące im w jesieni i zimie, kiedy ich obecność w Skotnikach nie była konieczna.

Na parterze kamienicy mieszkał pan Birner, Żyd, właściciel niewielkiego zakładu fryzjerskiego. Gdy nie było klientów, lubił stawać w drzwiach swego zakładu. Parę razy zdarzyło się, że widząc wracającego ze szkoły mojego ojca – wtedy dziesięcioletniego Stasia – mówił do niego:

– Siadaj, panie kawalerze! – a następnie szybko i sprawnie przycinał mu włosy. Ojciec nie pamięta, by pan Birner kiedykolwiek upomniał się u dziadków o należność...

Pan Birner miał syna Jurka, chodzącego do tej samej klasy co Staś. Chłopcy bywali u siebie. Wymieniali ulubione książki (do dziś mam to zacytowane wydanie czterech części *Tarzana!*), oglądali *Świat zwierząt* Brehma i wielki atlas Meyera. Ojciec wspominał wspaniały smak chałek pieczonych przez panią Birnerową, Jurek uwielbiał kakao z pianką przyrządzane w domu Stasia. Biegali po kamienicy i podwórku. Grali w zośkę.

Początek pięknej przyjaźni, niestety – tylko początek. W pierwszych dniach złowrogiego września 1939 roku pan Birner zamknął swój zakład i spakowawszy niewielką ilość bagażu, wyjechał z rodziną na wschód. Nieobecność przyjaciela stała się jednym z pierwszych bolesnych kroków Stasia w dorosłość. O pewnych rzeczach wiedział, jednak z dziesięcioletnim dzieckiem nie rozmawiano przecież o transportach i obozach zagłady. Losów Jurka mógł się tylko domyślać. Czasem dziadek wyjmował ów wielki atlas świata Meyera i pokazywał Stasiowi, jak bardzo się ów świat zmienił.



Chłopcy grający w zośkę

► Rok później, zimą 1940 roku, zadzwie-  
czał dzwonek u drzwi. Tato otworzył i zobaczył przed sobą siwobrodego, godnego Żyda w ciemnym, długim płaszczu, z obowiązkową gwiazdą Dawida na rękawie.

– Ja do pana Stanisława Grodzkiego. Nazywam się Preis – powiedział gość.

– Już ojca poproszę – odparł mój tato.

– Ale ja do pana Stanisława Grodzkiego młodszego – powiedział Żyd, a lekki uśmiech rozjaśnił jego zmęczoną twarz. – Ja mam pana przekazać pozdrowienia od pana Jerzego Birnera. Jest zdrow i cały. Są aż pod chińską granicą. Przesłała to dla pana – wyjął z kieszeni niedużą monetę z otworem w środku. To zoska.

– Zośka?

– Właściwie – zoska. Od pana Jurka.

Zaciekawiona, do korytarza wyszła mama taty. Gość został zaproszony do pokoju, długo siedzieli przy herbacie. Wyszedł długo przed godziną policyjną. Niewiele więcej mógł powiedzieć poza tym, że wiadomość o Birnerach przekazano mu ze Lwowa. Przez ile ust, jakimi drogami wędrowały owe pozdrowienia „pana” Jurka Birnera do „pana” Stasia Grodzkiego, nawet on, ostatnie ogniwo tego niezwykłego łańcucha, nie umiał powiedzieć.

W 1945 i 1946 roku Staś Grodzki, osierocony już przez oboje rodziców, poszukiwał przez Czerwony Krzyż Jurka Birnera. Niestety, bez skutku.

Nigdy też już nie grał w zośkę, ale owa monetka o kałmuckiej nazwie, która dała nazwę samej grze, przez osiemdziesiąt lat towarzyszyła mu w pudełku ze skarbami w jego biurku...

Spisałam opowiadania mojego Ojca, który zawsze ze wzruszeniem wspominał rodzinę sąsiadów z ulicy Długiej, Birnerów, a zwłaszcza Jurka, owe zaś pozdrowienia „pana Jerzego Birnera” do „pana Stanisława Grodzkiego” szczególnie.

Internet i znakomici znawcy tematu (kłaniam się tu nisko i dziękuję za pomoc Pani Profesor Magdalenie Smoczyńskiej!) pozwolili uściślić losy Jurka Birnera, syna Eugenii i Szymona. Znalazł się on wśród blisko 1000 żydowskich sierot, które opuściły ZSRR wraz z Armią Andersa. Przez Samarkandę, Krasnowodsk, Morze Kaspijskie dotarli do Pahlevi, a następnie Teheranu. 18 lutego 1943 r. osierocone dzieci przybyły do Palestyny. Ich losy opisał Henryk Grynberg w *Dzieciach Syjonu*.

Na stronie: <https://www.jewishgen.org/yizkor/tehran/Teh001html> odnajdziemy nazwisko Jerzego Birnera, ale nic o jego losach powojennych – poza adnotacją, że zmarł w 1950 roku.

**Piotr Tabasz**

# Bł. Jakub Strzemię

(ok. 1340 – ok. 1409)

Związki Krakowa i Lwowa sięgały epoki średniowiecza. Szczególnie rozwinęły się za panowania Kazimierza Wielkiego, dzięki przyłączeniu Ziemi Halickiej do Królestwa Polskiego. Halickie miasto zaczęło osłaniać polską stolicę od niespokojnego Wschodu. W życiu nie ma nic za darmo, dlatego za poczucie bezpieczeństwa krakowscy rajcy musieli pogodzić się z istnieniem lwowskiej konkurencji na trasie kupieckiego szlaku, prowadzącego z mołdawskich portów na zachód Europy. Tą drogą przewożono cenne towary: przyprawy korzenne, jedwab, pachnidła itd. Krakowsko-lwowska rywalizacja nie niszczyła obu miast. Z czasem przerodziła się w korzystną współpracę obu ośrodków w wymianie handlowej, co zapewniło im gospodarczy rozwój.

W ślad za wspomnianymi relacjami zbudowane zostały kontakty międzyludzkie. Przyczyniły się one do polonizacji zgermanizowanych patrycjatów obu grodów. Wielkie zasługi na tym polu miał Kościół kato-



Fot. 1. W ikonografii bł. Jakub przedstawiany jest w stroju biskupa, obok znajduje się herb Strzemię i wizerunek Matki Bożej. Źródło: pl.wikipedia.org

licki. Wysłał na Ruś wspaniałych polskich duchownych. Warto przypomnieć jednego z nich – bł. Jakuba Strzemię. Żył w latach ok. 1340 – ok. 1409. Urodził się na terenie diecezji krakowskiej w rodzinie szlacheckiej, pieczętującej się herbem Strzemię, stąd wziął się jego przydomek, który używano w łacińskim odpowiedniku *Strepa* (fot. 1). Historycy ustalili, że jako młodzieniec wstąpił do zakonu franciszkańskiego. Zachowały się nieliczne informacje na temat dzieciństwa i młodości zakonnika. Wiadomo, że przełożeni wysłali go do Rzymu. Wyjazd ten okazał się ważny, gdyż po powrocie został mianowany przełożonym klasztoru w Krakowie. Strępa należał także do Stowarzyszenia Braci Pielgrzymujących dla Chrystusa we Lwowie i jako jego członek wyruszył na Ruś. Tam zastąpił w działalności misyjnej, którą prowadził jako przełożony lwowskiego klasztoru św. Krzyża. Pośredniczył w sporze między mieszkańcami miasta a ich arcybiskupem Bernardem. W konflikcie tym hierarcha zamierzał obłożyć kłutwą Lwów i w ten sposób pozbawić mieszczan duchowej opieki. Istota sporu dotyczyła prawa własności do domu w rynku. Bł. Jakub nie dopuścił do zastosowania tej groźnej kary. Stawał również w obronie dominikanów i franciszkanów, którym zachłanni duchowni zakazywali udzielać sakramentów. Zapewne chodziło o profity z „Bóg zapłać”. Działalność franciszkanina nie uszła uwadze Stolicy Apostolskiej, ponieważ został mianowany inkwizytorem całej Rusi. Nominacja ta okazała się trafna. Zadała kłam współczesnym osądom na temat inkwizycji, jakoby instytucja ta zajmowała się jedynie paleniem ludzi, mających poglądy nieuznawane przez ówczesny Kościół. Nowy inkwizytor okazał się człowiekiem roztropnym i wielkiego miłosierdzia. Nazywano go Aniołem i zwiastunem pokoju, dlatego nie można było w nim widzieć mnicha, nienawidzącego ludzkiego rodzaju.

W 1391 r. papież Bonifacy IV mianował Jakuba arcybiskupem halickim. W tym czasie arcybiskupstwo należało tworzyć od podstaw, gdyż nie miało katedry, odpowiedniej liczby kapłanów oraz określonych granic. We wsiach przeważała ludność prawosławna.

Uroczystość konsekracji odbyła się 28 stycznia 1392 r. Pragnieniem nowego władza archidiecezji było przeniesienie

stolicy metropolii do Lwowa. Stało się to w 1412 r. Bł. Jakub Strzemię odznaczał się franciszkańską prostotą i ubóstwem. Jedyne, co posiadał, to szaty liturgiczne. Na co dzień chodził w zakonnym habicie. Strój biskupa nosił tylko podczas odprawianych nabożeństw. Zakładał nowe parafie. Swoje dochody przeznaczal na budowę kościołów i klasztorów. Ufundował i utrzymywał szpital Ducha Świętego we Lwowie oraz przytułek dla ubogich. Arcybiskup Jakub, będąc drugim po metropolicie Gniezna najwyższym dostojnikiem polskiego Kościoła, mieszkał w ubogim, drewnianym domku we Lwowie. Sam wizytował parafie, odbywając uciążliwe i odległe podróże. Chętnie zasięgał rady miejscowych proboszczów. Spotykał się z ludem, osobiście nauczał wiernych prawd wiary. Szczególnie opiekował się dziećmi. Zapoczątkował publiczne adoracje Najświętszego Sakramentu. Zadbał o podniesienie poziomu pracy duszpasterskiej kapłanów, przez co wzrosło oddziaływanie miejscowego duchowieństwa. Świadczyły o tym masowe przejścia halickich i lwowskich prawosławnych na katolicyzm.

Bł. Jakub Strzemię był zaprzyjaźniony z parą królewską. Władysław Jagiełło mianował go doradcą w sprawach Rusi, a dla św. Jadwigi stał się jej zaufanym spowiednikiem, przez co kształtował świętość królowej i mógł wpływać na losy kraju.

W 1408 r. Strepa był zaproszony na sobór w Pizie – nieuznawany przez papieża. Arcybiskup odmówił. Dlatego otrzymał tytuł „wiernego syna Kościoła”. W swoim testamencie nakazał, aby pochowano go w zakonnym habicie, a biskupie paramenty sprzedano i uzyskane pieniądze przeznaczono na potrzeby biednych. W 1619 r. otworzono trumnę Jakuba i zobaczono, że został pochowany w biskupich szatach, a pod nimi ciało było ubrane w mnisi strój. Od tego momentu przy jego grobie zaczęły się dziać cuda.

Biskupia posługa metropolity Halicza mogła zawstydzić niejednego hierarchę i zasługiwała na wyróżnienie. Wieki XIV i XV to czas kryzysu w Kościele, spowodowany upadkiem znaczenia papieżstwa. Brak papieskiego autorytetu miał ogromny wpływ na postawy duchownych. Żyli oni po świecku. Dzięki takim postaciom jak bł. Jakub Strzemię niedługo zaczęły się naj-



Fot. 2. Srebrna trumna ze szczątkami bł. Jakuba Strzemie. Źródło: <http://rkc.lwv.ua>

szczęśliwszy okres w dziejach polskiego chrześcijaństwa. Pojawiła się cała plejada znakomych świętych czczonych do dziś, a nasz kraj uniknął wstrząsów związanych z reformacją.

Uzdrowienia działały się nie tylko przy grobie Błogosławionego. Zdarzały się, gdy dotykano jego mitrą chorych na bóle głowy. Znany był przypadek Barbary Tarnowskiej, którą uleczone w ten sposób. Strepa stał się patronem ludzi chorych na te schorzenia.

Kult arcybiskupa halickiego wiązał się z dziejami ojczyzny. Gdy w 1527 r. we Lwowie wybuchł pożar, mieszkańcy ocalenie grodu przypisali wstawiennictwu Jakuba. Husarzy widzieli go podczas odsieczy, dlatego nosili medaliki z jego wizerunkiem. 1 kwietnia 1656 r. w katedrze budowanej przez Strepę król Jan Kazimierz złożył słynne śluby uznające Matkę Bożą jako Królową Polski.

Liczne cuda przypisywane duchowej opiece franciszkańskiego arcybiskupa spowodowały, że 11 września 1790 r. papież Pius VI dokonał jego beatyfikacji. Nowy błogosławiony nadal z miłością spoglądał na żyjących rodaków, bo uzdrowienia nie ustały. Na prośbę św. Józefa Bilczewskiego św. Pius X ogłosił bł. Jakuba patronem Archidiecezji Lwowskiej. W tym czasie Strepa został uznany razem ze św. Antonim z Padwy współopiekunem krakowskiej prowincji franciszkanów konwentalnych.

Ciekawie przedstawiały się losy relikwii bł. Jakuba Strzemie. Zaraz po śmierci został pochowany w klasztorze Świętego Krzyża we Lwowie. Niestety pamięć o zmarłym wśród miejscowych wiernych zaczęła zanikać. Na szczęście interwencja z nieba, nazywana przypadkiem, sprawiła, że trum-

na arcybiskupa została znaleziona. Pamięć o zmarłym już nie zaniknęła. W 1626 r. ciało zostało przełożone do nowej srebrnej trumny (fot. 2). Gdy austriacki zaborca skasował zakon franciszkanów, lwowski arcybiskup Ferdynand Kicki polecił umieścić relikwie Błogosławionego w ołtarzu Chrystusa Ukrzyżowanego we lwowskiej katedrze. Stało się to 20 października 1786 r. Paradoksalnie decyzja „oświeconego” cesarza Józefa II likwidująca zakony kontemplacyjne, uratowała przed zaginięciem doczesne szczątki bł. Jakuba. Franciszkańską świątynię niebawem rozebrano. Po drugiej wojnie światowej Lwów znalazł się w granicach sowieckiego imperium, dlatego trumnę z ciałem Strepy przeniesiono do katedry tarnowskiej, a następnie do Lubaczowa. W latach 90 XX w. relikwie znalazły się na Wawelu jako depozyt katedry lwowskiej i tam znajdowały się do 2009 r., kiedy umieszczono je w ołtarzu głównym lwowskiej świątyni (fot. 3).

W życiu bł. Jakuba Strzemie nie było nadzwyczajnych zdarzeń, ale jego oddanie sprawom wiary i ojczyzny spowodowało, że ówczesny kronikarz napisał: „Był to mąż wielkiej cnoty, sławny pobożnością, i życia prostego, mogący być wzorem i przykładem dla innych”, a św. Józef Bilczewski nazwał go prawdziwym patriotą.



Fot. 3. Ołtarz główny Katedry we Lwowie. Źródło: <http://bankfoto.info>

## Pierwsi lwowianie u krynickich wód

**B**yć może nigdy nie dowiemy się, kim był pierwszy mieszkaniec Lwowa, który przyjechał na kurację do krynickiego zakładu kąpielowego. Kilka początkowych dekad jego działalności ginie w mrokach historii, możemy jedynie opierać się na dowodach pośrednich i zbierać okruchy przeszłości.

Za jednego z pierwszych znaczących gości można uznać artystę malarza Antoniego Langego (1779–1844). Malarstwa uczył się u znanego wiedeńskiego pejzażyisty Lorenasa Adolfa Schönbergera. We Lwowie osiadł w 1810 r. Został tam zaangażowany do malowania dekoracji w teatrze Stanisława hr. Skarbka, pracę tę wykonywał do 1832 r. Zmarł we Lwowie w 1844 r.<sup>1</sup> A. Lange brał czynny udział w życiu artystycznym Lwowa, udzielał lekcji malarstwa, a po wydaniu albumu z litografiami swoich rysunków wykonanymi przez Piotra Pillera stał się jednym z najbardziej rozpoznawalnych mistrzów lwowskiego malarstwa pejzażowego<sup>2</sup>. Wędrując po Galicji, dotarł też do Krynicy. Pamiątką z tego twórczego pobytu był widok krynickiego zakładu kąpielowego. Idealistyczno-sielankowy nastrój dzieła być może miał zachęcić lwowian do wyruszenia w podróż w Karpaty galicyjskie.

Wkrótce w Krynicy zjawił się inny mieszkaniec Lwowa, Wacław Michał Zaleski. Absolwent prawa i filozofii Uniwersytetu Lwowskiego, w latach 1825–1832 asystent profesora matematyki wyższej tejże uczelni. Równocześnie pracował jako urzędnik Gubernium. Ukoronowaniem jego kariery zawodowej było mianowanie go gubernatorem Galicji w 1848 r.<sup>3</sup> Był pierwszym Polakiem pełniącym tę funkcję, ale krótko, bo zaledwie

rok. Zmarł w 1849 r. w Wiedniu. Pogrzeb odbył się miesiąc później we Lwowie, pochowany został w rodzinnym grobowcu na Cmentarzu Łyczakowskim. W. Zaleski to nie tylko urzędnik, ale także badacz folkloru, poeta, pisarz, krytyk literacki, publikujący pod pseudonimem Wacław z Oleska (od miejsca urodzenia). Już w 1825 r. rozpoczął pracę literacką w lwowskich „Rozmaitościach”, zajął się też zbieraniem pieśni ludowych, przysłów i podań (wydał je w 1833 r. we Lwowie jako *Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego*). Gdy w ramach obowiązków służbowych w 1827 r. na 2 lata został przydzielony do cyrkułu w Nowym Sączu, kontynuował swoje zainteresowania folklorystyczne. W wolnych chwilach latem odbywał wycieczki po okolicach, właśnie wtedy odwiedził Krynicę<sup>4</sup>. Śladem tej wizyty jest korespondencja w „Rozmaitościach”, utrzymana w konwencji listu do przyjaciela, opisująca zalety wód mineralnych oraz warunki pobytu.

Kolejne lata w dziejach Krynicy to czas stagnacji i stopniowy spadek liczby odwiedzających ją gości. Groźbę całkowitego upadku odsunęły dopiero zabiegi o utrzymanie zakładu kąpielowego, podjęte przez Józefa Dietla. Wraz z pojawieniem się w 1857 r. Michała Zieleniewskiego, starożytnego lekarza zdrojowego, tempo rozwoju zdrojowiska uległo przyspieszeniu. Wkrótce Krynica stała się jednym z głównych galicyjskich kurortów, do którego przybywali ludzie z różnych stron Europy. Najwięcej z Galicji, ok. 70%, wśród nich, co oczywiste, mieszkańcy Lwowa. W 1859 r. M. Zieleniewski wprowadził zwyczaj ogłaszania drukim co 15 dni listy osób bawiących przy zdrojach. Najstarsza zachowana lista pochodzi z 1868 r. i stanowi część zespołu archiwalnego pn. Teki Antoniego Schneidra w Archiwum Narodowym w Krakowie. Wykorzystując to źródło, w niniejszym artykule wybranych gości lwowskich przedstawiłam w podziale na grupy społeczno-zawodowe.

<sup>1</sup> J. Bołoz Antoniewicz, *Katalog wystawy sztuki polskiej od roku 1764–1886*, Lwów 1894, s. 103.

<sup>2</sup> Zob. A. Świętosławska, *W orbicie Wiednia. Antoniego Langego i Jana Nepomucena Głowackiego widoki Galicji*, [w:] *Sztuka pogranicza. Studia z historii sztuki*, L. Lameński, E. Błotnicka-Mazur, M. Pastwa (red.), Lublin 2018, s. 331–349.

<sup>3</sup> *Szematyzm Królestwa Galicyi i Lodomerji z Wielkiem Księstwem Krakowskiem na rok 1870*, Lwów 1870, s. 1.

<sup>4</sup> K. Ostaszewski-Barański, *Wacław Michał Zaleski (1799–1849). Zarys biograficzny*, Lwów 1913, s. 8–13.

## Urzędnicy i ich rodziny

**Emilia hr. Załuska** zameldowała się Pod Topolami z dwójką dzieci i służką. Emilia z domu Auerhammer urodziła się w rodzinie pochodzącej z Westfalii i osiadłej w Koszycach na Węgrzech (dzisiaj Słowacja). Był to ród o licznych koligacjach, z domieszką polskiej krwi. W Koszycach poznała swego przyszłego męża, Jana Konrada Załuskiego, z którym po ślubie w 1847 r. zamieszkała w Galicji. Do Lwowa rodzina sprowadziła się z Krakowa w 1865 r. Wkrótce jej mąż, ziemianin, literat i publicysta, objął funkcję prezesa, a potem wiceprezesa Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarskiego (w latach 1868–1870), przyczynił się także do organizacji akcyjnego banku hipotecznego<sup>5</sup>.

**Antoni Reiss de Filski**, radca Namiestnictwa, kawaler orderu Żelaznej Korony III klasy, zatrzymał się Pod Szwajcarem. Na Cmentarzu Łyczakowskim znajduje się grobowiec rodzinny, napis na tablicy frontowej głosi, iż żył w latach 1797–1875.

**Władysław Rieger** zamieszkał Pod Trzema Różami, później dołączył do niego syn. W. Rieger zameldował się jako dyrektor Akcyjnego Banku Hipotecznego we Lwowie<sup>6</sup>. Był to młody bank, założony w 1867 r., jednak szybko zajął wysoką pozycję wśród banków akcyjnych<sup>7</sup>.

**Stanisław Olszewski**, radca szkolny, wraz z żoną i synem, zameldował się Pod Potokiem. Do Lwowa został przeniesiony w 1857 r. z Liceum Konarskiego w Rzeszowie<sup>8</sup>. W nowo założonym polskim Gimnazjum im. Franciszka Józefa uczył języka polskiego<sup>9</sup>. Jego uczniowie wspominali go bardzo serdecznie, a dyrekcja ceniła jego zdolności pedagogiczne<sup>10</sup>.



H. Ziemiałkowska, autor nieznan, Wiedeń, 1891 r. Źródło: Polska Akademia Nauk, numer inwentarza: BZS.RKPS.7513.k.51

**Helena Ziemiałkowska z Okszów Dyłewska** mieszkała Pod Trzema Różami wraz z siostrami Jadwigą i Stanisławą oraz służącą. Była żoną Floriana Ziemiałkowskiego, polskiego prawnika i działacza niepodległościowego, pierwszego prezydenta Lwowa po uzyskaniu przez Galicję autonomii. Sprawował on również funkcję austriackiego ministra dla Galicji, był tajnym radcą, wyniesionym do stanu baronów austriackich<sup>11</sup>. Działał jako poseł do Sejmu Ustawodawczego, do galicyjskiego Sejmu Krajowego i austriackiej Rady Państwa. Pisał pamiętniki, po jego śmierci wydane przez wdowę. Dochód ze sprzedaży pamiętników przeznaczyła ona na dom polski i szkołę polską w Wiedniu. Wcześniej, pod pseudonimem Hélène Oksza, wydała tomik swoich wierszy w języku francuskim *La poésie en prose* (1885) na wsparcie polskiego literata. Natomiast dochód z wydanej w 1899 kolejnej książeczki pt. *Impressions*

<sup>5</sup> Zob. K. Rogawski, *Jan Konrad hr. Załuski, wspomnienie pośmiertne*, Kraków 1889, s. 26–27, 77, 94.

<sup>6</sup> *Handbuch des Statthaltereii Gebietes in Galizien*, Lemberg 1868, s. 794.

<sup>7</sup> Zob. K. Broński, *Rozwój galicyjskiego systemu bankowego w latach 1841–1914 (zarys problematyki)*, „Zeszyty Naukowe Akademii Ekonomicznej w Krakowie” 2007, nr 749, s. 79.

<sup>8</sup> J. Świeboda (red.), *Księga jubileuszowa Liceum Konarskiego w Rzeszowie 1658–2008*, Rzeszów 2008, s. 72, 755.

<sup>9</sup> J. Białynia Chołodecki, *Księga pamiątkowa półwiekowego jubileuszu Gimnazjum im. Franciszka Józefa I we Lwowie*, Lwów 1909, s. 165.

<sup>10</sup> Ibidem, s. 62.

<sup>11</sup> A. Boniecki, *Herbarz Polski*, t. 5, Warszawa 1902, s. 139.

et *Souvenirs* zasilił fundusz Polskiego Towarzystwa Bibliotecznego w Wiedniu. Oboje Ziemiańkowsy zmarli w Wiedniu, pochowani są na Cmentarzu Centralnym (Wiener Zentralfriedhof).

**Franciszek Wolski** zatrzymał się w domu Pod Pagatem. Był radcą sądu krajowego i notariuszem. Gdy w 1873 r. założono Towarzystwo Tatrzańskie, został jego członkiem<sup>12</sup>. Towarzyszył mu Ludwik Wolski, doktor praw i adwokat w sprawach karnych<sup>13</sup>.

**Franciszek Kröbl** (1803–1869) przyjechał z żoną i służką do domu u Wałęgi. Był najznajmniejszym spośród urzędników przebywających w 1868 r. w Krynicy. Pochodzenia niemieckiego, prawością charakteru zaskarbił sobie olbrzymi szacunek i sympatię Polaków. Pełnił funkcję radcy Namiestnictwa, dyrektora Galicyjskiej Kasy Oszczędności, a w latach 1859–1869 sprawował urząd burmistrza (prezydenta) Lwowa. Za swoje zasługi otrzymał honorowe obywatelstwo miasta. Ponadto należał do Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarskiego i Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego. Był dyrektorem lwowskich chrześcijańskich ochronek dla małych dzieci i niemowląt. Zmarł w wieku 66 lat. Jego pogrzeb, niezwykle uroczysty, zgromadził wielkie rzesze ludzi<sup>14</sup>. Według anegdoty, F. Kröbl tak ukochał wszystko, co polskie, iż w swoim testamencie zapisał, by pochować go w kontuszu<sup>15</sup>.



A. Lange, Widok Kąpeli w Krynicy w Cyrkule Sandeckim. Źródło: A. Lange, *Zbiór najszybszych i najinteresowniejszych okolic w Galicji*, Lwów 1823, k. 12

**Józef Lehr** (?–1892), nadradca w Krajowej Dyrekcji Skarbu, zameldował się Pod Trąbką. Przystąpiwszy do Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarskiego, wystąpił z wnioskiem o utworzenie Sekcji Leśnej<sup>16</sup>. Był także kuratorem Galicyjskiej Kasy Oszczędności oraz członkiem towarzystw leśnych i rolniczych. Odznaczony orderem Franciszka Józefa<sup>17</sup>. W Krynicy towarzyszył mu Zunker Giżowski.

## Kupcy i ich rodziny

**Zygmunt Baczewski**, fabrykant, zatrzymał się w domu u Grünberga. Nie wiadomo, czy był spokrewniony z lwowską rodziną słynnych producentów alkoholi. Sklep własny prowadził przy pl. Halickim 2<sup>18</sup>. Do Krynicy przyjechał jeszcze w 1869, 1872 i 1876.

**Magdalena Stiller** przyjechała z **Katarzyną Konarską** i pokojową, panie mieszkały w łazienkach. Mężem Magdaleny był Bonifacy Stiller (1823–1884), kupiec, chociaż bardziej pasuje do niego współczesne określenie biznesmen. Pracowity i przedsiębiorczy, zdobył spory majątek, był właścicielem wielu dóbr, aktywnie działał w radzie miasta

<sup>12</sup> *Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego. Tom III*, Kraków 1878, s. 18.

<sup>13</sup> *Szematyzm Królestwa Galicji i Lodomerji z Wielkim Księstwem Krakowskim na rok 1870*, Lwów 1870, s. 156, 581.

<sup>14</sup> *Kronika*, „Gazeta Lwowska” 1869, nr 100, s. 2.

<sup>15</sup> J. Hrycak, *Lwów w Europie Środkiej*, [w:] *Kraków i Lwów w cywilizacji europejskiej: materiały międzynarodowej konferencji zorganizowanej w dniach 15–16 listopada 2002*, J. Purchla (red.), Kraków 2003, s. 23.

<sup>16</sup> I. Szczerbowski, *Pamiętnik dwudziestopięcioletniej działalności Galicyjskiego Towarzystwa Leśnego 1882–1907*, Lwów 1907, s. 31–33, 46, 200, 228.

<sup>17</sup> *Szematyzm...*, na rok 1870, s. 189.

<sup>18</sup> *Reklama*, „Gazeta Lwowska” 1874, nr 297, s. 8.

oraz lwowskiej Izbie Przemysłowo-Handlowej. W 1876 r. nabył Morszyn (ostatnim właścicielem był Franciszek Smolka), gdzie odkrył źródła lecznicze i pokłady borowiny, podjął wtedy starania o przekształcenie miejscowości w uzdrowisko. Magdalena (z domu Kruszelnicka) i Bonifacy Stillierowie we Lwowie mieszkali od 1857 r.<sup>19</sup>

**Ludwik Armatys** mieszkał Pod Trzema Różami. We Lwowie w spółce z Moerlem, przy ul. Halickiej 19 prowadził sklep z zegarkami, oferując równocześnie usługi zegarmistrzowskie<sup>20</sup>. Syn krakowskiego kuśnierza, właściciel kamienicy przy ul. Grodzkiej 27 (od 1860 do 1872)<sup>21</sup>. W 1864 r. był marszałkiem Towarzystwa Strzeleckiego „Bractwo Kurkowe”<sup>22</sup>. Do Krynicy przyjechał jeszcze w 1869 r., natomiast wdowa po nim, Zuzanna, bawiła u wód w 1876 r.

## Właściciele dóbr i realności

**Kazimierz hr. Miączyński**, właściciel dóbr. Przyjechał z żoną, synem i służą do domu Pod Trąbką. Rodzina hrabiego pojawiła się w źródłu również w 1869 r. Jego ród skoliagony był z Bielskimi, Potockimi, Oborskimi. Żona Aniela hr. Miączyńska<sup>23</sup> Krynicę odwiedziła jeszcze dwukrotnie w latach 1875 i 1894.

**Agnieszka Babecka**, właścicielka dóbr, przyjechała z **Bogumiłą Czerwińską** do domu Pod Lwem. Agnieszka i Władysław Babeccy byli współdziedzicami wsi Horożanka w okręgu brzeżańskim. Razem z Czerwińskimi (Bogumiła była ich córką) należeli do kręgu przyjaciół Augusta Bielowskiego,

historyka i dyrektora Zakładu Narodowego im. Ossolińskich<sup>24</sup>.

**Antonina Strasser** (1844–1912), właścicielka dóbr, z Albiną (lub Michaliną) Zalewską zatrzymała się w domu u Mallego, później panie przeniosły się Pod Warszawę. Do Krynicy przyjeżdżała w późniejszych latach jako żona Józefa Merunowicza, protomedyka i referenta sanitarnego, wielce zasłużonego dla Krynicy. A. Merunowiczowa była założycielką i opiekunką kolonii leczniczych dla dziewcząt anemicznych w Krynicy<sup>25</sup>.

## Nauczyciele i ich rodziny

**Zofia Znamirska** wraz z siostrą zatrzymała się Pod Raclawicami. Była żoną profesora gimnazjalnego Ignacego Znamirskiego, który od 1864 r. uczył łaciny w Gimnazjum im. Franciszka Józefa we Lwowie<sup>26</sup>. Później został przeniesiony do Krakowa, do Gimnazjum św. Jacka<sup>27</sup>.

**Wojciech Michna** zatrzymał się w domu u Dańca. Był profesorem, po przeniesieniu do Krakowa został pierwszym dyrektorem Szkoły Handlowej (założona w 1882 r.), dzisiaj Zespół Szkół Ekonomicznych nr 1 im. M. Kopernika<sup>28</sup>. W szkole tej uczył języka polskiego i geografii<sup>29</sup>. U wód towarzyszył mu Wacław Niedzielski, od 1864 r. zatrudniony jako profesor Gimnazjum im. Franciszka Józefa we Lwowie<sup>30</sup>.

**Klemens Merunowicz** wraz z żoną mieszkał w domu u Dańca. Był profesorem gimnazjalnym, natomiast od 1872 r. uczył języka niemieckiego w Gimnazjum św. Jacka w Krakowie<sup>31</sup>.

<sup>19</sup> J. Kuciel-Lewandowska, A. Kierzek, M. Paprocka-Borowicz, *Rozwój uzdrowiska Morszyn-Zdrój do 1914 roku*, „Gerontologia współczesna” 2016, nr 3, s. 120–121.

<sup>20</sup> *Wystawa krajowa rolnicza i przemysłowa*, Lwów 1877, s. 3.

<sup>21</sup> A. Chmiel, *Domy krakowskie: ulica Grodzka. Cz. 2. (Liczby or. nieparzyste 19 do 37)*, Kraków 1935, s. 37

<sup>22</sup> *Lista królów Towarzystwa Strzeleckiego „Bractwo Kurkowe” w Krakowie*, [https://pl.wikipedia.org/wiki/Towarzystwo\\_Strzeleckie\\_„Bractwo\\_Kurkowe”\\_w\\_Krakowie](https://pl.wikipedia.org/wiki/Towarzystwo_Strzeleckie_„Bractwo_Kurkowe”_w_Krakowie). Dostęp 02.02.2021.

<sup>23</sup> R. Aftanazy, *Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej*, tom 5. *Województwo wołyńskie*, Wrocław 1994, s. 449–451.

<sup>24</sup> M. Miławicki, *Zostaję raz na zawsze życzliwym przyjacielem. Korespondencja pomiędzy historykami Augustem Bielowskim i dominikaninem Sadokiem Barączem*, „Galicja. Studia i Materiały” 2017, nr 3, s. 330.

<sup>25</sup> *Ś.p. Antonina ze Strasserów Merunowiczowa*, „Gazeta Lwowska” 1912, nr 80, s. 4.

<sup>26</sup> J. Białynia Chołodecki, op. cit., s. 166.

<sup>27</sup> T. Stahlberger, *Sprawozdanie Dyrekcji c.k. Gimnazjum św. Jacka w Krakowie z roku szkolnego 1872*, Kraków 1872, s. 3.

<sup>28</sup> [http://www.zse1.edu.pl/pdf/historia\\_pdf/historia\\_mala.pdf](http://www.zse1.edu.pl/pdf/historia_pdf/historia_mala.pdf). Dostęp 02.02.2021.

<sup>29</sup> F. Kroebl, *Sprawozdanie Dyrekcji Szkoły Handlowej w Krakowie za rok szkolny 1885/86*, Kraków 1886, s. 12.

<sup>30</sup> J. Białynia Chołodecki, op. cit., s. 165.

<sup>31</sup> T. Stahlberger, op. cit., s. 3.



## Duchowieństwo

**Ks. Wiktor Putanowicz**, karmelita trzewickowy, był pierwszy na liście gości ze Lwowa, zameldowany Pod Zamkiem. Ponieważ w Krynicy nie było jeszcze parafii łacińskiej i stałego kapłana, nabożeństwa dla kuracjuszy i mieszkańców odprawiał przebywający na kuracji ksiądz. Ponownie przyjechał w 1869 r., ale wtedy funkcję kapelana zakładowego pełnił już ks. Ignacy Daniec<sup>32</sup>. W późniejszych latach ks. W. Putanowicz został przeorem lwowskiego konwentu przy kościele pw. św. Michała Archanioła. Zmarł w 1893 r. w wieku 82 lat, spoczywa w grobowcu oo. Karmelitów na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie<sup>33</sup>. W 2017 r. grobowiec odrestaurowano staraniem władz zakonnych i świeckich w Polsce.

**Ks. Łukasz Solecki** (1827–1900), ksiądz rzymskokatolicki, zameldował się Pod Trzema Różami (do Krynicy przyjechał jeszcze w 1869 i 1880 r.). Studiował filozofię i teologię we Lwowie, tam też otrzymał święcenia kapłańskie. Jako doktor teologii wykładał na Uniwersytecie Lwowskim. W roku uniwersyteckim 1863/1864 sprawował funkcję dziekana Wydziału Teologicznego, później rektora. Był też katechetą gimnazjalnym. W 1865 r. wszedł do kapituły lwowskiej, rok później został rektorem Seminarium Duchownego. Od 1867 r. przewodniczył sekcji szkół ludowych w Radzie Szkolnej Krajowej, był także posłem na Sejm Krajowy<sup>34</sup>. W 1882 r. został mianowany biskupem przemyskim. W mieście tym dożył swych dni<sup>35</sup>.

## Lekarze i ich rodziny

**Antonina Wołek** wraz ze służącą zameldowała się Pod Litwinką. Była żoną Wojciecha Wołka, cieszącą się ogólną sympatią



H. Armatys. Fot. Rodecki we Lwowie. Źródło: zbiory BJ, rkp. 11491 k. 1.

społeczną i sławą dobrego okulisty po stażu w słynnej klinice Albrechta von Graefe w Berlinie<sup>36</sup>. Gdy w 1867 r. zawiązano we Lwowie Towarzystwo Lekarzy Galicyjskich, W. Wołek pełnił w nim funkcję skarbnika<sup>37</sup>.

**Hipolit Armatys** w zdrojowisku mieszkał Pod Trzema Różami. Z urodzenia krakowianin, na świat przyszedł w 1838 r. w rodzinie kuśnierza. Nie był jednak kontynuatorem kupiecko-kuśnierskich tradycji rodzinnych. Po ukończeniu Gimnazjum św. Anny i zdaniu egzaminu maturalnego w 1859 r. studiował medycynę na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego. Stopień doktora medycyny otrzymał w 1865 r.<sup>38</sup>, doktora chirurgii zaś w 1866 r.<sup>39</sup> Po studiach przez 2 lata był lekarzem wojskowym, a później ordynariuszem w Zakładzie św. Łazarza we Lwowie, napisał również pracę naukową pt. *O włośniach krętych (Trichina spiralis)*,

<sup>32</sup> M. Zieleniewski, *Obraz ruchu i postępu Zakładu Zdrojowego w Krynicy w roku 1869*, Kraków 1869, s. 19.

<sup>33</sup> J. Wołczański, *Katalog grobów duchowieństwa rzymskokatolickiego, greckokatolickiego i ormiańskokatolickiego na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie*, „Nasza Przeszłość” 1997, nr 11, s. 357. [nazwisko zapisane z błędem, Patanowicz zamiast Putanowicz].

<sup>34</sup> T. Śliwa, *Solecki Łukasz Ostoją (1827–1900)*, [w:] *Tekstowa kartoteka osobowa przemyslan*, A. Siciak (red.), <http://www.pbp.webd.pl/tkop1/soleciklukasz.pdf>. Dostęp 02.02.2021.

<sup>35</sup> Ibidem.

<sup>36</sup> S. Kościński, *Słownik lekarzów polskich obejmujący oprócz krótkich życiorysów lekarzy Polaków oraz cudzoziemców w Polsce osiadłych, dokładną bibliografią lekarską polską od czasów najdawniejszych aż do chwili obecnej*, Warszawa 1883, s. 559.

<sup>37</sup> J. Grek, W. Ziembicki, *Pół wieku. Rzut oka na kronikę Towarzystwa Lekarskiego Lwowskiego (1877–1927)*, Lwów 1928, s. 4.

<sup>38</sup> O fakcie tym informowała również „Ojczyzna” 1865, nr 32, s. 4.

<sup>39</sup> M. Barcik, A. Cieślak, D. Grodowska-Kulińska, U. Perkowska, *Corpus studiosorum Universitatis Iagellonicae 1850–1918. A–D*, Kraków 1999.

wydaną we Lwowie w 1866 r.<sup>40</sup> H. Armatys był jednym z członków wspierających Towarzystwo „Bratniej Pomocy” studentów Politechniki Lwowskiej, a w 1869 r. udzielał tam bezpłatnych porad lekarskich<sup>41</sup>. Należał do kręgu znajomych Artura Grottgera, został uwieczniony przez artystę na rysunku ołówkiem pt. *Śmierć i doktor przy Grottgerze*<sup>42</sup> oraz na fotografii, wykonanej we Lwowie przez Hennera w 1866 r. H. Armatys do Krynicy przyjechał ponownie w 1869 r.

## Artyści i osoby towarzyszące

**Józef Hallerz** był ostatnim lwowskim gościem w sezonie, zameldował się Pod Cisem jako artysta malarz. Osobą towarzyszącą był Henryk Hubczyć. Identyfikacja ostatnich gości ze Lwowa przysparza najwięcej kłopotów. Wydaje się, że nazwiska te zostały zapisane z błędem, co się zdarzało. Założyłam, że chodziło o Józefa Hallera i Henryka Hupczyca.

**Henryk Hupczyc**, w latach 1877–1903 figuruje w szematyzmach jako urzędnik oddziału rachunkowego w Wydziale Krajowym, gdzie zaczynał jako asystent<sup>43</sup>, a skończył jako protokolista<sup>44</sup>. **Józef Haller**, malarz, urodził się w 1775 r. w Trieście. Miał studiować w akademii wiedeńskiej, lecz jego nazwisko nie figuruje w protokołach uczelni. Jednak w Wiedniu przebywał, o czym świadczy rysunek z 1802 r. W 1811 r. osiadł we Lwowie, przybywszy z Krakowa. Po 10 latach otrzymał posadę pomocniczego nauczyciela rysunku w Szkole Głównej. Zaproponowanego w 1845 r. przeniesienia do Czernowiec nie przyjął, przeszedł na emeryturę. Malował architekturę (m.in. Lwowa), krajobrazy, martwą naturę, kompozycje fantastyczne i studia postaci ludzkich. W Bibliotece Ossolińskich, w dawnych zbiorach Pawlikowskich,



W. Zaleski, wyk. Karol Auer, Lwów 1845.  
Źródło: Biblioteka Narodowa, sygn. BJ Graf. I. 11683

znajduje się 46 jego prac z lat 1802–1844. W Gabinecie Sztuki Lwowskiej Narodowej Naukowej Biblioteki Ukrainy im. Wasyla Stefanyka we Lwowie (również w zbiorach Pawlikowskich) przechowywana jest litografia według jego rysunku pt. *Głowa kobiety z profilu*. Dokładna data śmierci J. Hallera nie jest znana, w dostępnych źródłach podaje się, że zmarł po 1851<sup>45</sup>. Gdyby to ten J. Haller odwiedził Krynicę w 1868 r., miałby ok. 94 lat. Byłby to przykład wyjątkowej długowieczności i żywotności.

## Podsumowanie

Najstarsza dostępna lista gości krynickiego zakładu kąpielowego powstała ponad 150 lat temu i chociaż wykaz ten przedstawia się dosyć skromnie, stanowi ciekawy materiał badawczy. W 1868 r. na koniec sezonu zdrojowego ogółem zarejestrowano 727 rodzin. Lwowskie 54 rodziny (96 gości + 14 sług) stanowiły więc ok. 7,41%. W kolejnych sezonach liczba przyjazdów gości ze Lwowa systematycznie rosła, by po 45 latach (do 1913 r.) osiągnąć ponad dwukrotny wzrost wizyt lwowian w Krynicy (nieco ponad 15%).

<sup>40</sup> S. Koźmiński, op. cit., s. 11.

<sup>41</sup> *Księga Pamiątkowa Towarzystwa „Bratniej Pomocy” Słuchaczy Politechniki we Lwowie*, Lwów 1897, s. 25 i 162.

<sup>42</sup> K. Kantecki, *Artur Grottger. Szkic biograficzny*, Lwów 1879, s. 172.

<sup>43</sup> *Szematyzm Królestwa Galicyi i Lodomeryi z Wielkim Księstwem Krakowskim na rok 1877*, Lwów 1877, s. 238.

<sup>44</sup> *Szematyzm Królestwa Galicyi i Lodomeryi z Wielkim Księstwem Krakowskim na rok 1903*, Lwów 1903, s. 302.

<sup>45</sup> M. Domański, *Haller Józef*, [w:] *Słownik artystów polskich i obcych w Polsce działających. Malarze, rzeźbiarze, graficy. Tom III H–Ki*, J. Maurin Białostocka, J. Derwojed (red.), Wrocław, Warszawa, Kraków, Gdańsk 1979, s. 16.

Dominik Filipek

# Matka Boża Zbaraska

Kilka kilometrów od centrum Przemyśla, nad rzeką San, przy drodze krajowej nr 28, w miejscowości Pralkowce, niewielki kościół parafialny kryje w sobie wyjątkowy dla historii Polski na Kresach skarb. Wewnątrz, na głównej ścianie za ołtarzem znajduje się obraz Matki Bożej, czczony przez wieki w historycznej twierdzy Rzeczypospolitej, w Zbarażu.

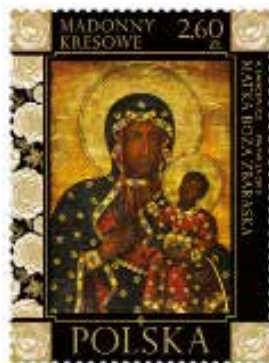
Dzieje obrazu sięgają XVI wieku, kiedy to na zlecenie Janusza Zbaraskiego nieznanymi imienia malarz (przypuszczalnie z kręgu szkoły krakowskiej) wykonał kopię wizerunku Matki Bożej Częstochowskiej. Namalowany został techniką olejną na blasze miedzianej, ręcznie wyklepwanej. Wizerunek różni się nieco od pierwowzoru. Twarze Madonny i Dzieciątka mają jaśniejszą karnację, a na obliczu Maryi brak jest charakterystycznych dla ikony jasnogórskiej cięć. Szata Maryi ozdobiona jest szcioramiennymi złotymi gwiazdami; szamerowania szat są skromniejsze, zdobione broszkami i kamieniami. Sukienka Dzieciątka pokryta jest złotymi rozetami. Obraz ozdobił sukienkami król Michał Korybut Wiśniowiecki. Zostały one wykonane w srebrze bogato złożonym przez złotników i cyzelerów kijowskich.

Początkowo obraz znajdował się w miejscowym kościele parafialnym w Zbarażu. W 1637 r. książę Jarema Wiśniowiecki ufundował okazały klasztor i kościół w stylu późnego renesansu, przeznaczony dla oo. Bernardynów, gdzie został na stałe umieszczony. Dwanaście lat później Zbaraż

– w tym klasztor i kościół – ucierpiał w wyniku oblężenia przez wojska tureckie, tatarskie i kozackie. Z literackim rozmachem bitwę tę opisuje Henryk Sienkiewicz w *Ogniem i mieczem*. Oblężony

wówczas 14-tysięczny oddział polski bronił się pod dowództwem Jeremiego Wiśniowieckiego przez 43 dni (od 10 lipca do 22 sierpnia 1649 r.) przed naporem liczącej 100–200 tys. żołnierzy armii kozacko-tatarskiej. W kolejnych dziesięcioleciach wieku XVII miasto było kilkakrotnie najeżdżane i plądrowane. Uratowane malowidło powróciło na dawne miejsce dopiero w 1773 r. W 1789 r. w czasie pożaru kościół uległ ponownemu zniszczeniu. Spalił się ołtarz główny wraz ze słynącym łaskami obrazem św. Antoniego. Ołtarz z obrazem Matki Bożej ocalał. Przez dziesięciolecia wizerunek doznawał szczególnej czci od mieszkańców Podola i Wołynia. Wśród licznych pielgrzymów modlących się przed obrazem Madonny należy wymienić królów: Jana Kazimierza, Michała Korybuta Wiśniowieckiego, Jana III Sobieskiego.

W XX wieku obraz opuścił tereny dawnej Rzeczypospolitej. W 1946 r. oo. bernardyni wysiedleni z Kresów przenieśli obraz do swojego klasztoru w Leżajsku. Gorącym czcicielem Matki Bożej Zbaraskiej był ks. abp Ignacy Tokarczuk. Urodzony w 1918 r. w Łubiankach Wyższych, dojrzał w cieniu zbaraskiego sanktuarium, m.in. jako uczeń gimnazjum w Zbarażu. W 1972 r. jako biskup przemyski zdecydował o umieszczeniu obrazu w kościele w Pralkowcach. Cztery lata wcześniej powierzył tę placówkę duszpasterską Zgromadzeniu Świętego Michała Archanioła (księża michalicy), które do dziś sprawuje pieczę nad obrazem i tamtejszą parafią.



Znaczek pocztowy Poczty Polskiej

Pralkowce, z archiwum Michaliców



Kościół w Prałkowcach został zbudowany w latach 1840–1842 przez hrabiego Eustachego Drużbackiego, właściciela Prałkowiec. Początkowo był kościołem filialnym parafii katedralnej w Przemyślu. W 1889 r. zaborcze władze austriackie przeznaczyły go na stajnię. W latach 1944–1945 służył jako łaźnia dla wojska. Pod koniec 1945 r. przywrócono jego sakralne przeznaczenie. W pobliżu kościoła znajduje się zrekonstruowana w 1967 r. drewniana dzwonnica z końca XVI wieku.

Wnętrze kościoła odznacza się wybitnie patriotycznym wystrojem. Na ścianie prezbiterium kościoła rzuca się w oczy duży płat blachy miedzianej ozdobionej gwiazdami w postaci dziesięciu orłów z różnych epok historycznych, zaczynając od orłów piastowskich, a kończąc na orłach współczesnych. Po lewej i prawej stronie od tabernakulum widoczne są duże tarcze. Ta z lewej strony jest ozdobiona herbami ziem wchodzących w skład państwa Jagiellonów (Polska, Litwa, Ruś). Tarcza z prawej zawiera podobizny Matki Bożej, św. Andrzeja Boboli i św. Michała Archanioła. Na uwagę zasługują również kute w blasze miedzianej kinkiety w kształcie tarcz herbowych. Po lewej widnieje herb książąt Zbaraskich, herb Sienkiewiczów – „Nałęcz”, herb Sobieskich – „Janina”; z prawej – herb bpa Ignacego Tokarczuka, herb dynastii Wazów – „Snopiek” i Wiśniowieckich – „Korybut”.

Burzliwe losy obrazu związane są z bogatymi w przełomy, tragedie i triumfy dziejami Polski. Wartości tegoż wizerunku nie można zawęzić do walorów artystycznych; docenić go można jedynie w kluczu historycznym. Jednak rzecz nie w sentymentalizmie, ponieważ stojąc przed tym obrazem, wypowiadając w myślach dumnie brzmiące słowo Zbaraż, można zadać pytanie o sens



Kościół oo. Bernardynów w Zbarażu, Wikimedia commons

historii w ogóle. Myślę, że nie będzie przesadą, jeśli stwierdzimy, że Polacy obrali przed wiekami wybitnie oryginalny klucz do historii – Boski Sens wypowiedziany w słowie Bożym i zaadaptowany w bogatej tradycji narodowej. Ilekroć ludzkość odrzuca ów „Sens”, tylekroć funduje samej sobie bolesny dramat. Im bardziej stara się znaleźć sens historii i świata niejako poza – czy ponad – dziejami i światem oraz według niego układać porządek doczesny, tylekroć staje przed realną szansą egzystowania w świecie godnym człowieka. Maryja obecna na Kresach przed wiekami i na „kresach” dziś może być znakiem wierności Boga w Jego Opatrzności nad historią i tymi, którzy zechcą nadawać jej właściwy kształt; znakiem tego, że zło historii nie będzie mieć ostatniego słowa. Jak modli się Kościół katolicki w prefacji mszalnej na uroczystość NMP Królowej Polski: „Wyniesiona do niebieskiej chwały, otacza macierzyńską miłością Naród, który Ją wybrał na swoją Królową. Broni go w niebezpieczeństwach, udziela mu pociechy w utrapieniach i wspiera go w dążeniu do wiecznej ojczyzny, aż nadejdzie pełen blasku dzień Pański”.

## BIBLIOGRAFIA

- Marcin A. Różański, *Zgromadzenie Świętego Michała Archanioła w Polsce w latach 1945–2004*, 2015, s. 215–217.
- Tadeusz Stawiarski, *Łaskami słynący obraz Matki Bożej Zbaraskiej (rys historyczny)*, Prałkowce 1979, s. 2–9.
- Ryszard Józwick, Marian Wiglusz, *Sanktuarium Matki Bożej Zbaraskiej w Prałkowcach. Opis kościoła pw. Królowej Polski*, Prałkowce 1988, s. 4–5.
- Historia parafii w Prałkowcach*, [w:] <https://pralkowce.michalicy.pl/historia> [dostęp: 4 marca 2021 r.]



Marek A. Koprowski

## Krwawy napad OUN na pocztę w Gródku\*

Czy metropolita Andrzej Szeptycki ponosi współodpowiedzialność za powstanie ukraińskiego nacjonalizmu, zbrodniczego ruchu rozpowszechnionego przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu? Czy gdyby metropolita ekskomunikował OUN, zdołałaby ona zdobyć takie poparcie na Zachodniej Ukrainie?

Autor książki *Narodziny ukraińskiego nacjonalizmu* szuka odpowiedzi na te fundamentalne pytania. Przedstawia historię ukraińskiego terroryzmu, który pojawił się za sprawą Ukraińskiej Wojskowej Organizacji. Opisuje jej ofensywę przeciwko państwu polskiemu, m.in. zamachy na Józefa Piłsudskiego i prezydenta Stanisława Wojciechowskiego oraz innych polskich dostojników państwowych. Przedstawia szczegóły rzadko przez historyków wspomiane, choćby dwie ofensywy UWÓ, w trakcie których łuny pożarów rozświetlały niebo Małopolski Wschodniej od Zbrucza do Sanu.

Lektura książki pozwala poznać korzenie i rozwój zbrodniczej Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Pogłębia wiedzę o roli, jaką w jej rozwoju odegrali księża grekokatoliccy, w rodzinach których wychowała się większość przywódców ze Stepanem Bandera na czele. Czytelnik dowie się, kto i jak zamordował Tadeusza Hołówkę, którego śmierć oznaczała fiasko filoukraińskiej polityki Józefa Piłsudskiego, realizowanej przez jego ekipę. Pozna dzieje krwawego napadu bojówki OUN na pocztę w Gródku Jagiellońskim i inne popełnione przez nie



morderstwa. Przypomni zabójstwo ministra Bronisława Pierackiego, kolejnego ukrajinofila zamordowanego z rozkazu Bandery. To od tego morderstwa zbrodniarz ten rozpoczął swą wielką karierę.

Państwo polskie zamiast powiesić – darowało mu życie. Krótka odsiadka w ciężkich więzieniach na Świętym Krzyżu, we Wronkach i Brześciu, zamiast skrucy, dała Banderze legitymację do przeprowadzenia rozłamu w OUN. Powołał jej zbrodniczą frakcję, która w myśl wskazań swego przywódcy dokonała ludobójstwa na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej...

Jednym z najkrwawszych napadów bojówek OUN na instytucję państwa polskiego w okresie międzywojennym był napad na Urząd Pocztowy w Gródku Jagiellońskim. Napad ten był jednocześnie najmniej udany, wręcz kompromitujący napastników. Rozkaz

o jego przeprowadzeniu wydał Jewhen Kownalec, ówczesny szef Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, przebywający w Kwaterze Głównej organizacji w Berlinie. Jego wykonawcami byli trzej ludzie: Bogdan Krolink, Roman Szuchewycz i Mykoła Łebed. Na szczęście dla państwa polskiego okazali się zupełnie niekompetentni i napad, choć krwawy, skończył się dla nacjonalistów całkowitą klapą. Jednak nie jego autorzy

\* Fragment pochodzi z książki *Narodziny ukraińskiego nacjonalizmu. Bandera, Szeptycki, OUN*



Od lewej Wasyl Biłas i jego wuj Dmytro Danylyszyn, Marian Żurakiwskij podczas procesu 17–22 grudnia 1932 r. we Lwowie. Za udział w zamachu na Tadeusza Hołówkę oraz napaść na urząd pocztowy i skarbowy w Gródku Jagiellońskim zostali skazani na karę śmierci. Wyrok wykonano

poszli na szubienicę, ale dwóch rzeźmieszaków, którzy wcześniej w bestialski sposób zamordowali Tadeusza Hołówkę. Gdyby to Łebed i Szuchewycz zawiśli na dziedzińcu więzienia w Brygidkach, historia stosunków polsko-ukraińskich mogłaby potoczyć się inaczej. Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów na prowadzenie swojej terrorystycznej działalności potrzebowała pieniędzy. Niemcy wprawdzie ją sponsorowali, ale w zamian żądali konkretnej roboty, przede wszystkim usług wywiadowczych. OUN nie zawsze to odpowiadało. Chciała dysponować własnymi środkami, by móc je swobodnie wydłokować na wojnę terrorystyczną z państwem polskim: pensje dla tzw. zawodowych rewolucjonistów, utrzymanie rodzin aresztowanych działaczy, drukowanie antypaństwowych ulotek itp. Samo przeprowadzenie zjazdu OUN za granicami RP też nie było tanie. OUN usiłowała więc zdobywać środki na różne sposoby. Przeprowadzała zbiórki pieniężne wśród emigracji ukraińskiej i organizowała napady rabunkowe na polskie instytucje, w których znajdowały się pieniądze: głównie na banki, poczty, furgony pocztowe przewożące gotówkę itp. Nie były to

jednak przedsięwzięcia łatwe i wiązały się z ryzykiem. Na początku 1932 r. pułkownik Roman Suszko wyjechał za ocean, by w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie przeprowadzić zbiórkę środków na cele OUN. Emigracja ukraińska w tych krajach składała się przede wszystkim z wychodźców z Małopolski Wschodniej i Podkarpackiej Rusi. Kierownictwo OUN liczyło więc, że będzie szczodra i sypanie groszem na walkę o niepodległą Ukrainę. Misja Suszki skończyła się fiaskiem. W ciągu dziewięciu miesięcy Suszce udało się zebrać niecałe trzy tysiące dolarów. Jewhen Konowalec wpadł we wściekłość i zażądał, by „Baza”, czyli Lwów, przeprowadziła spektakularną akcję, w trakcie której zdobędzie dużo pieniędzy. W owym okresie Krajowym Prowidnykiem OUN na tzw. Ziemiach Zachodnio-Ukraińskich był Bogdan-Iwan Kordiuł, używający pseudonimów „Arkas”, „Dik”, „Nowyj” i „Snip”. Miał niewielkie doświadczenie w bandyckim rzemiośle. Był młodzieżowym działaczem OUN. Aktywnie funkcjonował w Związku Ukraińskiej Nacjonalistycznej Młodzieży. Do OUN wstąpił w 1929 r., gdzie szybko mianowano go zastępcą prowidnyka Junactwa OUN.

W listopadzie 1930 r. został aresztowany i skazany na półtora roku więzienia za zorganizowanie napadu na ambulans pocztowy pod Bóbrką 30 lipca 1930 r. Gdyby polskie władze były surowsze w traktowaniu ukraińskiego bandytyzmu, Kordiuł spędziłby w więzieniu wiele lat, a nie zajmował się planowaniem kolejnych napadów. Po wyjściu z więzienia, gdy mianowano go w maju 1932 r. Krajowym Prowidnykiem, na pewno dyszał chęcią zemsty na polskich władzach. Chciał też wykazać się przed Konowalcem, którego wytyczne dawały mu duże możliwości. Miał przeprowadzić wielką, efektywną akcję, którą OUN mogłaby wykorzystać propagandowo, o której byłoby głośno! Kordiuł zajmował się dotąd kolportażem organu UW – „Surmy”, co na pewno nie zaspokajało jego ambicji. Można przypuszczać, że między działaczami OUN też była konkurencja i walka o palmę pierwszeństwa. Można zaryzykować opinię, że w OUN był nadmiar osób, niemogących realizować swoich ambicji i czekających na swoją szansę. Wśród nich byli między innymi Mykoła Łebed i Roman Szuchewycz, terroryści wielkiego kalibru. To ich właśnie dobrał sobie do pomocy Kordiuł przy przygotowywaniu napadu. Szuchewycz miał wyszukać odpowiednich ludzi do uczestnictwa w akcji. Sam z Łebedem wybrał cel ataku i zlecił mu opracowanie planu całego przedsięwzięcia. Jako obiekt do napadu wybrali wspólnie pocztę w Gródku Jagiellońskim. Było to powiatowe miasteczko, odległe o dwadzieścia pięć kilometrów od Lwowa, liczące około dziesięciu tysięcy mieszkańców, w którym Polacy stanowili ponad siedemdziesiąt procent. Znajdowały się w nim typowe dla tego typu miasteczek instytucje, takie jak: Komenda Powiatowa Policji, Sąd Powiatowy, Urząd Skarbowy, Podatkowy i Opląt, Kasa Skarbowa, Urząd Ewidencji i Katastru Podatku Gruntowego i – oczywiście – Urząd Pocztowy. Część tych instytucji mieściła się w jednym budynku, co dodatkowo przyciągnęło uwagę organizatorów napadu. Liczyli na to, że wszystkie instytucje przekażą pieniądze pocztocie, by ta wysłała je do Lwowa. Z rozpoznania przeprowadzonego przez nich wynikało, że na pocztocie w oznaczonym dniu może być nawet pięćset tysięcy złotych! Jak na owe czasy, była to gigantyczna suma. W ciągu jednego skoku organizacja mogła

wobec ówczesnego przelicznika zagarnąć sto tysięcy dolarów. Kwota ta mogła działać na wyobraźnię szeregowych bojówkarzy wybranych do napadu. Opracowany przez Łebedia, Szuchewycza i Kordiuka od początku tchnął amatorszczyzną. Poczta w Gródku została wybrana ze względu na wysokość łupu, nie stwierdzono w niej należytej policyjnej ochrony. Po dokonaniu napadu z budynku, w którym mieściła się poczta, w ocenie kierownictwa akcji można było łatwo się wycofać. Rozpoznanie było fatalne. Na tej pocztocie nigdy nie było tak ogromnej kwoty. Obsługa poczty wyposażona była w broń palną, w tym także długą, i potrafiła się nią posługiwać. Z miejsca napadu wcale nie było tak łatwo się wycofać. Niektórzy wybrani do akcji bojówkarze uczestniczyli już w podobnych napadach i mogli zostać w Gródku rozpoznani. Trzech z nich, wytypowanych do odwalenia głównej roboty podczas napadu, było zawodowymi mordercami, którzy mieli na sumieniu między innymi zabójstwo Tadeusza Hołówki, dokonane z wyjątkowym bestialstwem. Kolejnym „operacyjnym”, dopiero co zwolnionym z aresztu, był Jurko Berezynskij. Wstawił się już zamordowaniem komisarza Czechowskiego i liczył, że następny napad umocni jego sławę molojecką. W podobny sposób myślał zapewne Szuchewycz, który wstawił go do ekipy. Chciał, by jego szwagier awansował w strukturach organizacji. Uczestnictwo w morderstwach i napadach skierowanych przeciwko Polakom skutecznie zwracało uwagę kierownictwa. Nie jest też wykluczone, że Szuchewycz, formując bandycką ekipę, nie bardzo miał z kogo wybierać i musiał brać wszystkich, których miał pod ręką. Cały plan napadu opracowany przez kierowniczą trójkę, jak pisze Serhij Mychajlenko, od początku szwankował i był naprędce zmieniany. Zgodnie z postanowieniami w napadzie miało wziąć udział dwunastu bojówkarzy. Ich listę zatwierdziła wspomniana trójka na spotkaniu, które odbyło się 26 listopada we Lwowie. Wytypowani uczestnicy pochodzili z różnych miejscowości: Jurij Berezynskij, Dmytro Danyłyszyn i Wasyl Biłas z Drohobyczyny; Marijan Żurakowski i Petro Maksymiw ze Stanisławowszczyzny; Stepan Dolynskij, Stepan Kuspis, Stepan Maszak, Wołodymyr Stanyk, Gryć Fajda, Stepan Pac, Grygoryj Kupeckij ze Lwowa i okolic. Wszy-



scy spotkali się na odprawie we Lwowie 28 listopada 1933 r. Po niej pojedynczo udali się do Gródka. Szefem grupy, którego wyznaczył Roman Szuchewycz, został Mykoła Łebed – tak stwierdził badający sprawę Wiesław Romanowski. Serhij Mychajlenko twierdzi natomiast, że od początku szefem grupy był Jurij Berezynskij, gdyż odprawa przed akcją miała się odbyć w wynajmowanym przez niego mieszkaniu. Wersja Romanowskiego jest bardziej prawdopodobna. Akcja w Gródku była zbyt ważna, by dowodzenie powierzać dwudziestolatkowi, który miał na koncie tylko zabójstwo komisarza policji we Lwowie. Zaznaczyć trzeba jeszcze, że specjalną odzież dla napastników kupił Wołodmyr Nydza, a środki opatrunkowe i medykamenty nabyła i przekazała bojówkarzom Kateryna Zaryćka. W terrorystycznej walce OUN przeciwko państwu polskiemu brały bowiem udział także kobiety. Zaryćka, jak pisze Łesia Orcyszko, wchodziła w skład „dziewczęcej bojowo-rozpoznawczej piątki na czele z Marią Kos, która była podporządkowana Krajowej Egzekutywie OUN”. Gdy wszyscy uczestnicy napadu zebrali się w umówionym miejscu w Gródku, okazało się, że brakuje amunicji do rewolwerów. Wówczas Mykoła Łebed zrezygnował z dowodzenia grupą i przekazał je Berezynskiemu. Czuł pismo nosem i nie chciał brać bezpośredniej odpowiedzialności za fiasko operacji. Na dodatek zmarł właśnie naczelnik poczty w Gródku. Te wszystkie zdarzenia zmusiły bojówkę do przeniesienia napadu na następny dzień. Bojownicy dwiema grupami poszli do najbliższej wsi, dobrze znanej Kuspisowi, i nie kontaktując się z go-

spodarzami, ukryli się w stogu siana. Przeczekali tam noc i następny dzień. W środę 30 listopada, znów w dwóch grupach, wyruszyli do Gródka i o godz. 16.55 podeszli z dwóch stron ulicy do poczty. Nałożyli na twarz kominiarki, podzielili się na cztery grupy i wdarli się do budynku poczty. Każda z grup miała do wykonania inne zadanie. Jedna miała opanować hol poczty,

druga wdrzeć się do kasy, trzecia zablokować aparaty telefoniczne, a czwarta opanować korytarz, przez który miał się odbyć odwrót. Napad nie szedł jednak zgodnie z planem. Niespodziewanie dla bojowników okazało się, że pracujący na poczcie urzędnicy, mający za sobą służbę w Legionach Piłsudskiego, uzbrojeni byli w rewolwery. Gdy napastnicy wtargnęli do głównego holu poczty i krzyknęli, by wszyscy podnieśli ręce do góry, zostali przywitani strzałami, a drzwi kasy zostały zamknięte. Według innej wersji pierwszy zaczął strzelać Berezynskij, który wpadł w panikę, trzymając pod rewolwerem pięciu pracowników poczty. Pozostali uczestnicy napadu również wpadli w popłoch i zaczęła się na poczcie dwustronna strzelanina. Danyłyszyn wystrzelił kilka razy w drzwi i wybił okienko kasowe, przez które wskoczył W. Biłas, który – zgodnie z danymi ze śledztwa – zabrał z kasy trzy tysiące dwieście dwadzieścia dwa złote i pięćnaście groszy. Do ich pakowania do torby Biłas miał zmusić kasjerkę. Po dokonaniu rabunku – według wersji Mychajlenki, heroizującej uczestników najścia – wszyscy jego uczestnicy zdołali wybiec na ulicę i tu zostali ostrzelani z budynków stojących obok poczty. Berezynskij miał otrzymać ciężki postrzał i – żeby nie dać się wziąć żywcem – popełnił samobójstwo. Drugi z zabitych Ukraińców, Wołodmyr Staryk, został śmiertelnie ranny, jednak zdążył dobiec do pobliskiego domu ukraińskiego adwokata Stepana Biljiaka, posła do polskiego parlamentu z ramienia UNDO. Padł pod jego domem, ale ludzie zdążyli go jeszcze żywego zanieść do biura adwokata. Z lektury polskiej prasy



można wnosić, że koniec napadu był dla ukraińskich napastników mniej heroiczny. Gdy na miejsce przybyli policjanci z miejscowego posterunku, Berezynskij leżał w drzwiach urzędu w olbrzymiej kałuży krwi. W prawej ręce trzymał rewolwer bębnekowy z palcem na cynglu. Jeszcze żył, zmarł dopiero po chwili. Drugi z napastników leżał kilkadziesiąt metrów dalej, pod domem adwokata. Miał maskę na twarzy i przestrzealoną pierś. Nikt go nie odniósł do biura. W kłapie jego marynarki był wpięty znak z tryzubem i trzema literami: U-W-O, co od razu ukierunkowało śledztwo. Na ścianach klatki schodowej było widać wiele dziur po kulach. W pobliżu schodów leżał ciężko ranny woźny kasy skarbowej, Ludwik Kołacz, trzymający w rękach służbowy karabin. Według ustaleń policji w pościg za uciekającymi ruszył drugi woźny z kasy skarbowej – Klimczak, który chwycił karabin i wyskoczył na klatkę schodową. To on położył Berezynskiego i trafił Staryka, który przewrócił się pod domem adwokata. Reszta uczestników napadu zbiegła, ale też oberwała. Każdy z nich był ranny – w rękę lub nogę. Wśród pracowników poczty i interesantów, a także wśród pracowników biur sądowych było łącznie dziewięciu rannych. Szybko okazało się, że Ukraińcy ukradli tylko worek z bilonem, który leżał na stole obok kasy. W niej było około pięćdziesięciu tysięcy złotych, które miały zostać przewiezione do Lwowa. Z relacji „Gazety Lwowskiej” wynika, że: „Na pierwszą wiadomość o napadzie na pocztę wyjechały ze Lwowa oddziały pościgowe oraz liczny sztab śledczy. Także udały się do Gródka pod kierunkiem personelu śledczego psy policyjne, które kontynuują pościg”.

Działaniami pościgowymi dowodził osobiście Komendant Wojewódzki Policji Państwowej inspektor Kozielewski. Zaalarmował telefonicznie wszystkie posterunki policji i polecił przetrząsnąć wszystkie miejscowości dookoła Gródka, w których mogli się ukryć sprawcy napadu. Jak podaje dalej „Gazeta Lwowska”: „Otrzymałszy ten rozkaz komendant posterunku P.P. w Pustomytach przod. (przodownik – przypis M.A.K.) Alfred Kojat w towarzystwie posterunkowego Eugeniusza Sługockiego udał się natychmiast na patrol. Idąc torem przybyli do Glinnej Nawarji. Tu obejrzelni dokładnie zabudowania stacyjne i udali się w kierunku

miasteczka. Po drodze spotkali dwóch osobników. Przod. Kojot zatrzymał ich i wezwał do okazania legitymacji. Osobnicy sięgnęli do kieszeni, ale zamiast dowodów osobistych dobyli z nich rewolwerów. Równocześnie z ich strony padły strzały. Przodownik Kojot rażony kulą rewolwerową, zwał się martwy na ziemię. Obok niego upadł posterunkowy Sługocki, którego napastnicy ciężko ranili w brzuch. Oni sami uciekli i znikli w ciemnościach nocy. Post. Sługockiego przewieziono do szpitala we Lwowie. Równocześnie wzmożono czujność obławy policyjnej. Przypuszczenia kierownictwa pościgu szły w tym kierunku, że bandyci uciekali dalej wzdłuż toru kolejowego w kierunku południowym. W tym też kierunku wysłano większość patroli pościgowych. Przypuszczenia okazały się słuszne. Rano kolejarze w pobliżu Żydaczowa ujrzeli biegnących przez pola dwóch osobników, zmierzających w kierunku Rozwadowa. Poczęli ich ścigać. Jednak ci ze swej strony odpowiedzieli gęstymi strzałami z rewolwerów. Następnie przeprawili się przez Dniestr, po czym skierowali się znów w okolice Mikotajowa. Pogoń wysłana za uciekającymi stwierdziła, że ustawicznie zmieniali oni kierunek swej ucieczki. W południe udało się policji ująć dwóch osobników. Jeden miał postrzeloną kurtkę. Nazwiska ich są trzymane w tajemnicy. Obaj ujęci uzbrojeni byli w rewolwery typu Ordges oraz zaopatrzeni w naboje”. „Gazeta Lwowska” w swojej relacji nie poinformowała czytelników, że obaj osobnicy byli mocno poturbowani przez ukraińskich chłopów, którzy ich złapali i wydali w ręce ukraińskiej policji. Byli lojalnymi obywatelami i bandyta był dla nich bandytą, więc należało go wydać organom ścigania. Tymi uciekinierami złapanymi przez rodaków byli Biłas i Danyłyszyn, ukraińscy bojówkarze z największym bandyckim dorobkiem. Gdy dotarli do Rozwadowa, przed wsią czekał na nich tłum ukraińskich chłopów, uzbrojony w widły, siekiery i cepy. Chcieli ująć zbiegów, ale ci zaczęli się ostrzeliwać, i chłopcy się cofnęli. Biłas i Danyłyszyn zaczęli uciekać do wsi Werynia, licząc, że tam znajdą schronienie, lecz na miejscu też czekał na nich tłum ukraińskich chłopów. Danyłyszyn miał jeszcze naboje i strzelił do jednego z nich, Aleksandra Andruchowa, raniąc go. Następnym strzałów nie oddał, bo za-



napadu na pocztę w Gródku. Mieli oni zresztą tyle na bandyckim koncie, że mogli otrzymać wielokrotną karę śmierci. Do Biłasa i Danyłyszyna dołączyli jeszcze Marian Żurakiwskij i Zenon Kossak. Ten ostatni został aresztowany przez policję dzięki zeznaniom Biłasa. Do niczego się nie przyznał, ale w jego mieszkaniu znaleziono cztery pistolety parabellum, mapy, odezwy, ulotki i egzemplarze „Surmy”. Już za samo to mógł dostać wyrok skazujący. Marian Żurakiwskij został natomiast ujęty pod Oroszynom, w czasie pościgu za uczestnikami napadu na pocztę w Gródku. Nie spodziewanie w trakcie śledztwa przed sędzią śledczym do spraw szczególnej wagi – Józefem Skórzyńskim, znanym ze swej uczciwości i sumiennosci, Biłasa przyznał się do zamordowania Tadeusza Hołówki. Zrobił to nie dlatego bynajmniej, że ruszyło go sumienie. Jego przyznanie wynikało z linii obrony, przyjętej przez adwokata ukraińskiego. Liczył, że dzięki temu zabiegowi uda mu się przenieść sprawę swojego klien-

brakło mu amunicji. Wieśniacy natychmiast dopadli zbirów i zaczęli bić. Rozwścieczeni, sami chcieli wymierzyć im sprawiedliwość. Gdyby nie nadejście księdza greckokatolickiego Kindija, byłoby ich zatkniętych. Zdarzenie to znalazło swój epilog w sądzie. Do wszystkich przestępstw Danyłyszyna dopisano mu jeszcze w akcie oskarżenia usiłowanie zabójstwa Aleksandra Andruchowca. Tuż przed przybyciem policji Danyłyszyn zdążył oświadczyć, że są bojownikami ukraińskiej organizacji, a także, że walczą o Ukrainę. Zarzucił też chłopom, że jak tak będą wojować, to Ukrainy nigdy nie będą mieli. Tymczasem w szpitalu we Lwowie zmarła jedna z ofiar napadu – woźny pocztowy Kołacz. Otrzymał przez niego postrzał w najcięższy. Kula bandyty trafiła go w szyję i utkwiła w kręgosłupie. Gdy karetka wiozła go do szpitala, był już częściowo sparaliżowany. 17 grudnia 1932 r. prasa podała, że sprawa napadu na pocztę w Gródku Jagiellońskim będzie rozpatrywana w trybie doraźnym. Mogło oznaczać to tylko jedno: wkrótce do Lwowa przyjedzie kat ze swoim pomocnikiem. Społeczeństwo wstrząśnięte „wyczynami” ukraińskich terrorystów, domagało się najwyższych wyroków dla ujętych sprawców

ta do rozpatrywania z sądu doraźnego do sądu przysięgłych, wtedy miałby szansę na ucieczkę spod szubienicy i skazanie oskarżonego na długoletnie więzienie. Taka procedura miała tryb odwoławczy, proces mógł się ciągnąć długo, można go było wykorzystać do celów propagandowych itp. Sądzeni w trybie doraźnym mogli się spodziewać najwyższego wymiaru kary. Stosowano go tylko wówczas, gdy były zagrożone podstawowe interesy państwa. obrońca Biłasa liczył i na to, że sprawa śmierci Hołówki jest na tyle nośna społecznie, że opinia publiczna wymusi na władzach wszczęcie odrębnego, drugiego procesu, poprzedzonego dodatkowym śledztwem i postępowaniem dowodowym. Miał nadzieję, że przypomnienie śmierci Hołówki wprowadzi zamieszanie w procesie dotyczącym napadu na pocztę w Gródku, nada temu typowemu bandycy aktowi posmak polityczny. Prokuratura stanęła jednak twardo na stanowisku, że sprawa zamordowania Tadeusza Hołówki będzie, owszem, rozpatrywana w osobnym procesie, ale sprawcy napadu na pocztę w Gródku będą sądzeni w trybie doraźnym z wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami. W toku czynności śledczych po-

licja odszukała kryjówkę, w której sprawcy napadu ukryli część łupu w bilonie. Było w niej dziewięćset dziewięćdziesiąt złotych. Rozprawa przed sądem doraźnym we Lwowie trwała od 19 do 23 grudnia. Proces był prowadzony bardzo sprawnie. Wszelkie wybiegi adwokatów i teatralne gesty ze strony obrońcy Biłasa nic nie dały. Przed sądem Biłas kategorycznie wyparł się udziału w morderstwie Hołówki, twierdząc, że z tą zbrodnią nie ma nic wspólnego. Tak polecił mu adwokat. Miało to zamącić obraz sprawy i skłonić sąd do przekazania sprawy sądowi przysięgłych. Z działaniami adwokata korespondowała postawa Danyłyszyna, który z kolei całą winę za działania podczas napadu na pocztę w Gródku brał na siebie, twierdząc, że Biłas w ogóle nie strzelał. Danyłyszyn chciał najwzyczajniej chronić swego bliskiego krewnego. Był bowiem młodszym bratem matki Biłasa, czyli jego wujem. Sąd jednak nie dał wiary tym zeznaniom. Obalił je zresztą postrzelony w brzuch posterunkowy Sługocki, który cudem ocalał. Zeznał na sesji wyjazdowej sądu w szpitalu, że strzelali obaj bandyci, i to równocześnie. Sąd nie dał także wiary zapewnieniom Biłasa, że nie brał udziału w zabójstwie Tadeusza Hołówki. W trakcie rozprawy odczytano jego zeznania, jakie złożył w śledztwie. Zostały one potwierdzone przez zeznania Mykoły Motyki, który stwierdził przed sądem, że szczegółów zabójstwa zna od Biłasa, który opowiadał mu o wszystkim. Adwokat broniący Biłasa, W. Starosolskyj, widząc, że traci grunt pod nogami, oświadczył między innymi: „[...] proszę trybunału, w imię sprawy, która tak wstrząsnęła duszami dwóch narodów, mieszkających obok siebie, nie wolno nam zaspokoić się zeznaniami Biłasa i Motyki (...) Wzywam prokuratora o odnalezienie całej materialnej prawdy. Połowa prawdy będzie krzywdą dla nas wszystkich”. Sąd przeszedł nad wszystkimi wnioskami obrony do porządku dziennego. Prokurator Henryk Mostowski przypomniał też, że to oskarżeni wywołali sprawę Hołówki. W mowie końcowej powiedział między innymi: „[...] przez cały przewód sądowy przesunął się ponury cień zbrodni, dokonanej na osobie pośła Hołówki. Stało się tak dlatego, że Biłas przyznał się dobrowolnie, że jest sprawcą tego morderstwa”. Prokurator zapowiedział też, że sprawa zabójstwa Ho-

łówki zostanie wkrótce rozpatrzona w osobnym procesie.

W swoim ostatnim słowie Danyłyszyn oświadczył: „Wiem, co mnie czeka. Byłem i jestem na wszystko przygotowany. Tylko szkoda, że nie zdołam już dalej pracować dla naszej Matki Ukrainy!”. W podobnym tonie w ostatnim słowie wypowiedział się Wasyl Biłas, stwierdzając: „Jestem świadomy swojej winy i kary. Jestem ukraińskim nacjonalistą i rewolucjonistą. W swoim życiu popełniłem tylko jedną zbrodnię. Chodzi o to, że podczas śledztwa, chcąc przeciągnąć swoją sprawę, skierowałem podejrzenie na towarzysza Kossaka. Jestem świadomy tej zbrodni i jeszcze raz stwierdzam, że towarzysz Kossak jest niewinny i jeszcze raz niewinny”. Obaj wiedzieli, co ich czeka, ale żaden nie miał najmniejszych wyrzutów sumienia z powodu popełnionych zbrodni. Tak byli przesiąknięci ideologią zbrodniczego nacjonalizmu, że zabicie człowieka nie stanowiło dla nich najmniejszego problemu. Był to efekt wpajania młodym ludziom, wstępującym do OUN, nazistowsko-satanistycznego „Dekalogu” ukraińskiego nacjonalisty, w którym siódme „przykazanie” głosiło: „Nie zawahasz się wykonać najniebezpieczniejszej zbrodni, jeśli będzie wymagać tego dobro sprawy”. Danyłyszyn tylko raz rozpląkał się w sądzie – gdy jego ojciec zakończył składać zeznania. Obydwaj byli biednymi, prymitywnymi ludźmi wciągniętymi przez politycznych macherów w zbrodnie przeciwko państwu polskiemu, omamionymi przez ideologię, i przyszło im za to zapłacić. 22 grudnia 1932 r. sąd ogłosił wyrok skazujący Biłasa, Danyłyszyna i Żurakiwskiego na karę śmierci przez powieszenie. Sprawę Kossaka przekazano do zwyczajnego postępowania, gdyż członkowie Trybunału nie byli jednomyślni. Prokurator kategorycznie sprzeciwił się próbie obrony, aby Trybunał przedstawił skazanych prezydentowi państwa do ułaskawienia. Jego zdaniem prośba ta była niedopuszczalna ze względu na konsekwentną politykę kryminalną kraju. Jednak już o 16.30 kancelaria prezydenta Ignacego Mościckiego przekazała do Lwowa wiadomość, że Żurakiwskyj został ułaskawiony. Karę śmierci za udział w zbrodniczym napadzie zamieniono mu na piętnaście lat w ciężkim więzieniu. Biłas i Danyłyszyn następnego dnia o 6.30 rano mieli zawisnąć na szubienicy.

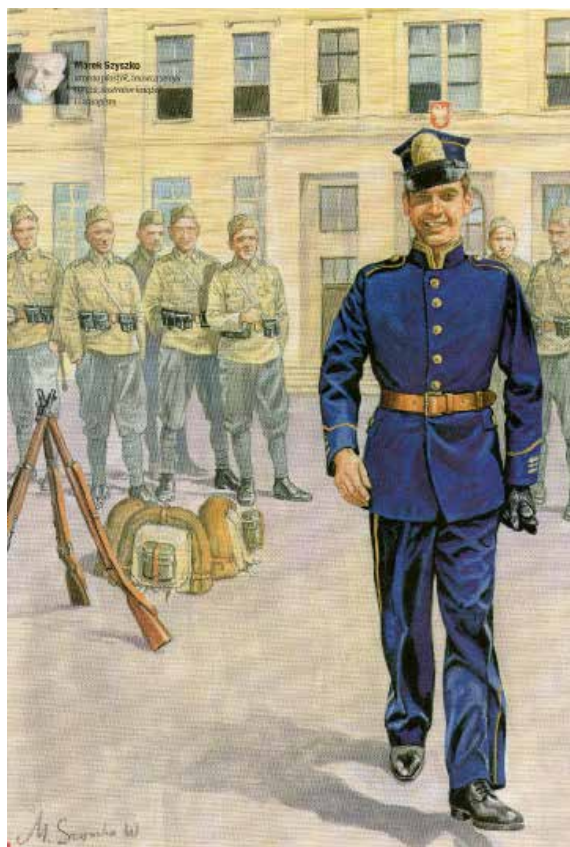
Antoni Wilgusiewicz

## Spółeczeństwo Lwowa wobec powstań i plebiscytu na Górnym Śląsku (czerwiec 1919 - czerwiec 1921)

**B**ieżący rok, w którym przypadają setne rocznice tak ważnych nie tylko dla Śląska wydarzeń, jak plebiscyt górnośląski i III powstanie śląskie, jest okazją do pokazania czy też przypomnienia różnych problemów z nimi związanych, z których część budzi kontrowersje, nie tylko o charakterze stricte historycznym. W okresie międzywojennym głośny był spór o charakter III powstania między Wojciechem Korfantym i Michałem Grażyńskim reprezentującymi dwa zwalczające się obozy polityczne. Powstała wówczas znana broszura autorstwa Korfanta *Marzenia i zdarzenia*, stanowią-

ca odpowiedź na oficjalną, sanacyjną interpretację III powstania, lansowaną przez Grażyńskiego i prorządowy Związek Powstańców Śląskich. Innego typu spory o charakter powstań toczą się dziś, a dotyczą one tak skrajnych ich interpretacji, jak – z jednej strony – obca ingerencja w wewnętrzne sprawy państwa niemieckiego, a z drugiej – chęć na wskroś polskiego ludu śląskiego wydobycia się z wielowiekowej niewoli. Jednym z najważniejszych punktów tego sporu jest rola państwa i społeczeństwa polskiego w organizacji i przebiegu powstań, a zwłaszcza największego z nich, trzeciego. W tym miejscu

chcę omówić jeden z elementów tego zagadnienia, a mianowicie stosunek społeczeństwa Lwowa do spraw górnośląskich w okresie powstań i plebiscytu, rozpoczynając od decyzji wersalskich w tej sprawie w połowie 1919 roku do zakończenia III powstania, a więc mniej więcej do połowy 1921 roku. W tym celu sięgnąłem do najobszerniejszego codzienne życie miasta i sprawy jego mieszkańców w latach II RP, a mianowicie Agnieszki Biedrzyckiej *Kalendarium Lwowa 1918–1939*, Kraków 2012. Takie ujęcie tematu jest oczywiście jednostronne, nie ukazuje działalności lwowian na miejscu zdarzeń, czyli terenie plebiscytowym (jak choćby wizyta piłkarzy lwowskich na Śląsku czy później udział lwowian, zwłaszcza kadetów lwowskich, w walkach powstańczych), ale pozwala umiejscowić sprawy śląskie w nurcie życia ówczesnego Lwowa, bardzo obfitym w dramatyczne wydarzenia, jak choćby zagrożenie zdobyciem miasta przez bolszewików latem 1920 roku. Natomiast osoby szcze-



Kadeci otrzymywali mundury tuż przed 11 listopada, dniem uroczystego ślubowania

gółowo zainteresowane tematem powinny sięgnąć do publikacji Barbary Maresz, pracownika naukowego Biblioteki Śląskiej, pod tytułem *Lwowskie echa powstań śląskich i plebiscytu w: Książnica Śląska*, t. 31, 2020. Autorka, opierając się na szczegółowej kwerendzie prasy lwowskiej, przedstawia wszystkie wydarzenia związane ze „sprawą śląską” we Lwowie, a wylicza ich 132 – od 22 kwietnia 1919 do 7 sierpnia 1921.

Reakcją na postanowienia wersalskie w sprawie zarządzenia plebiscytu na Górnym Śląsku i wywołanym nimi I powstaniem była Rezolucja Rady Miejskiej Lwowa, w której domagano się od władz państwowych natychmiastowego udzielenia pomocy powstańcom, jednocześnie wyrażając nadzieję, że traktat wersalski zostanie zmieniony, a Śląsk Opolski przyznany Polsce bez plebiscytu (21 sierpnia 1919 r.). W ślad za rezolucją w dniu 25 sierpnia na dziedzińcu ratusza odbył się wiec obywatelski, na którym powtórzono powyższe żądania. Wyrazem poparcia dla walki Górnoszlązaków była też przeprowadzona w dniu 29 sierpnia zbiórka uliczna oraz przekazanie przez Radę Miejską w dniu 4 września na pomoc dla Górnego Śląska sumy 50

tysięcy koron. Podsumowania prac polskiej delegacji na konferencji wersalskiej dokonał w odczycie publicznym przedstawionym lwowianom w dniu 30 października jej aktywny uczestnik, wybitny lwowski geograf Eugeniusz Romer. Był on autorem między innymi *Pamiętnika paryskiego (1918–1919)*, w którym szczegółowo zrelacjonował polskie wysiłki dyplomatyczne na rzecz jak najkorzystniejszego ukształtowania granic Odrodzonej Polski.

W następnym, 1920 roku, w dniu 1 lutego odprawiono w katedrze lwowskiej nabożeństwo dziękczynne z okazji rewindykacji Kresów Zachodnich, a działający we Lwowie Komitet Obrony Kresów Zachodnich wysta-

wił w sali Kasyna i Koła Literacko-Artystycznego szopkę noworoczną, pomyślaną jako „środek agitacyjny” na potrzeby plebiscytu na Górnym Śląsku. W ramach popularyzacji sprawy Kresów Zachodnich w tejże sali wygłoszono wykłady, z których pierwszy dotyczył „Śląska i Warmii w przeszłości”. Zagadnienie to przedstawił w dniu 4 maja wybitny historyk średniowiecza, prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego, profesor Stanisław Zakrzewski. 30 maja z kolei otwarto w Kasynie wystawę kartograficzną, przygotowaną przez Eugeniusza Romera, ilustrującą walkę o granice państwa polskiego, a więc i o Śląsk.



Olga Regorowiczowa z Zarzyckich  
– jedna z bohaterek

Cały czas aktywny był Komitet Obrony Kresów Zachodnich; 24 maja zorganizował w sali Sokoła-Macierzy wiec górnośląski, któremu towarzyszyła zbiórka uliczna. Aktywni na tym polu byli też akademicy lwowscy; 27 maja uchwalili oni rezolucję wzywającą młodzież do wzięcia udziału w akcji plebiscytowej. Nie były to apele głosowne, o czym świadczy liczny udział studentów zarówno Uniwersytetu, jak i Politechniki w akcji plebiscytowej, a potem III powstaniu; wystarczy wymienić takie nazwiska, jak Roman Lutman czy Olga Zarzycka, a także

poległy pod Górą św. Anny student Politechniki Stanisław Oleksin, kawaler Orderu Virtuti Militari. Kalendarium odnotowuje, że już 21 czerwca na obszar plebiscytowy wyruszyła grupa 50 studentów Politechniki pod komendą Jana Nawrockiego.

We Lwowie w dniu 13 czerwca zmarł Jan Niemiec, pochodzący ze Śląska Cieszyńskiego wybitny pedagog, prowadzący we Lwowie własną szkołę. Wielki patriota Lwowa, ale też Śląska; jak podaje Stanisław Nicieja, jego ostatnią wolą było przekazanie przez uczestników ceremonii pogrzebowej kwot przeznaczonych na wieńce i kwiaty na cele polskiej akcji plebiscytowej na Górnym Śląsku.



Spółceństwo Lwowa cały czas reago- wało na wydarzenia związane z Kresami Zachodnimi; 29 czerwca odbył się wiec przeciwko nadużyciom władz niemieckich na tych terenach (chodziło tu także o Warmię i Mazury). Sprawy te na pewien czas musiały jednak zejść na drugi plan wobec nadcho- dzącego zagrożenia bolszewickiego, które pochłonęło całą uwagę i aktywność zarówno władz, jak i społeczeństwa miasta; nawet wtedy jednak znaleziono czas na mecze piłkarskie Lwów – Górny Śląsk, rozegrane 17 i 18 lipca (wygrana lwowian 4:1 i 5:1). Mecze te można traktować jako rewanż za wizytę piłkarzy lwowskich w czerwcu na Górnym Śląsku; był to wyjazd piłkarzy lwowskich klubów Pogoń i Czarni pod kie- rownictwem znanego działacza sportowego, Rudolfa Wacka. Szczegółowy opis tej wizyty i jej efektów propagandowych, wysoko oce- nionych przez Polski Komisarjat Plebiscyto- wy z Wojciechem Korfantym na czele, jest zawarty w książce Rudolfa Wacka *Wspo- mnienia sportowe*, napisanej przez niego już po wojnie w Bytomiu i wydanej przez Wydawnictwo św. Krzyża w Opolu w 1947 roku (niestety, od tej pory niewznawianej, a wielka szkoda!).

Jesień 1920 roku przyniosła pewne uspokojenie sytuacji zarówno na froncie

polsko-bolszewickim poprzez udaną obro- nę Lwowa i wygraną Bitwę Warszawską, jak i na Śląsku, po II powstaniu, które przy- niosło między innymi powołanie miesza- nej polsko-niemieckiej policji plebiscytowej. Już jednak początek 1921 roku oznaczał – wobec zbliżającego się plebiscytu – po- nowne zwiększenie aktywności także spo- łeczeństwa lwowskiego, zainteresowane- go pomyslnym dla Polski jego wynikiem. Miał wówczas miejsce Tydzień Górnośląski, podczas którego we wszystkich kościołach Lwowa odprawiono nabożeństwa błagalne w intencji pomyslnego wyniku plebiscytu. W ratuszu z kolei władze miasta zwołały wiec górnośląski pod tym samym hasłem, a 16 stycznia miała miejsce kolejna zbiórka uliczna na pomoc akcji plebiscytowej.

Prowadzono akcję informacyjną na temat Górnego Śląska; 3 lutego gen. Franciszek Latinik wygłosił odczyt dla oficerów, a 6 lu- tego Eugeniusz Romer omówił temat *Ruina Górnego Śląska pod rządami pruskimi*. Dba- no wciąż o finansowe wsparcie dla Śląska; Komitet Obrony Kresów Zachodnich zorga- nizował loterię plebiscytową, a na szczegó- lne podkreślenie zasługuje inicjatywa lwow- skich kelnerów, którzy całodzienny zarobek z dnia 21 lutego postanowili przeznaczyć na wsparcie polskiej akcji plebiscytowej. Zgro- madzenia obywatelskie w sprawie Górnego Śląska odbywały się zarówno w przestrze- ni otwartej, np. na placu Mariackim, a więc pod pomnikiem Adama Mickiewicza, jak też zamkniętej, łącznie z reprezentacyjnym Te- atrem Wielkim, a nawet w szkołach z polskim językiem wykładowym. Goszczono także grupę Ślązaków z Małopolski Wschodniej, którzy udawali się na teren plebiscytowy celem wzięcia udziału w głosowaniu.

Dni 20 i 21 marca, jak donosiła pra- sa, upłynęły w gorączkowym oczekiwaniu na wynik plebiscytu. W wyniku pierwszych wiadomości, pomyslnych dla strony polskiej, mieszkańcy tłumnie wylegli na ulice, by ma- nifestować swą radość. Ulicami Lwowa prze- ciągały oddziały wojskowe z orkiestrą na czele, a wszyscy udawali się pod pomnik Mickiewicza. Obchody te łączyły się z dwoma innymi ważnymi dla Polski wydarzeniami – uchwaleniem konstytucji, zwanej marco- wą, i zawarciem pokoju z Rosją (tzw. pokój ryski). Wydarzenia te uczciła Rada Miejska na uroczystym posiedzeniu (23 marca) oraz

Kościół, podczas nabożeństwa dziękczynnego w Katedrze (27 marca).

Po początkowej euforii zaczęło się oczeekiwanie na decyzje w sprawie terenu plebiscytowego. Mimo sumarycznej przegranej strony polskiej żądano uwzględnienia głosów tej znacznej części Ślązaków, którzy opowiedzieli się za Polską; 4 kwietnia zgromadzenie odbyło się pod pomnikiem Mickiewicza, po czym zebrani przeszli przez całe ścisłe centrum miasta na plac Bernardyński. Dalsze wydarzenia odbywały się już w związku z wybuchem III powstania. Głos zabierała zarówno Rada Miejska, jak też różne grupy społeczne, tradycyjnie studenci i uczniowie szkół średnich, ale też na przykład kolejarze (8 maja – w tym też dniu z Korpusu Kadetów uciekła grupa 47 uczniów celem wzięcia udziału w powstaniu). Nadal też gromadzono środki pieniężne na pomoc, tym razem już dla walczących na Śląsku powstańców. 11 i 12 czerwca władze zarówno miejskie, jak też akademickie w sposób bardzo zdecydowany zabrały publicznie głos w sprawie Górnego Śląska, żądając od władz państwowych zarówno pomocy politycznej – nie wykluczając wojskowej, jak też finansowej. Wyprawiono także na teren walk 30-osobową czołówkę sanitarną w celu niesienia pomocy rannym powstańcom. Kończące się powstanie wsparli także przedstawiciele arystokracji, i to w bardzo oryginalny sposób. Otóż w wyniku strajku kelnerów w hotelu George ich rolę na dzień 19 czerwca przejęli arystokraci, którzy do kwoty uzyskanej z napiwków dołożyli drugie tyle i całą sumę przekazali „komitetowi górnośląskiemu”.

Jakie miejsce zajmowały sprawy Górnego Śląska w życiu Lwowa lat 1919–1921? Biorąc pod uwagę, że był to zarówno dla Lwowa, jak i dla całej Polski czas bardzo trudny pod każdym względem – na pewno ważne. Zarówno władze miej-

skie, akademickie, kościelne, jak i przedstawiciele społeczeństwa – nie tylko studenci, którzy zaangażowali się najbardziej, dali świadectwo swojego patriotyzmu, w którym sprawa polskiego Śląska zajmowała ważne miejsce. Poparcie dla walki polskich Ślązaków miało wymiar nie tylko werbalny, ale i ofiary krwi, której symbolem jest dziś potomek słynnego rodu Chodkiewiczów, 17-letni kadet lwowski poległy pod Górą Św. Anny. Warto też zwrócić uwagę na pomoc materialną, udzielaną mimo powszechnej powojennej biedy podczas zbiórek ulicznych przez mieszkańców Lwowa. Z czego wynikała taka postawa? Niewątpliwie dużą rolę odegrało tu osobiste doświadczenie z listopada 1918 roku, kiedy to mieszkańcy Lwowa – w dużej części kobiety i dzieci – stanęli do walki o przynależność swego miasta i regionu do wskrzeszonego Państwa Polskiego. Narodziła się wówczas solidarność Kresów Wschodnich i Zachodnich, trwająca przez cały okres międzywojenny. Wyrażała się ona między innymi w licznych wzajemnych wizytach, zwłaszcza z okazji świąt państwowych czy rocznic historycznych. Tak np. w dniu 11 listopada 1934 roku słynna już wówczas Wesoła Lwowska Fala nadała okolicznościowy dialog Szczepka i Tońka na temat Śląska i wzajemnych związków lwowsko-śląskich. Wykonano także utwór *Trojak śląsko-lwowski* autorstwa Wiktora Budzyńskiego, który może być puentą tego artykułu.

## *Trojak śląsko-lwowski*

**Chłopak.** Hej, śląska dziewczyno – usłysz nas, usłysz nas, I szybko, a ino – zatańcz raz, zatańcz raz – śląskiego trojaka – daj buziaka w tańcu mi; Pokochasz lwowiaka za trzy dni, za trzy dni!

**Dziewczyna.** Hej śląski chłopaku – usłysz nas, usłysz nas! Hej, śląski junaku – zatańcz raz, zatańcz raz! Prosi cię lwowianka – dam buziaka w tańcu ci, Pokocham Ślązaka za trzy dni, za trzy dni.

**Chłopak.** Lwowska ziemia z ziemią śląską, Łączą dzisiaj synów swych.

Chociaż nicią taką wąską,  
nie masz dla nich dróg dziś złych.

Wolnej Polski wielkie święto –  
opromieni bratnią myśl:

Lwowska ziemia – ziemi śląskiej  
swoje serce składa dziś.

**Michał Piekarski**

# Sto lat temu we Lwowie...

Jeden z ostatnich koncertów, którego słuchałem w sali filharmonii, miał miejsce właśnie we Lwowie w lutym 2020 r., czyli ponad rok temu. Było to w gmachu obecnej Filharmonii Lwowskiej (dawnej sali Polskiego Towarzystwa Muzycznego). Rok 2021, w który wchodzimy w całkowicie zmienionej formie życia kulturalnego, a mówiąc wprost, w formie dawno niespotykanego tak wielkiego ograniczenia, nakłania nas do refleksji nad wcześniejszymi dokonaniem w tym zakresie.

W pierwszej kolejności należy przypomnieć, że zgodnie z najnowszym stanem badań dokładnie 200 lat temu w 1821 r. przyszedł na świat Karol Mikuli, zasłużony dla Lwowa wieloletni pianista, kompozytor i wieloletni dyrektor konserwatorium (będzie o nim mowa w jednym z kolejnych numerów „Cracovia–Leopoldis”).

Dokładnie 100 lat temu miało miejsce kilka ważnych wydarzeń dla życia muzycznego Lwowa. W 1921 r. po okresie stagnacji Filharmonia Lwowska rozpoczęła na nowo swoją działalność. Powstała w 1902 r. i działała wówczas w dawnym Teatrze Skarbrowskim. Po spektakularnym pierwszym sezonie

1902/1903 tak wielkiego sukcesu już nie powtórzyła. W 1921 r. została zorganizowana nowa orkiestra symfoniczna. Instytucja działała odąd z mniejszymi lub większymi przerwami. W 1921 r. w lwowskim środowisku muzycznym nastąpiły także inne ważne zmiany związane z pojawieniem się wybitnych osób. We Lwowie osiedlił się wówczas doskonały pianista i kompozytor Witold Friemann, a Adam Mitscha, znany ze świetnego pióra prawnik i muzykolog, objął dział muzyczny w lwowskim „Słowie Polskim”. W tym samym roku we Lwowie zamieszkał z ojcem 14-letni Roman Palester, znany później kompozytor, który zadebiutował w II RP, a po 1951 r. tworzył na emigracji.

W 1921 r. przyszło też na świat kilka znanych osób, które w okresie dzieciństwa i młodych lat były związane ze Lwowem. Przypomnijmy w niniejszym numerze o dwóch z nich. W dniu 1 sierpnia 1921 w Jagielnicy k. Tarnopola urodził się Michał Bristiger. Był synem Chaima Nuty Brüstigera i Julii Prajs. Dziadek Michała Bristigera prowadził w Tarnopolu aptekę, ojciec był działaczem syjonistycznym. Podczas pierwszej okupacji sowieckiej Lwowa Michał Bristiger studiował medycynę (1940–1941). Później ukrywał się w Sokalu i Doniecku, ostatecznie trafiając do Włoch, gdzie po zakończeniu wojny kontynuował studia medyczne, a także pianistyczne. W 1946 r. zamieszkał w Warszawie, gdzie kontynuował studia medyczne. Równolegle studiował muzykologię na Uniwersytecie Warszawskim (1948–1953). W zakresie gry na fortepianie kształcił się pod kierunkiem Jerzego Lefeldta. W 1953 r. Bristiger należał do pierwszych absolwentów muzykologii warszawskiej wraz z Józefem Kańskim i Józefem Patkowskim. Od 1951 r. związany był zawodowo z Instytutem Muzykologii UW, który od momentu powstania kierowany był przez Zofię Lissę (1948–1975), absolwentkę muzykologii na UJK we Lwowie. Dalsze studia Bristiger pogłębiał m.in. w Rzymie. Michał Bristiger działał jako znany popularyzator i krytyk muzyczny oraz redaktor czasopism poświęconych muzyce, m.in. jako publicysta „Ruchu Muzycznego”, założyciel „Res Facta” w 1967 r. oraz internetowego czasopisma „De Musica” w 2001 r. Wiele prac Bristigera poświęconych było recepcji muzyki włoskiej na ziemiach polskich. Wybrane studia o muzyce, które Bristiger



Od lewej: Adam Mitscha i Witold Friemann (ok. 1930 r.)





Sala koncertowa Konserwatorium PTM (1930 r.)

tworzył podczas większej części swojego życia, dokładnie 20 lat temu doczekały się wydania książkowego (M. Bristiger, *Mysł muzyczna. Studia wybrane*, oprac. Halina Sieradz, Warszawa 2001). Michał Bristiger zmarł 16 grudnia 2016 r. w Warszawie.

Z dała od Lwowa 31 sierpnia 1921 r. w Częstochowie przyszedł na świat Jerzy Michotek. Pochodził z rodziny od pokoleń osiadłej we Lwowie, tam też przypadł mu okres dzieciństwa i młodych lat. Jego matka wraz z Marią Węgrzynowiczową należały we Lwowie do Stowarzyszenia Matek Chrześcijańskich. Jerzy Michotek znał więc Remigiusza Węgrzynowicza od dzieciństwa. Uczęszczał do VIII Gimnazjum we Lwowie, a w X Gimnazjum uzyskał maturę. Podczas okupacji sowieckiej Lwowa trafił do łagru. Po II wojnie światowej osiadł we Wrocławiu, gdzie w 1950 r. ukończył studia uniwersyteckie w zakresie historii literatury polskiej. W Warszawie złożył eksternistyczny egzamin aktorski i reżyserski. Już podczas studiów rozpoczął przygodę z teatrem. W latach 1953–1961 był aktorem Teatru Syrena w Warszawie. Działał też jako piosenkarz. Pracował jako reżyser programów rozrywkowych i estradowych. Wystąpił w wielu filmach, m.in. w serialu *Dom* reżyserowanym przez innego kresowianina Jana Łomnickiego według scenariusza Jerzego Janickiego.

W końcu lat 80. XX w. Jerzy Michotek zaangażował się w odbudowę Cmentarza Obrońców Lwowa. Działał też w warszaw-

skim oddziale TMLiKPW. W 1990 r. wydał wspomnienia *Tylko we Lwowie*. Zmarł w Warszawie w 1995 r. W tymże roku opublikowany został jego wiersz *Wierne Madonny*:

*Strząśnij łzę, strząśnij z warg,  
 Łyczakowska Madonno.  
 Chroń swój skarb, chroń nasz skarb  
 Dłonią bezbronną,  
 Ciepłą, drobną jak u dziecka,  
 Jak przylipka kulikowska,  
 Chroń nas, Panno Jazłowiecka,  
 Matko Łyczakowska.  
 Wiary trzeba, Matko Boska, Daj nam ją, daj!  
 O Madonno Łyczakowska, trwaj!*



Konserwatorium PTM (obecnie Lwowska Filharmonia)

Stanisław Srokowski

*Matka modląca*

Jej usta płynęły jak łódka  
urwistymi brzegami słów.  
Różaniec myśli jak skapywanie  
kropel ciszy w dolinie śpiących rzek.  
Przez skraj wieczoru przeciekały  
głuche westchnienia ścian  
i słyszało się ciemne skomlenia okien.  
Strach rozwoził po polach chochoły,  
a matka tkła z oddechu szal miłości  
i owijała moje lęki.  
W zaroślach obcej mowy syczały żmije  
i wbił się w niewinne ciała  
żelazny tryzub.  
Płonęły chmury i drżała ziemia.

*Modlitwa*

Panie,  
zamarty moje usta,  
rozsypany się głązy wiary,  
odpłynęły głosy z nieba  
i błysnęła pustka.  
Jak znieść rozpad myśli?  
Mamroczą moje ręce,  
szeleszczą płatki oddechu,  
wołają oczy.  
Uchroń mnie, Panie,  
przed pustynią sumienia.

*Usta ciszy*

Na progu domu przysiadła  
gromadka zielonych lamp  
i oświetlała bladą twarz  
dziadka Piotra zamienionego  
w przydrożny kamień.  
Pusta izba błyskała  
martwymi oczami.  
Umierały okaleczone zdania  
i zaciskały się usta ciszy.  
Ostatnie płomyki języka  
świeciły z popiołów wsi.  
Po spalonej gałęzi mowy  
biegał czarny świt.

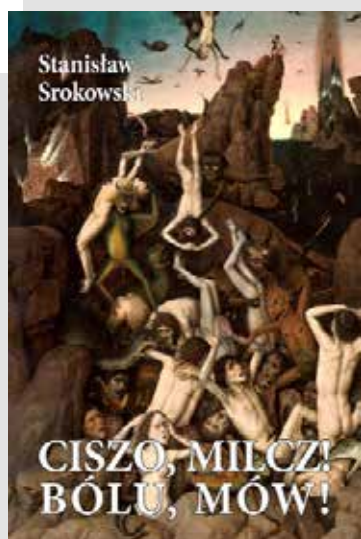
*Lwów śpiewa*

Lwów to nieuleczona rana,  
urwany nagle gest, okaleczone usta,  
wołanie placów i zamków, żywy ślad  
historii, która po cichu śpiewa.  
Dusza miasta żyje w pasażach,  
w starych ruinach i fontannach,  
w altanach, mostkach i pawilonach.  
I w strofach umarłych poetów.  
Idziemy po drogach wygnania,  
jak szli przed nami  
ojcowie i bracia,  
ich głosy i cienie towarzyszą nam wiernie,  
jak rzeki, strumyki, pola i lasy.  
Granice ziemi przesuwają nas  
z miejsca na miejsce.  
Modlą się nasze ręce, kolana i stopy.  
Niesiemy pismo i żagwie, moc truchleje,  
a wieczność wyciąga szyję.  
Lwów śpiewa w naszych oddechach.

Prezentowane utwo-  
ry pochodzą z najnow-  
szego tomu poezji Stani-  
sława Srokowskiego *Ci-  
szo, milcz! Bólu, mów!*,  
który niebawem trafi do  
czytelników. Na okładce  
książki przeczytamy:

„Jest to jedyny tak  
bogaty zbiór wierszy  
w polskiej liryce całko-  
wicie poświęcony pięknu  
i tragedii ziem kreso-  
wych. Stanisław Sro-  
kowski od lat opisuje  
dramatyczne dzieje Pol-  
aków w opowiadaniach  
i powieściach. Jednakże  
w poezji dopiero teraz jawi się jako piewca polskiej du-  
szy, sięgający do najgłębszych pokładów ludzkiej eg-  
zystencji. Wywodzi się z głośnej poetyckiej awangardy  
XX w., zwanej szkołą lingwistyczną, i po raz kolejny wno-  
si do współczesnej literatury nowatorski ton, wzbogacając  
go oryginalną metaforą, błyskotliwym obrazowaniem  
i subtelnym stylem”.

Gratulując autorowi pięknych wierszy, informujemy,  
że tomik jest dostępny na [www.magnapolonia.org](http://www.magnapolonia.org).



**Jerzy T. Petrus**

## Nowy katalog lwowskiego muzeum

**P**od koniec minionego roku Stowarzyszenie Oświaty i Kultury Polskiej wydało w Krakowie książkę ważną dla wiedzy o polskim dziedzictwie kulturowym. Jest to praca autorstwa Igora Chomyna *Rzeźba polska i z Polską związana – wiek XIX–XX w Lwowskiej Narodowej Galerii Sztuki imienia B.G. Woźnickiego. Katalog zbiorów* (Kraków 2020, s. 543, il.). Książka prezentuje 232 dzieła polskich artystów oraz związanych z polską kulturą sześć prac twórców obcych.

Zbiór rzeźby Lwowskiej Narodowej Galerii Sztuki nie jest kolekcją historyczną, lecz zespołem powstałym w rezultacie administracyjnych przekształceń lwowskich muzeów, dokonanych po roku 1940. Do niewielkiego zasobu rzeźb w dawnej Galerii Narodowej Miasta Lwowa, której kontynuatorką jest obecna ukraińska instytucja, dołączono wybrane obiekty pochodzące z bogatych zasobów Muzeum Książąt Lubomirskich przy Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich, ze zbiorów Bolesława Orzechowicza, stanowiącego oddział Muzeum Narodowego im. Króla Jana III, Muzeum Zasłużonych Polek, Muzeum Przemysłu Artystycznego, Muzeum Historycznego Miasta Lwowa, dawnego ukraińskiego Muzeum Narodowego im. Andrzeja Szeptyckiego, a także ze znacjonalizowanych kolekcji prywatnych, m.in. Leona Pinińskiego, rodziny Dzieduszyckich, Głuchowskich. Jest w niej również kilka obiektów ofiarowanych i zakupionych dla muzeum po drugiej wojnie światowej, pozyskanych drogą wymiany z Muzeum Sztuki w Wilnie, oraz przeniesionych z zamkniętych kościołów rzymskokatolickich we Lwowie.

Są to prace wysoko cenionych polskich artystów, m.in. Xawerego Dunikowskiego, Henryka Glicensteina, Zygmunta Kurczyńskiego, Konstantego Laszczyki, Władysława Oleszczyńskiego, Teodora Rygiera, Tomasza Oskara Sosnowskiego, Wacława Szymanowskiego,



Leona Mieczysława Zawiejskiego. Najliczniejszą grupę tworzą dzieła rzeźbiarzy w różny sposób związanych ze Lwowem, jak Tadeusz Barącz, Tadeusz Błotnicki, Luna Drexler, Parys Filippi, Kazimiera Małaczyńska (Pajzderska), Antoni Popiel, Janina Reichert-Toth, Julia Smolkówna. Jest tam także zespół prac artystów mniej znanych i twórców anonimowych. Wśród artystów obcych, realizujących zlecenia Polaków, spotykamy okazy dłuta tak sławnych twórców,

jak Duńczyk Bertel Thorvaldsen i Włoch Pietro Tenerani.

W lwowskim zbiorze przeważa rzeźba portretowa – głowy, popiersia, całe postacie, prezentujące osobistości polskiej kultury, sztuki, nauki i polityki. Są to wizerunki wieszczów narodowych, pisarzy i poetów: Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Zygmunta Krasińskiego, Marii Konopnickiej, Teofila Lenartowicza, Kazimierza Chłędowskiego, kompozytorów i pianistów – Fryderyka Chopina, Ignacego Jana Paderewskiego, a także generała Tadeusza Kościuszki oraz uczonych i polityków: Alfreda Biesiadeckiego, Stefana Buszczyńskiego, Tadeusza Czackiego, Bolesława Orzechowicza, Franciszka Siarczyńskiego, Franciszka Smolki, Floriana Ziemiałkowskiego, aktorów: Adama Didura i Bolesława Ładnowskiego, lwowskich arcybiskupów – Józefa Bilczewskiego i Józefa Teodorowicza. Niektóre z tych postaci, dzisiaj często niesłusznie zapomnianych, odegrały znaczącą rolę w kulturalnych i politycznych dziejach Galicji. Osobną, niezwykle interesującą grupę zabytków prezentowanych w książce tworzą projekty i modele pomników, tylko w części zrealizowane. Miały upamiętniać takie postacie, jak: Mickiewicz, Słowacki, Kościuszko, Korzeniowski, a także lotników amerykańskich i ofiary obozu w Talerhofie. Jest także kilka prac o tematyce rodzajowej, symbolicznej i animalistycznej.

Z dzieł artystów obcych nie sposób nie wymienić płyty z nagrobka Władysława i Heleny Ponińskich, dłuta Thorvaldsena z lat 1835–1842, do roku 1961 znajdującego się w kaplicy pałacu Ponińskich w Czerwonogrodzie na Podolu (obecnie wieś Nyrkiw), oraz popiersi Zygmunta Krasińskiego i Jadwigi z Lubomirskich księżnej de Ligne, autorstwa Teneraniego z lat 1858–1859. Obok płyty nagrobka Józefy z Olizarów Dunin-Borkowskiej w dawnym kościele Dominikanów we Lwowie, pracy Thorvaldsena z roku 1816, wspomniane rzeźby należą do najcenniejszych okazów tej gałęzi sztuki zachodnioeuropejskiej niegdyś znajdujących się w polskim posiadaniu.

Zasadniczą część książki stanowi katalog. Każda pozycja zawiera dane o autorze i temacie dzieła, o technice wykonania i wymiarach, umieszczonych na nim sygnatur i napisach.

Na szczególną uwagę zasługują informacje dotyczące proveniencji zabytku. Przynależność do dawnych lwowskich zbiorów dokumentują przywołane materiały archiwalne i wybrana literatura.

Tekstowi towarzyszą fotografie każdego obiektu, a także niektórych sygnatur. Pomocą w korzystaniu z wydawnictwa są indeksy osób i miejscowości oraz zestawienia wykorzystanych źródeł archiwalnych i literatury przedmiotu.

Dzięki wydanej przed kilku laty innej pracy Igora Chomyńa *Katalog plakiet, medalionów i medali polskich i z Polską związanych w Lwowskiej Narodowej Galerii Sztuki* (2015), obejmującej opracowania 1245 zabytków, uzyskujemy pełną wiedzę o zasobie rzeźb związanych z polską kulturą przechowywanych we Lwowskiej Narodowej Galerii.

Publikacja zawiera równoległy tekst w języku ukraińskim, dzięki czemu zawarte w niej informacje będą mogły być łatwo wykorzystywane nie tylko przez polskich, ale również ukraińskich muzealników, historyków sztuki i miłośników tej gałęzi twórczości artystycznej.



Luna Drexlerówna, *Homo Sapiens*, około 1910 r.

Jej znaczenia dla wiedzy o narodowej kulturze nie sposób przecenić.

Igor Chomyń jest głównym inwentaryzatorem lwowskiego muzeum, od wielu lat zajmującym się sztuką polską i promocją jej okazów w zbiorach lwowskich. Jest on autorem katalogów i współorganizatorem licznych wystaw obrazów polskich malarzy z zasobów Galerii, prezentowanych w polskich muzeach i galeriach. W uznaniu dla działania na rzecz polskiej kultury został w roku 2015 odznaczony krzyżem kawalerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.

Na podobne publikacje oczekują opracowania zabytków z innych dziedzin polskiej sztuki, przechowywanych zarówno w Narodowej Galerii jak i innych lwowskich muzeach. Szczególne znaczenie mają liczące kilka tysięcy okazów zbiory malarstwa, w tym portrety, kolekcje rysunków i grafiki, a także wyroby rzemiosła artystycznego oraz pamiątki historyczne.

Zainteresowani publikacją mogą otrzymać ją bezpłatnie w krakowskim Domu Polonii (II piętro) w godzinach 10.00–14.00.

Wydawnictwo sfinansowane przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Narodowy Instytut Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą POLONIKA.



Luna Drexlerówna, *Homo Sapiens*, około 1910 r.

## Lwowski pamiętnik z wojennych czasów

Wydawnictwo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu od kilku lat kontynuuje książkową serię *Wojna i pamięć*. Publikuje w niej nieznaną szerzej wspomnienia, pamiętniki i dzienniki, dotyczące – jak sam tytuł wskazuje – burzliwych czasów rozmaitych wojen: pierwszej, drugiej, polsko-bolszewickiej, polsko-ukraińskiej... Inicjatywa cenna i słuszna, bo do odbiorców trafiają teksty dotąd niepublikowane lub publikowane rzadko, nieobecne w publicznym obiegu naukowym i czytelniczym, znane wyłącznie w kręgu rodzinnym, w którym były przechowywane. Wydobyte z domowych archiwów, szuflad, biblioteczek, starannie przepisane, zaopatrzone we wstępy, posłowania i przypisy, wzbogacone ciekawymi fotografiami (zwykle też z rodzinnych zbiorów), stają się nową wartością w dziale źródłowej literatury historycznej. Bo czyż może być coś ciekawszego dla czytelnika od relacji bezpośrednich świadków i uczestników wydarzeń? Ich zapiski to wszak bezcenne źródło dla historyków, socjologów, antropologów kultury, badaczy obyczajowości, języka, ba! nawet historyków ubioru czy topografii miast, bo i takie sprawy poruszali w swoich zapiskach autorzy pamiętników.

Wszystkie te sprawy znajdziemy np. w wydanych przez oficynę UMK wspomnieniach Marii Daniel<sup>1</sup>, której dramatyczne drugowojenne losy rozgrywały się między Grudziądem, Bydgoszczą i Horodłem. Taki jest dziennik Kazimierza Sokółowskiego<sup>2</sup>, mło-

dego studenta prawa, który w 1920 roku na ochotnika zgłosił się do wojska, by walczyć w obronie zagrożonej ojczyzny. Takie też są wspomnienia Jerzego Jankowskiego<sup>3</sup>, który z Kresów trafił do 1. Armii Wojska Polskiego i w jej szeregach zdobywał Wał Pomorski, Kołobrzeg i Berlin. Dla miłośników lotnictwa gratką będą memuary Williama Avery Bishopa<sup>4</sup>, jednego z największych asów myśliwskich I wojny światowej i najsukuteczniejszego pilota w brytyjskim Królewskim Korpusie

Lotniczym (seria obejmuje również teksty zagraniczne). A to tylko niektóre pozycje *Wojny i pamięci* – są też inne, równie ciekawe.

Dla czytelników „Cracovia–Leopolis” interesująca będzie bez wątpienia *Pamiętnik lwowianki* pisany w latach 1914–1919 przez Jadwigę (Janinę) Rutkowską<sup>5</sup>. Kim była jego autorka? Ta młoda wówczas dziewczyna urodziła się we Lwowie w 1902 roku w dobrze usytuowanej rodzinie mieszczańskiej. Jej ojciec Bolesław Rutkowski był urzędnikiem pocztowym, matka Helena

Maria z domu Martini (lwowskie nazwisko!) zajmowała się dziećmi, Jadwiga miała bowiem jeszcze starszego brata Stanisława. Życie Rutkowskich płynęło spokojnie, bezpiecznie i w miarę dostatnio aż do lata 1914 roku, do wybuchu Wielkiej Wojny. Ojciec i brat Jadwigi zgłosili się wtedy ochotniczo do oddziałów strzeleckich, a potem do Legionów. Obaj służyli w II Brygadzie i przeszli z nią prawie cały szlak bojowy. We Lwowie



<sup>1</sup> Maria Daniel, *Wspomnienia z czasu wojny 1939–1945. Bydgoszcz – Horodło – Grudziądz*, Toruń 2017.

<sup>2</sup> Kazimierz Sokółowski, *Dziennik 1920*, Toruń 2018.

<sup>3</sup> Jerzy Jankowski, *Moje frontowe dni. Wspomnienia z lat 1925–1945*, Toruń 2020.

<sup>4</sup> William Avery „Billy” Bishop, *Skrzydłata wojna*, Toruń 2019.

<sup>5</sup> Jadwiga Rutkowska, *Pamiętnik lwowianki 1914–1919*, Toruń 2017.



Jadwiga Rutkowska, autorka pamiętnika

pozostała Jadwiga z matką i babcią, dzieląc z miastem trudny wojenny los.

I to właśnie wybuch wojny skłonił dwunastoletnią dziewczynę do rozpoczęcia pisanja pamiętnika. Nagła zmiana dotychczasowej – znanej i oswojonej – sytuacji, świadomość wagi wydarzeń, niepewność przyszłości (a wszystko to niesie przecież ze sobą początek konfliktu wojennego), sprawiają, że ludzie sięgają po pióro, by utrwalić swoje przeżycia i wrażenia i pozostawić świadectwo chwili. Tak też było z Jadwigą Rutkowską. Spójrzmy bowiem, co napisała w pierwszej nocce zamieszczanej w pamiętniku na początku sierpnia 1914 roku: *Jest już mobilizacja wypisana we wszystkich gazetach. A więc wypowiedzenie wojny. Wiwat! To mię bardzo ucieszyło. Szkoły będą zamknięte, było pierwszą moją myślą. I skacząc po pokoju klaskałam w dłonie. Drożyzna powiększyła się jeszcze więcej, z tego znów moja mama się nie cieszy<sup>6</sup>.*

W nocce tej łączą się rozmaite emocje: świadomość historycznej chwili, obawa o przyszłość, ale też radość uczennicy

z powodu odwołania szkolnych zajęć, no i pierwszy symptom wojennych trudności – drożyzna. Taki właśnie charakter ma cały pamiętnik Jadwigi Rutkowskiej. Z jednej strony nastolatka opisuje wojenne wydarzenia: przemarsze wojsk, przesunięcia frontu, zdobycia i utraty kolejnych miejscowości, nadzieje na odrodzenie Polski, wzrost cen i trudności zaopatrzeniowe. Z drugiej relacjonuje swój dziewczęcy świat: postępy w nauce, stosunek do nauczycieli, kontakty z koleżankami, wyprawy do kina i na ślizgawkę, pierwsze zainteresowania chłopcami. Pamiętnik (a w zasadzie dziennik) pisany był od sierpnia 1914 do czerwca 1919 roku. Jadwiga prowadziła go nieregularnie, czasami codziennie, czasami z większymi lub mniejszymi przerwami, gdy pojawiały się jakieś przeszkody.

Dziennik zawiera relacje z bardzo burzliwego, a jednocześnie ciekawego okresu w dziejach miasta i Polski. W *Pamiętniku lwowianki* znajdziemy interesujące relacje opisujące Lwów w momencie wybuchu wojny, mobilizacji miejscowych oddziałów strzeleckich, zajęcia miasta przez wojska rosyjskie latem 1914 roku (*Pozdejmowano orły austriackie z urzędowych budynków i powywieszano białe chorągwie na znak poddania. Austriacy wyjechali cichaczem ze Lwowa. Naród rabował koszary. Na bramach kamienic katolickich wywieszano święte obrazy<sup>7</sup>*) i odzyskania go w 1915 (*Nie było już widać ani jednego Moskala. Zaczęły natomiast wjeżdżać do Lwowa patrole austriackie, które witano kwiatami z wielką radością<sup>8</sup>*). Zapiski pokazują też, jak wyglądało codzienne życie podczas wojny i z jakimi problemami zmagali się mieszkańcy Lwowa. Co rusz w pamiętniku znajdujemy informacje o rosnącej drożyznie żywności, o trudnościach w zakupieniu mięsa, ziemniaków, mleka. Oto bowiem w wojennym mieście pozostały bez pieniędzy, pomocy i żadnego dochodu dwie kobiety. Zmuszone sytuacją, zaczynają oszczędzać i szukać dodatkowego zarobku. Stąd korepetycje dawane przez Jadwigę, stąd wyprzedawanie wartościowszych rzeczy z domu. Ten aspekt wojny zwykle umyka na tle opisów walk, bohaterstwa i poświęcenia za ojczyznę. *Teraz*

<sup>6</sup> Tamże, s. 83.

<sup>7</sup> Tamże, s. 92.

<sup>8</sup> Tamże, s. 96.

muszę coś wspomnieć o wojnie, tak przede mnie nigdyś oczekiwanej. Dzisiaj chcę jak wszyscy, żeby się prędko skończyła...<sup>9</sup>

– wyznała Jadwiga w czerwcu 1917 roku. Niech ta jej zapiska stanowi komentarz do jakże i dziś częstych zachwyty nad pięknem wojny. Dla porządku dodajmy jeszcze, że rodzinę Rutkowskich wojna dotknęła bezpośrednio. W 1916 roku

ojciec Bolesław Rutkowski, oficer 3. Pułku Piechoty w II Brygadzie, uczestnik bitwy pod Mołotkowem i kampanii karpackiej, schorowany zmarł w szpitalu w Krakowie i został pochowany na Cmentarzu Rakowickim. Jadwiga mocno przeżyła tę śmierć. Z kolei brat Stanisław (notabene też pisał podczas wojny dziennik) nadal służył w Legionach, a o jego losach matka i siostra długo nie miały żadnej wiadomości, co wywoływało ich niepokój i ciągły stres.

W lutym 1916 roku autorka wyjechała do Zakopanego, gdzie spędziła półtora roku. Znajdziemy zatem w pamiętniku opisy realiów życia w stolicy Tatr podczas Wielkiej Wojny. Jadwiga kontynuowała tam naukę w III klasie gimnazjum, brała lekcje fortepianu, poznawała nowe koleżanki, jeździła do Nowego Targu i chodziła do kina (tak, już wtedy było w Zakopanem kino). W stolicy Tatr, choć odległej od frontu, dały się odczuć trudności aprowizacyjne. *Rano byłam w mieście. Pytałam za kartoflami, bo ani jednej nie mamy w domu. Nigdzie nie można dostać. Chciałam kupić jajek – też nigdzie nie ma. Jednym słowem w Zakopanem jest coraz gorzej. Gaździny tak się rozpanoszyły, że nabiła, a szczególnie jaj nie chcą sprzedawać, tylko za „habrykę”, co w ich języku oznacza tytoń. Jak ktoś nie ma tytoniu, to może nie jeść jaj, co ich to obchodzi. Jaki gościnnie naród. Moja mama nie może nabrać sympatii do górali, oni wszyscy drą z człowieka skórę w okropny sposób*<sup>10</sup> – taką oto obser-



Żołnierze 3. Pułku Piechoty Legionów z kompanii dowodzonej przez por. Bolesława Rutkowskiego

wację ekonomiczno-obyczajową zanotowała Jadwiga latem 1917 roku.

Nas jednak bardziej niż Zakopane interesuje Lwów. Panie Rutkowskie wróciły tam pod koniec sierpnia 1917 roku. Jadwiga wróciła do swojej szkoły, chodziła też na Żelazną Wodę korzystać z kąpeli (a zimą na ślizgawkę), odwiedzała babcię w zakładzie opieki. W tamtym czasie coraz więcej miejsca w jej pamiętniku zajmowały opisy trudności ze zdobyciem jedzenia i szerzej – jakiegokolwiek zaopatrzenia. *Drożyzna wzrasta. Wszystko dochodzi do sum bajecznych, a trzeba płacić, bo musimy coś jeść, w coś się ubrać. Ograniczenia są ogromne, wszystko kupuje się na kartki, nawet materje. Gdy we Lwowie zabrakło węgla, to prawie że ciemno było na ulicach, a tramwaje kilka dni nie kursowały. Można sobie wyobrazić, że było to ogromną niewygodą dla mieszkańców Lwowa, bo na dorożki nie można było sobie pozwolić tak są drogie*<sup>11</sup>. Były też jednak wydarzenia polityczne. Obszerny wpis Jadwiga poświęciła wypadkom z 2 lutego 1918 roku, podczas których na antyrządowej demonstracji został zastrzelony przez policję uczeń Marian Czerkas. Wywołało to falę oburzenia w mieście i strajk uczniowski, który objął większość lwowskich szkół. Ze zrozumiałych względów dużo miejsca w *Pamiętniku* zajmują opisy listopadowych walk o miasto z Ukraińcami. *W Dzień Wszystkich Świętych patrolę zatrzymywali młodych ludzi i wojskowych, odbierając im broń. I zdawało się Ukraińcom,*

<sup>9</sup> Tamże, s. 119.

<sup>10</sup> Tamże, s. 137–138.

<sup>11</sup> Tamże, s. 148.



że tak łatwo Lwów opanują. Zajęli ratusz, a na jego szczycie wywiesili chorągiew żółto-niebieską. Ratusz obsadzili wojskiem, że na rynek trudno się było dostać. U wylotu ulicy niejednej ustawili karabiny maszynowe i nieraz bez powodu dla postrachu strzelali. Ludność ogłupiała z jednej bramy do drugiej uciekała. Ruch tramwajowy ustał. [...] Lwów znów stał się widownią bitwy. Polacy stawili opór. Legioniści, polska młodzież, uzbroiwszy się, po zacieklej walce zdobyli dworzec, który Ukraińcy mieli już w swoich rękach. Walki toczyły się na ulicach<sup>12</sup> – zanotowała Jadwiga, której mieszkanie znalazło się po ukraińskiej stronie miasta.

Lwowskie zmagania obserwujemy na kartach dziennika z punktu widzenia zwykłych mieszkańców, cywilów niezaangażowanych czynnie w walkę (bo emocjonalnie już tak). Znów pojawiają się kłopoty ze zdobyciem prowiantu, brak pieniędzy, bo urzędy nie działają, strach przed śmiercią od przypadkowej kuli wpadającej przez okno, niepewność jutra, zimno z powodu braku opału. Ciekawe są relacje Jadwigi z lwowskich ulic, na których łatwo można zginać (Na ulice trudno wyjść, gdyż co chwila ulicami przebiegają patrole ukraińskie, i nieraz bez przyczyny strzelają w powietrze, a nawet i w ludzi niewinnych. Z tego powodu, że parę nierozważnych osób strzelało do Ukraińców z okien, czego nie powinni robić. Ukraińcy strzelają do okien domów, a także ogłaszają, że kamienica taka będzie uka-

rana zdziesiątkowaniem płci męskiej<sup>13</sup>). Ciekawe są relacje z ukraińską sublokatorką, wynajmującą u Rutkowskich pokój, której sympatie ze zrozumiałych względów leżą po stronie ukraińskich żołnierzy. Ciekawy jest też obieg informacji w objętym walkami mieście. Mimo że do Jadwigi nie docierają żadne gazety (będące wówczas podstawowym

źródłem informacji), dziewczyna wie, że Polacy zostali odparci z Góry Kadeckiej aż na Persenkówkę, że do Lwowa przyjechali podobno jacyś polscy oficjele, by prowadzić rozmowy z Ukraińcami, że przybyła też delegacja francuska lub angielska i że urzędnikom wypłacają w gmachu Izby Handlowej zaliczki na pensje.

Przybycie do miasta polskiej odsieczy skutkuje eksplozją radości: Cały Lwów wyległ na ulice, radość ogromna, bo Ukraińcy całkiem ze Lwowa wyparci. Żołnierzy polskich witają ludzie radośnie, powiewają chustkami, wołają „Cześć!”. [...] Kamienice powywieszały polskie chorągwie, na ratuszu powiewa flaga biała-czerwona<sup>14</sup>. Miasto zaczęło wracać do życia: Robotnicy naprawiają powyrywane chodnikowe płyty, inni jeżdżąc na wysokich drabinkach, wiążą druty tramwaju elektrycznego, który na razie kursuje na linii dworzec główny i kawiarnia wiedeńska. Cena jazdy jest bardzo podniesiona. Bez względu na klasę płaci się 1 koronę. W nocy panują jeszcze ciemności i na ulicach rozjaśnione tylko światłem płynącym z okien mieszkań. Nie zdążono jeszcze poprawiać wszystkiego, co zniszczyli Ukraińcy, a naturalnie, że wielkie rzeczy będą czekały z naprawą do lepszych czasów. Kina zaczynają grać. Dziś było pierwsze przedstawienie w teatrze miejskim. Przedstawieniem tym była „Obrona Częstochowy”<sup>15</sup>. Powoli

<sup>12</sup> Tamże, s. 166.

<sup>13</sup> Tamże, s. 168.

<sup>14</sup> Tamże, s. 177–178.

<sup>15</sup> Tamże, s. 182.





Lwów, widok na Wały Hetmańskie na początku XX w.

przywracano normalność. Jadwiga wróciła do szkoły i udzielania korepetycji. Przyszedł wreszcie list od brata Staszka. Nadal jednak trwała wojna z Ukraińcami i w pamiętniku co rusz czytamy o strzałach w nocy, przesunięciach linii frontu, posiłkach wojskowych z Poznańskiego, naprawieniu zniszczonej linii kolejowej, a w samym mieście o braku wody, kolejkach po zaopatrzenie, ale też o obchodach rocznicy 3 maja w niepodległej już Polsce i upragnionym bezpieczeństwie, bo *nasz zaciekli wrogowie wyparci są zbyt daleko, by mogli nam szkodzić strzałami*<sup>16</sup>. Swoje zapiski Jadwiga zakończyła 27 czerwca 1919 roku informacjami o kolejnych wieściach od brata (był w Besarabii z dywizją gen. Żeligowskiego), zajęciu przez Ukraińców Tarnopola i swojej promocji do szóstiej klasy gimnazjalnej. Na tym *Pamiętnik* się kończy.

Jakie były dalsze losy autorki? Ukończyła lwowskie Prywatne Gimnazjum Żeńskie im. Adama Mickiewicza. Podczas wojny polsko-ukraińskiej była sanitariuszką w jednym z wojskowych szpitali polowych. Potem pracowała w aptece we Lwowie. Miała zdolności plastyczne, współpracowała więc ze swoim bratem stryjecznym Arturem Rutkowskim (pojawia się na kartach dziennika)

przy konserwacji dzieł sztuki we Lwowie, przede wszystkim zaś kościelnych malowideł. Po zajęciu miasta przez Sowieców w 1939 roku uniknęła aresztowania i wyjechała do Krakowa. Mieszkała tam do końca życia. Po wojnie powróciła do działalności konserwatorskiej, odnawiając z Rutkowskim zabytki sakralne Krakowa. Zmarła 5 września 1974 roku, Artur Rutowski zmarł w Krakowie 3 listopada 1980 roku.

*Pamiętnik* Jadwigi opracowali i podali do druku prof. Wojciech Polak i dr hab. Sylwia Galij-Skarbińska z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, naukowcy dotychczas raczej mało związani z tematyką lwowską lub kresową<sup>17</sup>. Widać to niestety po sposobie opracowania dziennika. W obszernym wstępie zamieścili długą charakterystykę Lwowa w XIX i na początku XX w. Zawarli w niej wszystko, co tylko wpadło im pod pióro: dzieje miasta, jego położenie, przemysł, Wystawę Rolniczo-Przemysłową, parki i skwery, Uniwersytet Ludowy, partie polityczne, stosunki z Ukraińcami, walki o Lwów w 1914 i 1918, a nawet strukturę Związku Walki Czynnej i liczebność

<sup>16</sup> Tamże, s. 199.

<sup>17</sup> Wspólnie stworzyli m.in. żenującą książkę *Zbrodnia i grabież. Jak Niemcy tuszują prawdę o sobie 1939–2019*, której niektóre sformułowania każą się zastanowić nad naukowymi kompetencjami autorów.

Polskich Drużyn Strzeleckich. Przypomina to groch z kapustą i jest najzupełniej zbędne, a chaotyczność tego tekstu bynajmniej nie zachęca do jego czytania. Autorzy opisali też rodzinę Rutkowskich, ale – paradoksalnie – autorce dziennika poświęcili najmniej miejsca (zaledwie stronę). Skupili się za to na jej bracie, wspomnianym tu już kilkakrotnie Stanisławie, którego życiorys został zaprezentowany na pięciu stronach. Nawet również tu wspomniany, stryjeczny brat Jadwigi, Artur Rutkowski, zasłużył na więcej miejsca niż ona sama (dwie strony). Doprawdy dziwna to proporcja.

Dziwne jest też, że źródłem licznych przypisów, w które redaktorzy zaopatrzyli pamiętnikowe notki Jadwigi Rutkowskiej, nie są monografie czy opracowania naukowe, ale internet, głównie zaś Wikipedia (a nawet strona Lovetravel.pl...). Zamiast skorzystać z monumentalnego *Kalendarium Lwowa 1918–1939* Agnieszki Biedrzyckiej<sup>18</sup>, korzystali z kalendarium Lwowa w Wikipedii. Stawia to pod znakiem zapytania informację ze strony tytułowej, że publikacja została poddana „redakcji naukowej”<sup>19</sup>. Ciekawe są za to fotografie ze zbiorów rodziny Rutkowskich, przedstawiające 3. Pułk Piechoty z II Brygady Legionów Polskich oraz 13. Pułk Strzelców z 4. Dywizji, w których służyli Bolesław i Stanisław Rutkowscy. Zdjęcia te nie były wcześniej publikowane i korzystnie wyróżniają się na tle zestawu ciągle tych samych fotografii II Brygady zamieszczanych przy każdej okazji i w każdej książce o Legionach. Spuśćmy więc zasłonę milczenia na wstęp i przypisy. Cieszymy się tekstem Jadwigi Rutkowskiej, który przeniesie nas do dawnego Lwowa, i oglądamy interesujące wojenne zdjęcia.

<sup>18</sup> Agnieszka Biedrzycka, *Kalendarium Lwowa 1918–1939*, Kraków 2012.

<sup>19</sup> Co można bowiem powiedzieć o naukowości takiego oto przypisu: *Nowy Targ – największe miasto Podhala, obecnie mieszka w nim ponad 32 tys. osób; zob.: [https://pl.wikipedia.org/wiki/Nowy\\_Targ](https://pl.wikipedia.org/wiki/Nowy_Targ) (dostęp: 6 II 2017)*, albo o wyjaśnieniu znaczenia słowa „Rusini” – *Tak nazywali wówczas Polacy Ukraińców?*

**Beata Bednarz**

## GALERIA SARMACKICH TYPÓW

*Powrót pośła. Komedię we 3 aktach* Juliana Ursyna Niemcewicza zamyka przesłanie, adresowane do szlachty, które wypowiada Podkomorzy, obdarzający swoich włościan wolnością:

*Cnotliwie wszyscy w zgodzie i jedności żyli  
I na szczęście ojczyzny i dzieci patrzyli.*

Wszystkich bohaterów czternastu mikro-opowieści Joanny Puchalskiej łączy to, że „na szczęście ojczyzny i dzieci patrzyli”, że byli niestrudzonymi strażnikami rodzimej tradycji i swoich ukochanych kresowych krain dzieciństwa. Sportretowani przez autorkę Sarmaci to oryginałowie, sobiepankowie, facecioniści i dziwacy, ale o gorącym sercu miłującym ojczyznę i namiętnie ceniącym wolność. Każdy z nich wiódł życie półromantyczne i półpozytywistyczne, choć bywało, że momentami niezbyt cnotliwie, po prostu sarmackie.

Urokiem gawędy i miłością do Nowogródzyczyny, Wileńszczyzny, Polesia i innych „zatopionych kresowych Atlantyd” tchną opowieści Joanny Puchalskiej. To próba odtworzenia autentycznej szlachecko-sarmackiej mentalności i obyczajowości, które przetrwały zresztą do czasów międzywojennych, gdyż wtedy nie zatarły się jeszcze dawne poczciwe obyczaje i ideały. Otrzymujemy zbiór barwnych opowieści. Nie pozostaniemy obojętni na przykład wobec niezwyklej historii o niewidomym „Antku Muzykancie” z Woronicy, który w 1943 roku w wyniku okrutnego morderstwa stracił całą swoją rodzinę w „imie sowieckiej sprawiedliwości dziejowej”. Ostatni z rodu Czarnowskich (właściciele najpiękniejszego dworu Nowogródzyczyny) znalazł schronienie u mieszkającej w Rowinach wdowy. Kochającą śpiew kobieta przygarnęła go pod swój wiejski, skromny dach. Wacławę Iwańczyk i Antoniego Czarnowskiego połączyła miłość do muzyki i... do siebie nawzajem.

Autorka z powabem przedstawia, przeplatając anegdotami, dzieje ośrodków wysokiej kultury, czyli dworów oraz żyjących w nich przez pokolenia zacnych i zasłużonych dla polskiej niepodległości i kultury rodzin, na przykład Sierakowskich, Woyniłowiczów, Bułhaków, Zaleskich, Meysztowiczów. Zaczyna jednak od sportretowania... hałaburdy, czyli najstynniejszego szulera doby oświecenia, Michała Walickiego, którego dla potomnych uwiecznił Henryk Rzewuski. Urodzony na Mińszczyźnie „prosty szlachetka” zasiadał do kart z możnymi tamtego świata, którzy bardzo go lubili. Podobno sama Maria Antonina darzyła go wyjątkowym zaufaniem, gdyż był to człowiek pełen galanterii, zawsze opanowany i uprzejmy. Nie przejawiał skłonności do swarów i chętnie udzielał kredytów. Puchalska szczegółowo i malowniczo opisuje jego drogę od pucybuta do milionera, a przy okazji legendę *le saphir merveilleux* należącego do „polskiego szulera wszech czasów”. Jak przekonuje autorka, jego biografia, pełna wątków karciano-awanturnych, ale i filantropijnych i patriotycznych, może stanowić kanwę filmowego przeboju.

Następnie przenosimy się do krainy zajazdów, a więc mickiewiczowskich z ducha opowieści o procesach, wzajemnych zajeżdzeniach i najeżdzeniach, które urozmaicały spokojne życie niewielkiego obszaru Nowogródziny. Jak wiadomo, twórca *Pana Tadeusza* miał okazję zetknąć się ze sprawami dotyczącymi naruszenia czyjejś własności dzięki pracy swojego dziadka, który był ekonomem, a także ojca – prawnika. Poznajemy różne „odkazanki y pochwałki” na przykładzie dawnych właścicieli Czombrowa, dworu należącego do chrzestnej matki wieszczka, Anieli Uzłowskiej. Na podstawie zachowanych dokumentów sądowych autorka rekonstruuje graniczne procesy i wojenki dziedzica Józefa Uzłowskiego z sąsiadami.

Poznajemy też bliżej kaptownika, na którym Mickiewicz wzorował księdza Robaka. Prawdziwy bernardyn nazywał się Fabian

Ignacy Bułhak i z racji najpierw żołnierskiej, a potem zakonno-politycznej działalności cieszył się dużą sympatią mieszkańców Nowogródziny. Po tej ziemi wędrował, nie tylko zbierając datki od hojnych dziedziców, lecz także niosąc dobre słowo, godząc skłóconych ludzi, jednając zwaśnionych małżonków i zapobiegając pojedynkom. Był swoistym łącznikiem różnych miniświatów w staropolskim mikrokosmosie Wielkiego Księstwa Litewskiego. O wielokulturowości Księstwa świadczy kolejna przypomniana przez Joannę Puchalską postać, mogąca być symbolem spolonizowanych Tatarów, którzy wiernie trwali przy swojej przybranej ojczyźnie. Chodzi o gen. Józefa Bielaka,

który walczył między innymi w powstaniu kościuszkowskim. W cechach tego tatarskiego żołnierza nieraz ujawniała się sarmacka fantazja. Następnie zwiedzamy dworek w Borejkwoszczyźnie, którym zarządzał zapomniany dziś nieco poeta Władysław Syrokomla. Co ciekawe, ten „wiejski lirnik”, jak go nazwano, był wielkim przyjacielem litewskich włościan. Litwini go kochali i podziwiali.

Niejako w cieniu opisanych Sarmatów znajdują się dzielne kobiety – ich babcie, matki, żony, kochanki, siostry... One także tworzyły dziedzictwo kulturowe Kresów. Z założenia tematycznego i kompozycyjnego w książce Puchalskiej znajdują się one na drugim planie, ale ich rola w podtrzymaniu polskości w należących od pokoleń do ich rodzin dużych majątkach ziemskich była równorzędna. Pracowały tak samo ciężko i ofiarnie jak mężczyźni. Żeby przychylić nieba swoim mężom, były gotowe do najwyższych poświęceń, nawet porzucenia spokojnego życia i podążenia aż na Syberię, jak to uczyniła żona konarszczyka, Tomasza Bułhaka, którego Teresa poślubiła... w wileńskim więzieniu.

Pulsujące dawnym życiem opowieści biograficzne wzbogacają liczne fotografie, które cudem przetrwały częstokroć zagładę ich pierwszych właścicieli. A skoro o fotografiach mowa, trzeba wspomnieć, że miłośnicy





dorobku Jana Bułhaka, mistrza obiektywu i kronikarza życia ziemiańskiego, znajdują w tej książce również charakterystykę jego ukochanej ziemi, czyli – jak sam wspominał w *Kraju lat dziecińczych* – „stron Mickiewiczowskich, najpiękniejszego zakątka kraju. Tuhanowicze, Nowogródek, Świtęż – nie były dla mnie tylko głuchymi terminami geografii poetyckiej, lecz żywą codzienną rzeczywistością”. Joanna Puchalska na podstawie pamiętników i innych źródeł ukazuje „geografię serdeczną” tego wybitnego fotografa kresowego. Podążamy śladami jego dziecińczych wypraw, zachwyków i przygód, dowiadujemy się, jak kształtowała się jego artystyczna wrażliwość na urodę Nowogródzczyzny oraz tego wszystkiego, co jest jasne, piękne i doskonałe.

Miłośnicy mocnych wrażeń znajdują w tej książce krążące do dziś wśród potomków zaprezentowanych rodów rozmaite legendy i opowieści o duchach, seansach spirytystycznych lub dziedziczce, która modlitwą poskramiała burze. Szczególnie interesująco i nawet przekonująco, a więc groźnie, brzmi historia opowiadana w rodzinie Zalewskich o Krzysztopolu, gdzie odwiedzających dom Fitinghofów straszy duch zamurowanego w piwnicy po powstaniu listopadowym młodego Puzyny, który dopuścił się jakiejś nieprawości i sąd rodzinny skazał go na okrutną karę, gdyż śmierć głodową... A miłośników anegdot też ucieszy wiele historyjek wplecionych przez autorkę w dzieje kresowych rodów. Nie sposób wspomnieć o wielu in-

nych ciekawostkach i zmitologizowanych nieco historiach rodzinnych. Jak powiedział prof. Stanisław Nicieja, „w opowieściach, jakie przetrwały w polskich rodzinach, jest mnóstwo prawdy o Kresach i trochę mitów, ale nie należy ich burzyć”. A dlaczego? Bo: „Mity o Kresach są jak kobieta po wizycie u fryzjera: troszkę oszukana, dużo piękniejsza, ale nadal jest sobą”.

Galerię kresowych Sarmatów zamyka sylwetka charyzmatycznego kapłana, kapelana jedenastu nowogródzkich sióstr męczenniczek, zamordowanych przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej, księdza Aleksandra Zienkiewicza, któremu Boża opatrność, jak wspominał, wielokrotnie ratowała życie dzięki ich wstawiennictwu.

Joanna Puchalska zaprasza na wyprawę do krainy, która po stracie tych ziem przez Polskę w wyniku zawieruch wojennych pograżyła się w odmętach niepamięci. Autorka wydobywa z zapomnienia wiele fascynujących wydarzeń, zdumiewających biografii znanych i nieznanymi Polaków, Tatarów, mieszkańców Wielkiego Księstwa Litewskiego i ziem porzoborowych, a także wygasłych już w świadomości obecnych pokoleń legend i mitów. Historię utraconych Kresów opowiedziała autorka życiorysami ich mieszkańców – sarmackich typów – pełnymi sukcesów, porażek, dramatów, a czasem i skandali.

**Joanna Puchalska, *Kresowi Sarmaci*,  
Wydawnictwo Fronda, Warszawa 2015**

**Jerzy Kapłon**

## **Kilka wydawnictw o Lwowie z czasu II wojny światowej**

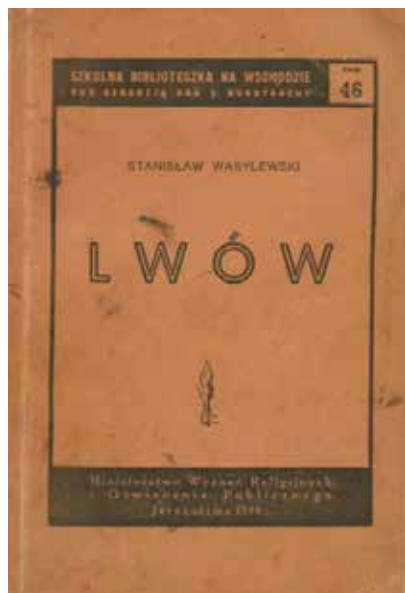
**W**yniku przegranej kampanii wojennej we wrześniu 1939 r. Rzeczpospolita Polska znalazła się pod okupacją Niemiec i ZSRR. Nieznaczną część jednostek Wojska Polskiego przekroczyła granice: polsko-rumuńską i polsko-węgierską. Żołnierze tych jednostek zostali ułokowani w obozach jenieckich na terenie Rumunii i Węgier. W szybkim czasie Rząd Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie zorganizował ich przerzuty do tworzących się Polskich Sił Zbrojnych we Francji i w Wielkiej Brytanii. Dołączali do nich Polacy z różnych stron świata, a także uciekający z okupowanej Polski. Klęska Francji w wojnie z Niemcami w 1940 r. spowodowała konieczność kolejnej odbudowy potencjału Polskich Sił Zbrojnych na terenie Wielkiej Brytanii i Palestyny. Kolejną szansą na wzmocnienie liczebności armii polskiej było wykorzystanie ataku Niemiec na ZSRR w czerwcu 1941 r. Mimo zajęcia przez Niemców w krótkim okresie będących pod okupacją sowiecką terenów II Rzeczypospolitej w czerwcu 1941 r., nadal na bardziej odległych od linii frontu terenach ZSRR przebywały setki tysięcy Polaków. Znaleźli się tam w wyniku podejmowanych od września 1939 r. przez okupanta sowieckiego licznych akcji wysiedleń, deportacji i aresztowań. Mając na uwadze konieczność podjęcia działań zbrojnych przez wojsko polskie formowane przez legalny rząd RP na froncie rosyjsko-niemieckim, a więc na froncie, którego działania najszybciej mogły się przenieść na tereny okupowanej Polski, podjęto rozmowy z rządem ZSRR. W ich wyniku, po podpisaniu układu politycznego, tzw. układu Sikorski-Majski 30 lipca 1941 r., i umowy wojskowej od sierpnia 1941 r. na terenie ZSRR przystąpiono do formowania Armii Polskiej na Wschodzie. W marcu 1942 r. liczyła ona już ok. 65 tys. żołnierzy, a w rejonach dyslokacji jednostek wojskowych pojawiły się

obozy przepełnione rodzinami żołnierzy i uciekinierami z gułagów i miejsc wywózki na terenie ZSRR. Początkowo utworzono dwa duże związki taktyczne: 5 Wileńską i 6 Lwowską Dywizję Piechoty oraz załóżki 7 Dywizji Piechoty, planowano formowanie kolejnych. Nadanie dywizjom nazw tak ważnych dla każdego Polaka miast kresowych miało swoje symboliczne znaczenie. Ilość chętnych do wstąpienia do WP wielokrotnie przekraczała wielkości uzgodnione z ZSRR. Dla przybywającej do miejsc formowania jednostek młodzieży utworzono szkoły junackie, do których formalnie mogła wstępować młodzież w wieku 14–18 lat, praktycznie przyjmowano każdego, kogo wygląd wskazywał na ten wiek. Niebawem liczyły już ok. 3000 junaków i junaczek. Brak wsparcia ze strony sowieckiej, który polegał na zbyt małych dostawach broni i żywności, duża ilość osób cywilnych, zgromadzanych w pobliżu jednostek wojskowych bez przydziału dodatkowych racji żywności oraz wykrycie i konsekwencje polityczne zbrodni, popełnionej przez Rosjan na polskich oficerach w Katyniu, spowodowały podjęcie decyzji o wyprowadzeniu z ZSRR do Iranu zarówno jednostek wojskowych, jak i maksymalnie dużej liczby osób cywilnych. Łącznie (od marca do listopada 1942 r.) ewakuowano ok. 77 tys. żołnierzy i 43 tys. osób cywilnych (te dane są podawane nieco odmiennie w zależności od źródła). W wyniku tych działań utworzona została we wrześniu 1942 r. Armia Polska na Wschodzie, w której skład weszły jednostki Wojska Polskiego na Środkowym Wschodzie i Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR. Nim do Palestyny przybyli uchodźcy z ZSRR, przebywała tu grupa ok. 1500 uchodźców cywilnych, dla ich dzieci utworzono Szkołę Polską w Tel-Awiiwie (szkoła powszechna, gimnazjum i liceum). Zwiększenie się liczby dzieci polskich w tym rejonie zmobilizowało władze Rzeczypospolitej do rozwoju placówek oświatowych. Już w październiku 1942 r. z inicjatywy ministra profesora Stanisława Kota (w latach 1942–1943 minister stanu rządu RP na Bliskim Wschodzie) utworzono w Jerozolimie specjalną instytucję rządową, której zadaniem było przygotowanie podręczników szkolnych na rzecz szkolnictwa polskiego na całym świecie. Działania te prowadzono głównie poprzez wznowienia podręczników przed-



wojennych. Wkrótce powołano Podkomisję dla Oceny Podręczników Szkolnych na Wschodzie. Na jej czele stanął Łukasz Kurdybacha (1907–1972), absolwent Uniwersytetu Jana Kazimierza, żołnierz Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich i uczestnik walk pod Tobrukiem. Jesienią 1942 r. z inicjatywy ministra Kota powołano Dział Wydawnictw Centrum Informacji na Wschodzie w Jerozolimie. Po utworzeniu w lipcu 1943 r. w rządzie Stanisława Mikołajczyka Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Jerozolimie przekształcono istniejące tam dotychczas Biuro Delegata Urzędu Oświaty i Spraw Szkolnych na Delegaturę Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, a w miejsce wspomnianej Podkomisji powołano w Jerozolimie Placówkę Wydawniczą Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Jej zadaniem było gromadzenie, wydawanie i dystrybucja podręczników szkolnych i lektur dla szkół polskich na uchodźstwie. Jej kierownikiem został Łukasz Kurdybacha. W lipcu 1943 r. placówka rozpoczęła edycję serii wydawniczej pt. „Szkolna Biblioteczka na Wschodzie”. Działania te podjęto w celu dostarczenia nie tylko uczniom, ale i uchodźcom, a także i zamieszkałej od lat poza granicami Polski Polonii wartościowej literatury w języku polskim. W latach 1943–1946 ukazały się 102 tomy „Szkolnej Biblioteczki na Wschodzie”. Wśród nich były dzieła nie tylko polskich wybitnych autorów, beletrystyka

dla dorosłych, bajki dla dzieci. Ta wspaniała inicjatywa nie miała precedensu w dziejach polskiej działalności wydawniczej. Była świadectwem troski Rządu RP o umożliwienie kontaktu środowisk polskich pozbawionych swojej państwowości z polskim słowem drukowanym. Wyrazem tęsknoty za utraconym Lwowem było wydanie w tej serii w 1944 r. w redakcji Ł. Kurdybachy tomu nr 46 pt. *Lwów* autorstwa Stanisława Wasylewskiego. Był to przedruk przedwojennego wydawnictwa z serii *Cuda Polski* wydanego w 1931 r. pod tym samym tytułem przez Wydawnictwo Polskie R. Wegnera z Poznania. Skromniejsze w edycji niż oryginalne wydawnictwo zawierało na 171 stronach opis zabytków miasta, jego instytucji publicznych i kulturalnych. O zawartości książki świadczą tytuły rozdziałów np.: I. *Przyroda, rasa, człowiek*, II. *Lud miejski*, – *Gawiedź – Batiary*, III. *Bogate małżeństwo średniowieczne*, IV. *Lwów złoty, renesansowy*, V. *Aywas – Rumhasken – Passakas* (to o Ormianach we Lwowie – przypis autora), VI. *Królowa Korony Polskiej*, VII. *Za Króla Jana i później*, VIII. *Lwów austriacki*, IX. *Ulicami, zaułkami*, XII. *Praca i twórczość Galicji*, XIII. *Lata 1900–1915*, XIV. *Krucjata dziecięca*, XV. *Lwów najnowszy*. Książka zawiera nieco mniej ilustracji niż oryginał wydany w twardej płóciennej oprawie, z obwolutą i większym formacie. Jednakże te prezentowane są autorstwa



najwybitniejszych fotografików Lwowa, m.in.: Jana Bułhaka, Adama Lenkiewicza i Henryka Poddębskiego.

Warto także przyrzeć się innej publikacji o Lwowie wydanej podczas II wojny światowej, a mianowicie pozycji pt. *Lwów. Karta z dziejów Polski*. Pierwsze jej wydanie ukazało się w języku polskim w 1943 r. w Glasgow w edycji Książnicy Polskiej. Wszystko jest w tej pozycji niezwykle. Autorem był Stefan Mękowski (1895–1985) – ukryty pod pseudonimem Józefa Rudnickiego (nazwisko panieńskie żony) ze względu na bezpieczeństwo pozostającej w okupowanej Polsce rodziny. Wybitny lwowianin, absolwent Uniwersytetu Jana Kazimierza, członek Polskich Drużyn Strzeleckich we Lwowie, uczestnik obrony Lwowa w listopadzie 1918 r., poseł na Sejm RP II kadencji, uczestnik kampanii wrześniowej, działacz emigracyjny do końca pracowitego życia walczący o polski Lwów. Jak pisze we wstępie: *Czynnikiem, który zachęcił do napisania tej pracy, była również chęć bliższego zapoznania sprzymierzeńców naszych w świecie anglosaskim z dziejami Lwowa, stanowiącego klejnot bez ceny w wieńcu miast polskich*. Książka powstawała w czasach, kiedy ważyły się sprawy granic polskich, w tym losy Lwowa. Podczas konferencji w Teheranie (28 listopada–1 grudnia 1943 r.) postanowiono o wyznaczeniu naszej wschodniej granicy po II wojnie światowej w oparciu o tzw. linię Curzona. Była to propozycja brytyjskiego ministra spraw zagranicznych z 1920 r., gdyby zaś doszło do jej realizacji, Lwów pozostałby poza granicami odradzającej się po I wojnie światowej Rzeczypospolitej. Do tej koncepcji rząd Wielkiej Brytanii powrócił podczas prowadzonych z udziałem USA negocjacji z ZSRR, w których trakcie ustalono granice w Europie po II wojnie światowej. Książka ta, w której autor zawarł w trzech rozdziałach – *Lwów w dawnej Rzeczypospolitej (1340–1772)*, *Lwów pod zaborem austriackim (1772–1918)* i *Lwów w wolnym państwie (1918–1939)* – na 88 stronach historię Lwowa jako miasta polskiego, była udziałem uchodźstwa polskiego w dyskusji na temat przyszłości tego polskiego miasta. Aby była wiarygodna dla jej anglosaskiego czytelnika, oparta była w dużej mierze na przypisach z angielskojęzycznych opracowań historycznych. W niedługim też czasie, w 1944 r.,



Józef Rudnicki (właściwie Stefan Mękowski), Lwów. Karta z dziejów Polski, Glasgow 1943

zgodnie z zapowiedzią autora zawartą we wstępie, ukazało się w Londynie jej angielskojęzyczne tłumaczenie pt. *Lwów. A page of Polish History* ze wstępem, który napisał W.F. Reddaway – profesor King's College, Cambridge. Pozycja została wydana przez Polish Research Centre w Londynie. Co też zapewne nie było przypadkiem – edycja polskojęzyczna kosztowała pięć szyllingów, a angielskojęzyczna – zaledwie dwa.

Zmienia się współczesne oblicze Lwowa. Przewodniki, książki historyczne o Lwowie opisujące zabytki i historię Lwowa pełnią i dzisiaj szczególną rolę, zwłaszcza te wydane przed i w czasie II wojny światowej. Wydawane podczas wojny świadczyły o tęsknocie za utraconą Ojczyzną. Miały duże znaczenie dla mających przeważnie kresowe pochodzenie żołnierzy i uchodźców, którzy znaleźli się na Bliskim Wschodzie. Dzisiaj, kiedy zmienia się oblicze miasta, które traci swój polski charakter, tym bardziej warto zagłębiać się w ich treść. Niedługo świadkami polskości Lwowa będą tylko zachowane zabytki, często okaleczone lub ze zmienioną funkcją, groby na lwowskich cmentarzach i książki, wśród których te opisujące historię i zabytki miasta mają nie zawsze doceniane, ale jakże ważne znaczenie.

Piotr Boron

## „Czarni Lwów” – książka o sporcie dla wszystkich

Wśród błędów, popełnianych przez intelektualistów, do najczęstszych należy separowanie kultury od kibiców, patriotyzmu od sportowców oraz polityki od sportu. Książka Michała Kawęckiego może być w tym przypadku najlepszą terapią. Ciężka na wagę i lekka w czytaniu, z nienaganym aparatem naukowym, bezbłędnie udokumentowanymi ciekawostkami, elegancką szatą graficzną (edytorstwo jak sprzed wojny i masa archiwalnych fotografii) opowiada dzieje lwowskiego klubu sportowego Czarni Lwów, a tym samym opowiada piękną historię Lwowa. Tak! Nie tylko sportu lwowskiego, ale właśnie Lwowa. I właśnie dlatego można ją polecić wszystkim, którzy kochają to najbardziej polskie z polskich miast.

Dla tych, którzy spierają się, który z krakowskich klubów piłkarskich jest najstarszy w Polsce, książka *Czarni Lwów* musi być lekturą obowiązkową. Krakowskie dysputy wokół 1906 roku, gdzie 15 czerwca KS Cracovii nie przekonuje fanów TS Wisły Kraków, bo jej piłkarze w październiku tegoż roku uczestniczyli w turnieju na Błoniach, a przecież grali już od jakiegoś czasu... musi przerwać i pogodzić data 1903, gdy w stolicy Galicji powstał klub Sława, przemianowany wkrótce na Czarni Lwów (choć i tu mamy dylemat, czy powstanie Lechii Lwów wyprzedziło o kilka dni Czarnych, czy nie...). I tak jak Kraków ma od ponad stu lat „świętą wojnę” pomiędzy Wisłą a Cracovią, tak i Lwów miał zmagania Czarnych z Pogonią, która powstała już w 1904 roku. Można chyba zaryzykować twierdzenie, że istnienie w jakimkolwiek mieście dwóch rywalizujących drużyn sportowców i kibiców zawsze sprzyjało wielkim sukcesom, a książka Michała Kawęckiego będzie w tych badaniach niezbędnym materiałem dowodowym dla naukowców.

Książka ta to zarówno skrupulatnie zebrany materiał dokumentalny, jak i świetne pióro autora, przytaczającego liczne anegdoty, wykraczające poza stadion piłkarski. Popularne „po-

widlaki” (przewisko od czarnych barw spodenek i koszulek z czerwonym pasem na ukos) to najpierw uczniowie Szkoły Realnej, a potem oficerowie, naukowcy, pedagodzy, inżynierowie, prawnicy – budowniczy odrodzonej w 1918 roku Rzeczypospolitej.

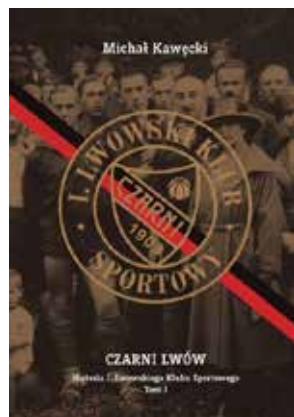
Autor przypomina smakowitą zwrotkę z pierwotnej wersji hymnu Pogoni, w którym znalazła się aż nazbyt wyraźna aluzja do ich „śmiertelnego wroga”:

*Wiele w Polsce mamy drużyn,  
Każda inny kolor ma.  
Czarną farbę lubi murzyn,  
Mnie nie nęci barwa ta.*

„Cracovia–Leopolis” to najważniejsze miejsce na recenzję książki, bo czytelnicy kwartalnika znajdą w niej liczne przypadki zarówno rywalizacji klubów z obu tych metropolii, jak i ludzi, którzy swoim życiem (jak Witold Gieras) połączyli historię miast, która podzielona paktem Ribbentrop–Mołotow znów jest na nowo uporczywie sklejana przez pasjonatów polityki i sportu. To – dla kogoś – dziwne połączenie znalazło urzeczywistnienie już u zarania działalności Czarnych. Autorowi książki udało się ustalić, że w walkach o polskość Lwowa w latach 1918–19 zginęło 60 sportowców *semper fidelis* z tego Klubu.

W książce znajdziemy ogrom materiału historycznego, dotyczącego sportu polskiego w ogóle, ujętego w tabelach z wynikami meczów i miejscami w rankingach. Cóż to za cyfry? Na przykład rok 1911 to mecz z Cracovią na jej boisku, przegrany przez Czarnych 3:0, ale też współdziałal obu klubów w założeniu ogólnopolskiej Ligi Piłki Nożnej. Jakie emocje musiało budzić w 1929 roku zwycięstwo 4:0 Czarnych Lwów z Wisłą Kraków, gdy Czarnym ewidentnie groził spadek z pierwszej ligi, a było to „nazajutrz” po srebrnym jubileuszu tego Klubu...

Młody badacz historii Michał Kawęcki swoje dzieło dedykuje ojcu Krzysztofowi – wybitnemu historykowi zagadnień myśli politycznej. To bardzo miły gest wdzięczności za rozbudzenie zainteresowań. Tak powstał pierwszy tom,





obejmujący dzieje Klubu w latach 1903–29. Autor od lat jest prezesem Stowarzyszenia Sympatyków Czarnych Lwów, którego założenie zainicjował.

Książka o Czarnych to zatem także historia polskiego sportu w ogóle, bo autor na 415 stronach zmieścił tak wiele danych, że można odnieść wrażenie, iż otrzymujemy – jak w elektronicznych przesyłkach – materiał spakowany, który można rozwinąć kilkakrotnie. Ale w tym jest miejsce na romantyczne historie, jak ta pewnego urodzonego we Lwowie w 1902 roku, a zmarłego w Krakowie w 1986 roku najslawniejszego w naszych dziejach tancerza i choreografa, opiewanego przez Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego w *Zaczarowanej drodze* Mariana Wiedzyńskiego. Ilu krakowian wie, że był to za młodu przede wszystkim zawzięty piłkarz Czarnych Lwów, który zakończył karierę piłkarską, złamawszy nogę w meczu z Warszawianką?

Bez większej kontuzji przeszedł przez boiska piłkarskie w barwach „powidlaków” Tadeusz Kowalski, który jako łyżwiarz figurowy w parze z Zofią Bilorówną (siostrą założycieli Czarnych) zdobył 9-krotnie mistrzostwo Polski i rozstał polskie łyżwiarstwo na cały świat. Więzień Starobielska, zginął z rąk NKWD w Charkowie. Czarni to przecież nie tylko piłka nożna, ale i rozliczne sekcje, które zdobywały laury po całym świecie, a raz – na jubileusz 25-lecia – można było ich zobaczyć wreszcie wszystkich razem, co także w książce jest opisane i udokumentowane.

Pierwszy tom *Czarnych Lwów* czyta się z zaciekawieniem od deski do deski, gdy nam wpadnie w ręce, ale też służyć będzie jako vademecum lwowskiego i polskiego sportu. Ma niewielki nakład, więc lepiej zaraz go poszukać w Internecie (sprzedaż wysyłkową warto poprzedzić prośbą o dedykację autora). A my już czekamy na dalszy ciąg!



**Barbara Barnaś**

## O książce *Śladami przodków...* autorstwa Romana Maćkównki



**O**d ponad 10 już lat w mojej szufladzie leżała kartka z rozrysowanym drzewem genealogicznym z czterema pokoleniami moich przodków z podzłoczowskich wsi, aż internet stał się na tyle popularnym medium, że można było podjąć szersze poszukiwania, dowiedzieć się więcej o nich samych, czasach i miejscach, w których żyli, a często, przed jakimi stawali wyborami. Jednym z pierwszych miejsc, na które natrafiłam w sieci, był blog pana Romana Maćkównki. Wtedy już prowadzony przez niego „Klub Złoczowski” przestał istnieć.

Autor książki urodził się w Złoczowie w 1928 r., jego rodzice prowadzili tam cukiernię. Miał starsze rodzeństwo, siostrę i brata. Kres jego beztroskiego dzieciństwa położył wybuch II wojny światowej. Dalsze, dorosłe życie spędził już w Krakowie, tam skończył



studia i oprócz pracy zawodowej zajmował się działalnością społeczną.

W *Śladach...* autor opisuje dzieje swojej rodziny, ale nie tylko. Filarem książki są ciekawe i wzruszające wspomnienia i notatki. Te są najbardziej prawdziwe, bliskie sercu, emocjonalne, nostalgiczne, ale nie łzawe. Są napisane lekko i z humorem. To niezwykle zapis świadka minionych czasów, który oczyma kilkunastoletniego chłopca widział i zapamiętał nieistniejący już barwny świat wielokulturowych kresów Rzeczypospolitej i kolejne okupacje, mieszkając do czasu ekspatriacji w prowincjonalnym miasteczku.

Czytając wspomnienia z młodości pana Romana Maćkóvki, mamy świadomość, że książkę pisze dojrzały już mężczyzna, który po wielu latach, kiedy można było w miarę normalnie jeździć na Kresy, powracał do rodzinnego Złoczowa już jako prezes „Klubu Złoczowskiego”, stowarzyszenia zrzeszającego w początkach istnienia 600 członków – złoczowian z całego niemal świata, strażników pamięci o polskich Kresach i animatorów polskiej kultury na tamtych terenach. Misją Klubu było pielęgnowanie tradycji kresowych, działanie w zakresie ochrony zabytków, dokumentowanie nowszych dziejów Złoczowa, a także niesienie pomocy starym i schorowanym rodakom, którzy tam zostali.

Osobny, obszerny rozdział to zapiski z lat 1990–2006, prowadzone podczas wyjazdów wraz z Klubem w rodzinne strony, i notatki z podejmowanych działań i spotkań.

Na kartach swej książki autor prowadzi nas po ulicach miast kresowych, np. Lwo-

wa i Brzeżan – miast swoich przodków po mieczu i po kądzieli, opowiadając o ciekawych miejscach, rodzinach, z których się wywodzi, o swoich dziadkach, rodzicach, ale największą uwagę skupia na Złoczowie, mieście zapamiętanym z dzieciństwa. Odkrywamy historię Złoczowa i jego mieszkańców, całych rodów, nierzadko zakorze-

nionych w tej ziemi od wieków. Z mroków zapomnienia wydobywają się twarze, nazwiska i anegdoty związane z życiem tych ludzi i miasta. Autor wspomina zabawny incydent z udziałem ekscentrycznej pani pułkownikowej Ekesowej, która twierdzeniem, że dom należący do rodziny Maćkóvków był kiedyś w posiadaniu jej rodziny, uzurpowała sobie prawo do ciągłego niepokojenia obecnych właścicieli, a któregoś dnia ogrodnik znalazł ją opalającą się nago w przydomowym ogródku. Wspomina także pracownika magistratu, pana Bojkę, którego problemy z „przerywnikami” w treści podczas wygłaszanych zarządzeń powodowały salwy śmiechu słuchaczy. Oraz profesora gimnazjalnego, który w wdzięczny sposób ukroił plotki o rzekomej niewierności swojej dużo młodszej małżonki.

Nie zabrakło bogatej historii Złoczowa, małego miasteczka na prowincji, noszącego ślady dawnych właścicieli z magnackich i znamienitych rodów – Sobieskich, którzy przyczynili się do jego rozkwitu, Radziwiłłów oraz Komarnickich, restauratorów zamku.

Złoczów miał swoje polskie gimnazjum już w czasach zaborów, od 1873 r., którego obchody 50-lecia istnienia w 1924 r. zgromadziły wielu absolwentów, elitę II RP. Nie zabrakło więc w *Śladach...* cennego uzupełnienia, jakim są notki biograficzne absolwentów i nauczycieli. To w Złoczowie funkcjonowało wydawnictwo Zukerkandla, które na całą Galicję rozślały nie tylko bryki ku uciesze i wdzięczności żaków, ale również kieszonkowe wydania polskiej literatury. Po

dziś dzień czynny jest tam nieprzerwanie kościół katolicki. To on, jako jeden z niewielu, stał się w czasach sowieckich ostoją chrześcijaństwa, głównie za sprawą jedyne go tajnego biskupa na Ukrainie, Jana Cieńskiego – ubożego, skromnego księdza z hrabiowskiego rodu z Pieniaków, który ze swoją posługą był zawsze tam, gdzie był potrzebny, bez względu na narodowość potrzebujących. Jeszcze jako wikariusz złoczowskiej parafii pomagał w latach wojny ukrywać Żydów i Polaków; uczestniczył w ekshumacjach na złoczowskim zamku w 1941 r., w lutym 1944 r. modlił się nad zwłokami ofiar w Hucie Pieniackiej i pomagał w pochówkach. Był kapelanem miejscowej AK o ps. „Skarga”, co jednak nie przeszkodziło mu pomóc innemu w potrzebie – rannemu pułkownikowi NKWD, którego podobno przyniósł na własnych plecach na plebanię. Nie opuścił swoich parafian, kontynuując swoją posługę jako proboszcz i opiekun złoczowskiego kościoła do końca życia.

Jest w Złoczowie zabytkowy cmentarz, będący pamiątką po dawnych mieszkańcach. Znajdujące się tam nagrobki często-kroć są dziełami sztuki. To niemi świadkowie burzliwej historii tego miasta – obok mauzoleum wybudowanego w okresie międzywojennym dla polskich ofiar krótkotrwałych rządów URL w Złoczowie, o którego renowację postarał się „Klub Złoczowski”, spoczywają pod identycznymi krzyżami ukraińscy żołnierze polegli w walkach podczas wojny polsko-ukraińskiej. Tam też ponad dwie dekady później pochowano w zbiorowej mogile ofiary NKWD zamordowane przed wycofaniem wojsk sowieckich ze Złoczowa po wybuchu wojny ZSRR z Niemcami.

Miasteczek takich jak Złoczów było na Kresach wiele, *Śladami przodków...* to nie tylko dokument minionej epoki, to „okno” pozwalające spojrzeć na jedno z takich miejsc i podejrzeć życie ludzi, których już nie ma.

Książka dodatkowo zawiera bogaty indeks osobowy i geograficzny.

Autor: Roman Bolesław Mackówka  
Tytuł: *Śladami przodków (po mieczu i kądzieli). Lwów – Brzeżany – Złoczów*  
Wydawnictwo: Księgarnia Akademicka Kraków, 2020  
ISBN 978-83-8318-132-1  
456 stron, okładka miękka

## Pożegnania

# Stanisław Dziedzic (1953–2021)



Fot. Krzysztof Lis

8 kwietnia 2021 r. zmarł dr Stanisław Dziedzic, dyrektor Biblioteki Kraków, członek Rady Programowej naszego kwartalnika. Był z nami od pierwszego numeru. Nikt spośród znajomych i przyjaciół nie potrafi uwierzyć w to, co się stało. Nie spotkamy już Stanisława na ulicach Krakowa ani we Lwowie czy Krze-

mieniu, który tak w ostatnich latach hołubił, pojawiając się z referatami na spotkaniach Dialogu Dwóch Kultur. W wolnych chwilach wędrowaliśmy po okolicach Krzemieńca. Ostatnim razem, wraz z poetą Franciszkiem Haberem, zaszliśmy na cmentarz żydowski i kozacki. W lutym br. przystąpił do realizacji pomysłu trójksięgu kresowego. Pierwszy tom, *Kresy wciąż bliskie*, jest już właściwie przygotowany. Książkę zaczyna opowieść o Krzemieńcu zatytułowana *W blasku wołyńskich Aten*. Ta książka się pewnie ukaże, ale co z pozostałymi dwoma? Jakże cieszył się na te książki! Rozmawiał o nich z wieloma znawcami Kresów. Od jakiegoś też czasu rozmawialiśmy o wyjeździe do Berdyczowa i oczywiście o tym, co tam po drodze jeszcze miało się nam trafić... Wędrowka ze Stanisławem wyglądała w ten sposób, że co i rusz zatrzymywaliśmy się na zwiedzanie miejscowości, które akuratnie stanęły nam na drodze albo do których trzeba zjechać z głównego szlaku kilka kilometrów. Był encyklopedią wiedzy o Kresach, o których pisał coraz więcej. Wyjazd uniemożliwiła pandemia, która teraz zabrała Stanisława. Już nie pojedziemy do Berdyczowa. Ostatni czas poświęcał dopracowywaniu pomnikowego wydawnictwa o dokonaniach literackich i teatralnych Karola Wojtyły – Jana Pawła II, będąc w zespole naukowym i redakcyjnym tej książki. Zaliczał się do kategorii ludzi niepowtarzalnych i niezastąpionych. Będziemy o Tobie pamiętać.

Redakcja

## Pożegnania

### Zmarł Adam Zagajewski

Jesienią roku 2019 Stanisław Dziedzic wręczał Adamowi Zagajewskiemu Nagrodę Krakowskiej Książki Miesiąca za tom wierszy *Prawdziwe życie* (Wydawnictwo A5). Kilka miesięcy później wiersze dotyczące Lwowa i Kresów, za zgodą autora, przekazaliśmy czytelnikom „Cracovia–Leopolis”. Pożegnamy Poetę oraz naszego Przyjaciela – Stanisława Dziedzica wierszem Józefa Barana; wierszem, który powstał w ostatnich dniach.

### Przedwiośnie 2021

*Pamięci Staszka Dziedzica  
i Adama Zagajewskiego*

krążą śmierci  
po świecie  
stadami  
trzymają się  
niewidzialnie za szpony

pełno ich wszędzie  
na ulicach za drzwiami  
przemieszczają się tramwajami autami  
lecą samolotami

stukają pukają w okienko  
judasza  
nie otwieraj nie wpuszczaj  
to wnikną przez lufcik w kominie  
wałęsają się  
całymi watahami  
cichociemne

a tu fontanny wiosny  
wzbijają się podniebne

biją źródła  
goreją krzewy

chce się żyć

zachłystują się turkawki zachwytem

zza każdego krzaka  
słychać ćwierk i wizg  
i gwizd  
przeraźliwych na ulicach karetek

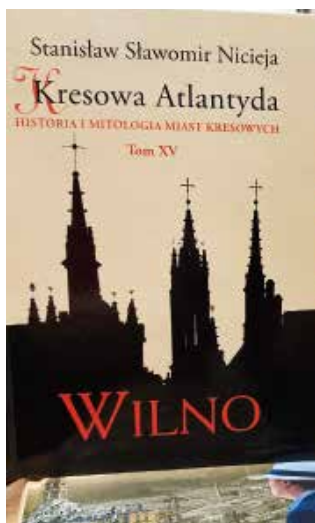
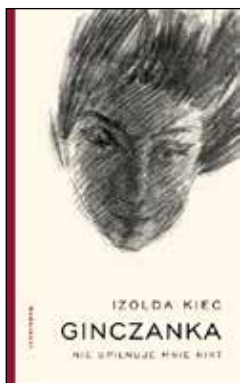
co krok  
urywa się  
za losem los  
jak spadające gwiazdy  
ni w pięć ni w dziewięćdziesiąt pięć...

Józef Baran

## Portrety 2020 rozstrzygnięte

Kapituła Nagrody Portrety 2020 przyznała główne wyróżnienie Katarzynie Kiec za książkę *Ginczanka: nie upilnuje mnie nikt*.

Nagrodę Czytelników otrzymał prof. Stanisław Nicieja za książkę *Wilno – XV tom monumentalnego cyklu Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych*. Gratulujemy Panu Profesorowi!



# SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI ODDZIAŁU TMLIKPW W KRAKOWIE W KADENCJI 2017–2020

**N**a Walnym Zebraniu Wyborczym w dniu 10 grudnia 2016 r. wybrano Zarząd, w którego skład weszli:

Adam Gyurkowich – prezes  
Edward Adles – skarbnik  
Stanisław Czerny – wiceprezes  
Urszula Kogut – członek Zarządu  
Anna Madej – sekretarz  
Krystyna Stafińska – członek Zarządu  
Barbara Szumska – członek Zarządu

Rok 2017 był trudny dla Oddziału, głównie z powodu kłopotów z wydawaniem kwartalnika „Cracovia–Leopolis”. Po rezygnacji redaktora naczelnego Andrzeja Chlipalskiego, spowodowanej złym stanem zdrowia, redaktorem naczelnym zgodził się zostać Janusz Paluch.

Następnym problemem okazała się sprawa lokalu w gmachu PTG „Sokół”. W związku z planowanym remontem musieliśmy w ekspresowym tempie przenieść naszą wynajmowaną siedzibę piętro niżej i dzielić ją z innymi użytkownikami (co ma miejsce do chwili obecnej).

Coroczne ważne akcje i wydarzenia odbyły się normalnie. Była więc kwesta na cmentarzach krakowskich na rzecz Cmentarza Łyczakowskiego, a także msza św. w Bazylice Mariackiej 22 listopada w intencji Obrońców Lwowa.

Również lata 2018 i 2019 były normalne. Odbywały się nasze comiesięczne zebrania Zarządu, cotygodniowe dyżury, spotkania w klubie „Pod Gruszką”, wydawaliśmy nasz kwartalnik (po cztery numery rocznie), uczestniczyliśmy w dorocznych mszach za Orłęta Lwowskie. Tak samo regularnie co kwartał mogliśmy uczestniczyć we mszy św. przed obrazem Matki Bożej Łaskawej (oryginał z katedry lwowskiej) w katedrze na Wawelu, braliśmy udział w kwestach na odnowę Cmentarza Łyczakowskiego, były spotkania opłatkowe, odbyły się także Bale Lwowskie (nasza stosunkowo nowa, ale jakże popularna „impreza”). Wycieczki do Lwowa i na Kresy również.

Niestety to też smutny okres dla nas. Odeszli bardzo aktywni członkowie naszego Towarzystwa. Pożegnaliśmy Barbarę Szumską, Andrzeja Chlipalskiego, Zdzisławę Stopczyńską i Adama Gyurkowicza. Z tego więc powodu musieliśmy zwołać Walne Zebranie i uzupełnić skład członków Zarządu. Zebranie to odbyło się 26 września 2019 r. W wyniku wyborów uzupełniających Stanisław Czerny, który od stycznia 2019 po śmierci prezesa A. Gyurkowicha pełnił obowiązki prezesa, został prezesem, a w skład Zarządu weszli: Anna Madej – wiceprezes, Edward Adles – skarbnik, Barbara Olasińska – sekretarz oraz członkowie: Kasper Bednarek, Marian Bielecki, Krystyna Stafińska, Czesław Wilczyński, wybrano też Ilo-nę Słuszkiewicz-Pilniakowską na zastępcę członka Zarządu.

Do marca 2020 odbywały się spotkania „Pod Gruszką”, w styczniu miały miejsce spotkanie opłatkowe i Lwowski Bal. Zebrania Zarządu i śródowe dyżury w siedzibie „Sokoła” też odbywały się bez przeszkód. Niestety potem dopadła cały świat pandemia COVID 19, nas też! Zmuszeni zostaliśmy mocno ograniczyć działalność. Jedyne, co pozostało, to śródowe dyżury i zarazem zebrania Zarządu i to w dość ograniczonym składzie. Nie było corocznej kwesty na cmentarzach krakowskich, ale z posiadanych pieniędzy zdołaliśmy przeprowadzić remont 28 grobów na Cmentarzu Łyczakowskim. Odbyła się też tradycyjna msza św. za Obrońców Lwowa (o czym szerzej w słowie wstępnym do homilii wygłoszonej przez ks. inf. Bronisława Fidelusa – homilia ta jest zamieszczona w niniejszym numerze „Cracovia–Leopolis”). W roku 2020 wydaliśmy dwa podwójne numery naszego kwartalnika, a ponieważ pandemia trwa, więc i w roku 2021 chcemy wydać dwa podwójne numery.

Czas pokaże, czy i kiedy będziemy mogli wrócić do normalnego działania. Powinniśmy zwołać Walne Zebranie i wybrać nowy Zarząd, ale nie wiadomo, kiedy to będzie możliwe. Wobec powyższego w niniejszym

numerze „Cracovia–Leopolis” w naszej informacji sprawozdawczej za okres kadencji 2017–2020 nie podajemy szczegółowych rozliczeń finansowych. Jesteśmy bowiem w końcowej fazie przygotowywania materiałów do bilansu za rok 2020. Materiały zawarte w tym numerze „Cracovia–Leopolis” posłużą jako sprawozdanie z naszej działalności na przyszłym zebraniu spr-

wozdawczo-wyborczym. Według wyciągu bankowego na koniec grudnia 2020 saldo na koncie pomocniczym „Cmentarz Łyczakowski” wynosi 31 149 zł, natomiast konto operacyjne kończy się saldem 62 549 zł.

Miejmy nadzieję, że na powrót do pełnej działalności nie trzeba będzie czekać zbyt długo!

*Anna Madej*

## RATUJMY CMEN TARZ ŁYCZAKOWSKI WE LWOWIE!!!

**D**o 1939 roku ponad 90% pochowanych na Cmentarzu Łyczakowskim to Polacy. To 6 pokoleń patriotów: żołnierze Kościuszki i Napoleona, Powstańcy 1830 roku i 1863 roku, Legioniści, Obrońcy Lwowa, Obrońcy Polski przed nawałą bolszewicką i Zadwórzanie, żołnierze z 1939 roku i żołnierze tragicznej Armii Krajowej mordowani przez NKWD i gestapo, partyzanci i polegli w Akcji „Burza”. To groby genialnych uczonych, artystów, pisarzy, poetów i architektów. Cmentarz naturalnego piękna i muzealnej wartości pomników i rzeźb dokumentujących jego polskość. Poniższa tabela obrazuje osiągnięcia naszego oddziału w okresie kadencji w porównaniu do całości osiągnięć od 1996 roku.

Ogółem wyremontowano 590 grobów, z czego 187 w latach 2017–2020, co stanowi 32%. Ogółem wydano na remont grobów 795 010 zł, z czego w okresie 2017–2020 wydano 240 800 zł, co stanowi 31%. Średni koszt remontu grobu w okresie kadencji wyniósł 1288 zł.

Organizowane przez nas kwesty przeprowadzane były na czterech krakowskich cmentarzach – dzięki apelom rozsyłanym do dyrekcji i uczniów szkół podstawowych, gimnazjów i liceów nasza kwesta cieszyła się dużym zaangażowaniem młodzieży. Przedstawia się to następująco:

- rok 2017 – 208 osób (w tym 188 uczniów)
- rok 2018 – 145 osób (w tym 108 uczniów)
- rok 2019 – 100 osób (w tym 80 uczniów)
- rok 2020 – brak kwesty (COVID19).

W sumie przez 3 lata w kweście wzięły udział 453 osoby, w tym 376 uczniów. Jej zorganizowanie to sztabowa robota. Korzystając z dokumentacji prowadzonej przez sekretarz naszego Zarządu Barbarę Olasińską, przedstawiam w skrócie ten ogrom pracy. To legalizacja kwesty w MSW na podstawie KRS udzielonego nam przez Zarząd Główny i dokumentacja dla MSW prowadzona przez Kaspra Bednarka. To przygotowanie puszek i upoważnień potrzebnych w czasie kwesty, ulotek i naklejek z herbem Lwowa (bezpłatnie wydrukowanych dzięki Markowi

Remont grobów na Cmentarzu Łyczakowskim (lata 2017–2020)

rok	Prace porządkowe (w zł)	Liczba grobów po remoncie	Koszt (w zł)	Koszt prac porządkowych i remontowych (zł)
2017	5000	52	71 900	76 900
2018	–	51	62 500	62 500
2019	–	56	65 200	65 200
2020	–	28	41 200	41 200
za okres kadencji	5000	187	240 800	245 800
1996–2020	246 130	590	795 010	1 041 140

Pełechaczowi). Transparenty z kolei są dziełem Ryszarda Kucały. To kontakty pisemne i bezpośrednio ze szkołami uzgadniające uczestnictwo ilościowe i terminowe uczniów na poszczególnych cmentarzach. Odbiór puszek i komisyjne sortowanie i liczenie banknotów oraz sortowanie bilonu. Komisyjne zdanie pieniędzy do banku i mechaniczne przeliczenie bilonu. Na koniec wysłanie podziękowań do szkół, z podaniem kwestujących. Rekordzistami wśród kwestujących byli Kazimierz Czytajło, Marek Pełechacz i Oriana Ładoś-Pudełek. Wszystkim kwestarzom składamy serdeczne podziękowania. W kwestie wielokrotnie brała udział Jolanta Warchoła z dwoma wnukami Jasiem i Jackiem oraz Magdalena Ołasińska z dziećmi Florianem i Felicją. Oto przykłady wzruszającego rodzinnego zaangażowania. Duże uznanie należy się kierującym kwestami na poszczególnych cmentarzach. Na Cmentarzu Rakowickim od lat jest to Barbara Ołasińska, której należy się szczególne uznanie, pomaga jej Marian Bielecki. Przy okazji należy się podziękowanie kierownikowi Cmentarza Rakowickiego za udostępnienie pomieszczenia na potrzeby kwesty. Na Cmentarzu Podgórskim kierowali kwestą Urszula Kogut, Roma Żuk i Lesław Popławski. Na Cmentarzu Batowickim śp. Edward Adles, Anna Madej i Czesław Wilczyński. Od roku 2019 pałeczkę po śp. Edwardzie Adlesie przejął Kasper Bednarek, pomagał mu Czesław Wilczyński. Cmentarz Salwatorski obsługiwali: niezmiernie oddany sprawie Ryszard Radko i Anna Madej. Dziękujemy wszystkim za poświęcenie i rzetelną, owocną pracę – również tym niewymienionym z nazwiska, którzy udzieliłi swej pomocy.

Dzięki kwestom i innym dochodom pięknieje i ciągle się odnawia polski Łyczakowski Cmentarz. Bezpośrednio typowaniem i odbiorem grobów zajmowałem się po śmierci Jerzego Żuka. Od 2008 roku razem z moim partnerem inż. Ryszardem Defortem, dla jego pracy jestem pełen uznania. Codziennie w czasie pobytu we Lwowie przemierzaliśmy ok. 5 km przy typowaniu grobów do remontu, ustalaniu zakresu robót i targowaniu się z wykonawcami o wysokość zapłaty. Zajmowaliśmy się też odbiorem wyremontowanych grobów zgodnie z ustalonym poprzednio zakresem robót. Dziękuję także członkowi naszego Zarządu Kasprowi Bednarkowi za

przedstawianie materiałów fotograficznych stanowiących propozycję do rozpatrzenia, wyremontowania grobu.

W roku 2020 działaliśmy z Ryszardem Defortem na Cmentarzu Łyczakowskim. W trakcie pandemii udał się do Lwowa Kasper Bednarek i dokonał odbioru wykonanych grobów oraz wytypował nowe do remontu. W trakcie wjazdu i wyjazdu na Ukrainę uniknął kwarantanny. Aby urozmaicić tekst publikujemy parę zdjęć grobów wyremontowanych w czasie ostatniej kadencji. Dysponujemy do wglądu dokumentacją opisową i fotograficzną, którą możemy udostępnić zainteresowanym w czasie naszych środowych dyżurów. Jeszcze raz dziękujemy każdemu z naszych członków i sympatyków, którzy wsparli naszą działalność ratowania Cmentarza Łyczakowskiego. Należy wspomnieć, że uzyskaliśmy dotację na remont cmentarza z naszego Zarządu Głównego w wysokości 10 000 zł, za co serdecznie dziękujemy. Dziękujemy również za przekazanie przez Koło Tarnopolańskie 10 000 zł. Zamiast kwiatów na pogrzebach śp. Teresy Kondolewicz-Wilk, Andrzeja Chlipalskiego i Adama Gyurkovicha zebrano łącznie 5377 zł. Na nasze konto wpływają liczne darowizny od członków i sympatyków. Podajemy kilka przykładów tych patriotycznych darów serca. Imponującą darowiznę otrzymaliśmy od Pani Marii Konopki: łącznie w okresie kadencji 13 200 zł i dodatkowo za jej staraniem 4000 zł od Piotra Połonyckiego z Londynu i 500 zł od Ewy Gubrynowicz. Marek Pełechacz z przyjaciółmi zebrał 6900 zł. Dziękujemy również Fundacji im. Jana Palucha z Katowic za wpłatę 3350 zł. Po 1000 złotych wpłacili: Polskie Towarzystwo Wydawców Książek w Warszawie i Teresa Wojciechowska, natomiast Jerzy Kapłon 500 zł. Dzięki ofiarności ze strony naszych członków i sympatyków przechodzimy na następną kadencję z kwotą 31 149 zł (dodatkowo na portalu Zrzutka.pl prowadzonym przez Kaspra Bednarkę zebrałiśmy 5460 zł) z przeznaczaniem na dalszą renowację Cmentarza Łyczakowskiego. Miejmy nadzieję, że te środki finansowe zostaną wzbogacone o dotacje, przewidzianą kwestę i darowizny. Dzięki nim powiększą się nasze możliwości ratowania polskiego Cmentarza Łyczakowskiego.

**Stanisław Czerny**

---

2017

---



**STANISŁAW GAJCZAK**  
MINISTER



**TEOFIL KOTOWSKI**  
OBROŃCA LWOWA



**ALEKSANDER ŚWIERZAWSKI**  
NAPOLEOŃCZYK, POWSTANIEC 1831, VIRTUTI MILITARI





---

2017

---



**JAN BOGDANOWICZ GALINOWSKI**  
MAJOR KOP, PODPUŁKOWNIK AK,  
JEDEN Z ZASTĘPCÓW DOWÓDCÓW AK WE LWOWIE

---

2018

---



**GROBOWIEC DOBRZAŃSKICH**



**JÓZEF POTOCKI**  
POWSTANIEC 1863

---

2018

---



**GROBOWIEC POŁONIECKICH**  
RODZINA EDYTORÓW I KSIĘGARZY LWOWSKICH

---

2019

---



**LUDWIK GÖTINGER**  
OBROŃCA LWOWA



**WŁADYSŁAW ZADUROWICZ**  
KSIĘGARZ

---

2019

---



**GROBOWIEC GUBRYNOWICZÓW**  
KSIĘGARZY I EDYTORÓW

**JULIUSZ MARKOWSKI**  
RZEŹBIARZ, POWSTANIEC 1863

---

2020

---



**MIKOŁAJ HOŁYŃSKI**  
STAROSTA SAMBORSKI

---

2020

---



**OTOMAR I ZBIGNIEW BORYSŁAWSKY**  
ŻOŁNIERZE AK ZAMORDOWANI PRZEZ NKWD



**ZBIGNIEW KISIELEWICZ**  
ŻOŁNIERZ AK ZAMORDOWANY PRZEZ GESTAPO

---

2020

---



**KAZIMIERZ DZIUBA**  
ŻOŁNIERZ AK, ZGINĄŁ W AKCJI BURZA



**ZYGMUNT WOJCIECHOWSKI**  
ŻOŁNIERZ AK, ZGINĄŁ W AKCJI BURZA



**MARIAN KOWALCZUK**  
ŻOŁNIERZ AK, ZGINĄŁ W AKCJI BURZA



# ZANIM PANDEMIA POWIEDZIAŁA: SPRAWDZAM!

O kres ostatnich czterech lat to czas niezwykły, było bowiem u nas wielu interesujących prelegentów i wiele sympatycznych zdarzeń. Tematyka spotkań była różnorodna. Przede wszystkim gościliśmy wielu pisarzy, prezentujących książki swojego autorstwa, a wśród nich byli m.in. Bogdan S. Kasprowicz *My Ormianie Polscy*; Robert Nowakowski *Człowiek z sową*; Natalia Tarkowska *Lecznica narodu. Kulturotwórcza rola Zakładu Przyrodoleczniczego Doktora Apolinarego Tarnawskiego w Kosowie na Pokuciu (1893–1939)*; Wiesław Helak *Nad Zbruczem*; Michał Piekarski *Muzyka we Lwowie*. Niezwykle interesującym spotkaniem była prezentacja wspaniałego albumu, wydanego przez Muzeum Niepodległości, który ukazał się w 2017 r. *Dziedzictwo i pamięć Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej*, pod redakcją Tadeusza Skoczka. A ostatnio Piotr Tymiński prezentował książkę *Lwowski ptak*. 3 marca 2020 r. gościliśmy profesora Stanisława S. Nicię z prezentacją nowych tomów *Kresowej Atlantydy* (XIII, XIV). Spotkanie było bardzo interesujące i, jak dotąd, to był kres naszych spotkań. 4 marca zaczęła się pandemia. Były też wieczory z filmem; jednym z nich był niezwykle interesujący film *Tort* autorstwa Małgorzaty Goździk, absolwentki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, o Paniach Emilii i Zofii Fedyk i Ich trzydniowych „zmaganiach” z pieczeniem tortu orzechowego.

Z przedwojennym Stanisławowem i jego mieszkańcami związany jest film *Tam był mi raj. Opowieść o Stanisławowie* autorstwa Sławomira Krasnodębskiego przy współpracy Eugeniusza Sały z „Kuriera Galicyjskiego”.

A muzycznie? Wielokrotne występy zespołu „Promyki Krakowa” pod dyktando Romy Krzemieniowej. Muszę zaznaczyć, że jesteśmy pełni podziwu i wdzięczności dla jej działalności i umiejętnego przekazywania młodzieży wartości patriotycznych i pamięci o naszych Kresach. Był także *Koncert: Muzyka w lwowskim salonie*, o czym opowiedział Michał Piekarski, grając także na fortepianie, a gościem niezwykłym był Michał Janicki – baryton, śpiewak operowy.

Tematy wszystkich spotkań były interesujące, ale były też szczególne, które mówią więcej. Mam na myśli m.in. uroczyste spotkanie, które przygotował Bogdan S. Kasprowicz. Nie tak dawno Instytut Lwowski, do niedawna kiero-

wany przez śp. Janusza Wasylkowskiego, przy współpracy Bogdana Kasprowicza, obchodził 25-lecie działalności. Z okazji 25-lecia Instytutu Lwowskiego Andrzej Chlipalski otrzymał medal za zasługi w utrwalaniu pamięci Lwowa i jego kultury. Ze względu na nieobecność Pana Andrzeja medal został przekazany jego wnukowi, Tadeuszowi Chlipalskiemu.

Kolejnym spotkaniem, o którym warto wspomnieć, jest opowieść Sławomira Zachariewicza, prawnuka Juliana Oktawiana Zachariewicza, o pradziadku, jednym z najwybitniejszych lwowskich architektów. Mogliśmy „uczestniczyć” w poszukiwaniach, jakie podjął prawnuk, szukając śladów swego przodka.

Kilkakrotnie gościliśmy Sławomira Dorockiego i Pawła Brzegowego z Instytutu Geografii Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie, którzy przedstawili prelekcje – zawsze perfekcyjnie przygotowane i wspaniale prezentowane przez dra Pawła Brzegowego.

Tradycja „Lwowskie Bale w Krakowie” trwała przez te cztery lata, aczkolwiek zmieniliśmy lokal. Do 2017 r. bawiliśmy się w Sali Fontanny w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką”. Po przeprowadzeniu prac konserwatorskich charakter sali nieco się zmienił. Z pomocą przyszła nam Roma Krzemieniowa. Zaprosiła nas do swojej „Piwnicy na Strychu” i tam w dalszym ciągu odbywały się wspaniałe Lwowskie Bale. Czterometrowe drzewko, pięknie przystrojone, stoły, obrusy, kanapy i przede wszystkim Lwów. 1 lutego 2020 r. śpiewamy, tańczymy, jest nam wesoło i prawdziwie po lwowsku. Dziękujemy, Romeczko! To był bal, piękny bal, dziewiąty. Nie myśleliśmy wtedy, że kolejny, dziesiąty bal, oddali się na czas nieokreślony...

A gdy piszę o naszych spotkaniach, nie umiem pominąć myśli, że już nie zobaczymy się z Danusią Trylską-Siekańską, Dzidką Stopczyńską, Prezesem Adamem Gyurkovichem, Jurkiem Bożykiem, Teresą Kondolewicz-Wilk, Basią Szumską, Andrzejem Chlipalskim, Profesorem Jerzym Kowalcukiem, Paniami Emmą i Zosią Fedyk, Adamem Jerzym Chowańcem, Piotrem Korpantym, Edwardem Adlesem... i innymi, którzy odeszli – to smutny rejestr tych ostatnich czterech lat!

**Anna Stengl**

# KOŁO STANISŁAWOWIAN W KRAKOWIE W LATACH 2017–2020

Liczba aktywnych członków Koła na koniec roku 2020 stanowiła 20 osób. Z niektórymi ze względu na zaawansowany wiek czy też stan zdrowia utrzymywaliśmy kontakt telefoniczny, a przed pandemią Covid-19 również osobisty (odwiedziny). W okresie sprawozdawczym odeszło z naszego grona dziesięć osób – rodowitych stanisławowian – stanowiących filar pamięci o Stanisławowie i trzon naszego Koła.

W latach 2017–2019, a w 2020 r. tylko w styczniu i lutym spotykaliśmy się regularnie na comiesięcznych ogólnych zebraniach z wyjątkiem miesięcy letnich. Także zebrania Zarządu Koła odbywały się co miesiąc z pominięciem wakacji.

W omawianym czteroleciu miejscem spotkań ogólnych, dzięki życzliwości dyr. Jerzego Kapłona, był Centralny Ośrodek Turystyki Górskiej PTTK przy ul. Jagiellońskiej 6. Spotykaliśmy się tradycyjnie w każdy trzeci wtorek miesiąca, tematyka dotyczyła polskiego dziedzictwa w Stanisławowie i szerzej na utraconych wschodnich ziemiach II Rzeczypospolitej. Wyświetlane były filmy i przeżycza ze szczegółowym komentarzem, relacjonowane informacje z bieżącej działalności krakowskiego Oddz. TMLiKPW, o publikacjach, wystawach, interesujących wydarzeniach, nowo wydanych książkach i czasopiśmie o tematyce kresowej. A także wspomnienia o Tych Niepospolitych, z naszym rodowodem, którzy w znaczący sposób zaznaczyli swój wkład do polskiej nauki, sztuki, kultury i innych dziedzin.

W okresie ubiegłych czterech lat tradycyjnie organizowaliśmy uroczyste spotkania noworoczno-opłatkowe z udziałem niecodziennych gości, z Ojcem Leonem Knabitem z Opactwa Benedyktynów w Tyńcu, od lat zaprzyjaźnionym z naszym Kołem, na czele.

Uczestniczyliśmy na Cmentarzu Rakowickim w uroczystościach 17 września przy pomniku Ofiar ludobójstwa ukraińskiego, w hołdzie Ofiarom II wojny światowej.

Braliśmy udział w corocznie organizowanej przez Zarząd Krak. Oddz. uroczystej mszy św. w Bazylice Mariackiej w dniu 22 listopada w intencji bohaterskich Orłów Obrońców Lwowa.

Utrzymywaliśmy korespondencyjne, telefoniczne, a niejednokrotnie osobiste kontak-

ty z innymi środowiskami kresowian w kraju i za granicą.

Nawiązaliśmy kontakt ze stowarzyszeniem o charakterze kombatanckim i braliśmy udział w czterodniowych zlotach organizowanych corocznie przez zmieniające się Oddz. Stowarzyszenia w Warszawie, Białymstoku, ale też z naszym udziałem w Krakowie i Ochotnicy Górnej.

Zawsze w sierpniu kontynuowaliśmy organizowanie wycieczek autokarowych do Lwowa, Stanisławowa, zahaczając o tereny Huculszczyzny, które przyciągają urodą, ale też emocjonalnymi przeżyciami. Sierpień wiąże się z popełnieniem masowych mordów elity polskiej inteligencji ze Stanisławowa i okolic. Chociaż raz w roku pragniemy naszą nieustającą pamięcią i modlitwą uhonorować męczeńską śmierć niewinnych Ofiar w miejscu kaźni, tj. na Cmentarzu w Czarnym Lesie (ok. 10 km od Stanisławowa).

W 2018 r. uczestniczyliśmy w uroczystościach jubileuszu 25-lecia działalności miejscowego Towarzystwa Kultury Polskiej „Przyjaźń”, z którym współpracujemy od początku, nieco wspierając finansowo utrzymanie nekropolii w Czarnym Lesie i okolicznościowe uroczystości w polskim środowisku.

Członkowie naszego Koła wzięli udział w filmie autorstwa Jarosława Krasnodębskiego przy współpracy operatora Eugeniusza Sały z „Kuriera Galicyjskiego”, pt. *Tam był mi raj. Opowieść o Stanisławowie*. To film o życiu kulturalnym przedwojennego Stanisławowa w relacjach jego byłych mieszkańców.

Podobne było zaangażowanie Koła przy filmie pt. *Mroki Czarnej Lasu* Wacława Kujbidy z Polskiej Niezależnej Telewizji w Kanadzie, wyemitowanego 17 stycznia br. w TVP Historia. Film jest rekonstrukcją wydarzeń z sierpnia 1941 r. w Stanisławowie, uwiarygodnioną relacją m.in. członkini naszego koła z osobistych rodzinnych przeżyć z tamtych lat (ojciec i brat zamordowani w Czarnym Lesie), a także cytatami świadków tychże wydarzeń z książki *Tajemnica Czarnej Lasu* autorstwa Tadeusza Kamińskiego, wydanej w ramach Biblioteki kwartalnika „Cracovia–Leopolis”.

Przewodnicząca Koła jest w zespole redakcji „Cracovia–Leopolis” i dokłada starań

aby Stanisławów – w swej historycznej nazwie znikający ze współczesnych map (obecnie Iwanofrankiwsk) – nie rozplynął się w niepamięci.

Staraliśmy się też uczestniczyć w ogólnych spotkaniach w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką” i w innych wydarzeniach i akcjach organizowanych przez nasz krakowski Oddz. TMLiKPW.

W 2019 r. przypadł jubileusz 30-lecia powstania krakowskiego Oddz. TMLiKPW, ale też naszego stanisławowskiego Koła, więc wspólnie celebrowaliśmy uroczystości 5 października w konwencie krakowskich oo. Bernardynów u podnóża Wawelu. Uroczystość rozpoczęła się mszą świętą w intencji obecnych, ale też zmarłych Kresowian, którzy w ostatnim czasie odeszli z naszego grona. Cała część oficjalna, artystyczna i towarzyska odbyła się w klasz-

tornym refektarzu. Zasłużeni dla krak. Oddz. zostali uhonorowani Złotą Odznaką TMLiKPW, a długoletni Członkowie otrzymali pamiątkowe Odznaki XXX-lecia TMLiKPW.

Pandemia Covid-19 i sanitarny reżim izolacji społecznej od 15 marca 2020 r. całkowicie zweryfikowały sposób naszego życia osobistego, ale też nasze działania. Lockdown zastopował nasze plany, także wyjazdowe, i praktycznie przestaliśmy funkcjonować. Kolejne fale Covid-19 i transmisje mutującego koronawirusa SARS-Cov-2 nie nastrajają optymistycznie, ale pozostaje mieć nadzieję, że po efektywnej akcji szczepień uda się społeczeństwu osiągnąć odporność populacyjną.

Tylko pytanie – kiedy i jakim kosztem zdrowia fizycznego i psychicznego.

**Krystyna Stafińska**

## NASZE PODRÓŻE

W ciągu ostatnich czterech lat (2017–2020) działalności Krakowskiego Oddziału TMLiKPW kontynuowaliśmy, tak jak w poprzednich latach, prowadzenie wycieczek do Lwowa, na Kresy i in. W tym okresie zorganizowaliśmy 6 wycieczek. W dalszym ciągu cieszą się one wielkim zainteresowaniem. Większość uczestników stanowią osoby, dla których są to kolejne powroty do miejsc, za którymi bezustannie tęsknią, miejsca ich urodzin, dzieciństwa, młodości. Inna grupa to ludzie niezwiązani z Kresami, ale pragnący poznać te zabytkowe, pociągające miejsca. I my im w tym pomagamy. Doznając wielu ciekawych wrażeń, włączają się chętnie do naszych następnych wypraw, zachęcając do nich również swoich bliskich, znajomych, dzieci. Cieszy nas zwłaszcza obecność dzieci i młodzieży, ponieważ jest to dla nich wspaniała lekcja historii i my mamy w tym swój udział, przypominając o polskim dziedzictwie tych ziem.

W roku 2017 odbyła się czterodniowa wycieczka do Lwowa. W ciągu dnia oczywiście dokładne zwiedzanie miasta z przewodnikiem (tego nigdy za wiele), a wieczorem np. grupowe wyjście do Teatru Wielkiego, a na pożegnanie *Dawnych lwowskich wspomnień czar*, czyli wspólna kolacja w restauracji Na Rogu, którą uświetnił zespół *Wesoła Lwowska Fala*. Wspaniała, typowa lwowska zabawa.

2018 rok – następna wyprawa do Lwowa, ale nie tylko. Odwiedziliśmy kolejny raz Olecko, Podhorce, Poczajów, Krzemieniec, a dla relaksu wpadliśmy do Brzuchowic. Wspólnie z Klubem Seniora i Lekarzy zorganizowaliśmy ośmiodniową wycieczkę pt. *Polskie ślady na Białorusi*. Była to nasza pierwsza wyprawa w te strony. Spotkało nas wiele niespodzianek, doznaliśmy niesamowitych wrażeń! Może jeszcze kiedyś tam powrócimy; chętnych nie brakuje.

Rok 2019 – dwie wycieczki: jedna tylko do Lwowa, druga zaś objęła również Zadwórze (tzw. Polskie Termopile), Świrz, Stare Sioło, Pomorzany. W tym też roku odbyła się wycieczka na Litwę: Wilno, Szydłów (Żmudzka Częstochowa), Góra Krzyży obok Szawli, Troki z rejssem statkiem po jeziorze Gawle oraz pierwszy raz w tym programie zwiedzanie dworców nad Niemnem.

No i rok 2020 – skrupulatnie zaplanowana i przygotowana wycieczka na Huculszczyznę. Mieliśmy zwiedzić nowe miejsca, do których w poprzednich latach nie docieraliśmy. Tyle było oczekiwań, tyle radości, że kolejny raz w przyjaznym gronie odwiedzimy te czarujące, urokliwe wrony.

Ale niestety – pandemia... Wycieczka nie doszła do skutku, ale program jest nadal aktualny, chętni się nie wycofują, a więc czekamy...

**Romana Żuk**



# KLUB TARNOPOLAN W KADENCJI 2017–2020

**K**łob Tarnopolan (nieoficjalna nazwa) to już właściwie Kółko. W ciągu ostatniej kadencji kilkoro Tarnopolan odeszło na wieczną wartę, większość pozostałych to ludzie bardzo już posunięci w latach, schorowani i słabi nie wychodzą z domu. Ci jeszcze aktywni utrzymują z nimi kontakt telefoniczny. W latach 2017 i 2018 spotykaliśmy się regularnie co miesiąc w Domu Parafialnym kościoła św. Floriana. Ponieważ było nas niewielu (trudno dla 7–9 osób zapraszać prelegentów), spotkania były poświęcone wspomnieniom, wiadomościom z Tarnopola (dzięki prezesowi Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego w Tarnopolu, księdzu z parafii tarnopolskiej, indywidualnym Polakom mieszkającym w Tarnopolu). W 2019 r. regularne spotkania ustały. Starałiśmy się jednak przez te trzy lata kadencji

uczestniczyć w spotkaniach organizowanych przez Lwowian.

Ostatnim naszym „wielkim wyczynem” było zorganizowanie ogólnopolskiego Zjazdu Tarnopolan w Krakowie w 2017 roku. Ci, którzy mogli, uczestniczyli jeszcze w dwóch następnych Zjazdach, zorganizowanych przez Tarnopolan z Opolszczyzny. Ten w 2018 r. miał miejsce w Nysie-Głębinowie, w następnym roku 2019 spotkaliśmy się na Górze św. Anny. W 2020 r. planowaliśmy spotkać się w Głucholazach. Niestety COVID-19 pokrzyżował te plany. Pozostał nam tylko kontakt telefoniczny, a ponieważ jesteśmy bardzo zżyci ze sobą, więc te telefony są dosyć częste. Ponoć nadzieja umiera ostatnia, jesteśmy optymistami i mamy NADZIEJĘ, że powrócimy do normalności i normalnego działania!

*Anna Madej*

## „CRACOVIA–LEOPOLIS” 2017–2020 – SPRAWOZDANIE

**K**wartalnik „Cracovia–Leopolis”, wydawany przez Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, w okresie sprawozdawczym ukazywał się regularnie co kwartał do roku 2020, do czasu pandemii. Ze względów organizacyjnych, ale i finansowych, w roku 2020 wydane zostały dwa tomy kwartalnika z podwójną numeracją. Okres zagrożenia epidemiologicznego uniemożliwił organizowanie comiesięcznych spotkań Kresowian w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką”, co spowodowało, że pismo nie docierało do czytelników krakowskich. Trudności organizacyjne spowodowały także i to, że pismo z dużym opóźnieniem dotarło do czytelników w Polsce i na świecie.

Podczas ostatniej kadencji Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich opracowywanie kolejnych kwartalników nie było łatwe. W okresie ostatnich trzech lat ze składu ze-

społu odeszło troje redaktorów: Danuta Trylska-Siekańska, Barbara Szumska i Andrzej Chlipalski – założyciel i wieloletni redaktor naczelny naszego kwartalnika. Przez ten czas do współpracy w redakcji zaprosiłem wiele nowych osób, także spoza Krakowa, z czym można zapoznać się po przeczytaniu stopki redakcyjnej kwartalnika.

W okresie sprawozdawczym reprezentowałem kwartalnik podczas spotkań „Dialog dwóch kultur” w Krzemieńcu, gdzie przedstawiłem historię pisma oraz omawiałem problemy, z jakimi borykamy się, przygotowując pismo do wydania.

Korzystam z okazji, by w tym miejscu w imieniu własnym, redakcji i czytelników złożyć podziękowania Zarządowi Oddziału Krakowskiego TMLiKPW za motywację do działania, dzięki której nasze pismo wciąż się ukazuje mimo trudności organizacyjnych i finansowych.

*Janusz Paluch*

**Sławomir Gowin**

## *Leoś i słodycz egzystencji*

Bardzo się mylił pewien jegomość,  
twierdząc, że byt kształtuje świadomość,  
bo Leoś odkrył, iż w sprawach bytu  
należy trzymać się apetytu

i szukać w życiu tych ingrediencji,  
które wzmacniają smak egzystencji,  
by zmysły zdrowe i ciała syte  
gotowe były do wielkich bitew.

Choć Leoś ceni wódkę i sało,  
uważa, że to troszkę za mało,  
gdyż przykazanie zna jedenaste,  
że nie ma życia bez lwowskich ciastek!

Szczególnie wiosną, kiedy co chwilę  
Leosia wciąga trąba przesileń,  
serce się tłucze, ciśnienie waha –  
– organizm pilnie wymaga ciacha.

Tłumiąc emocje z największym trudem,  
Leoś zajada gdzieś w rynku strudel.  
A dookoła legiony lwiczek!  
A każda fryga lwowski serniczek!

Gdy jednej wpada w dekolt okruszek,  
rozkwita nagle Leoś-świntuszek.  
Wciąż się opycha kawowym keksem,  
lecz wszystko mu się kojarzy z seksem!

Po chwili ona, gryząc pralinę,  
choć przyodziana w niewinną minę,  
też na Leosia łypie, bo czuje,  
że keks się z seksem jakoś rymuje.

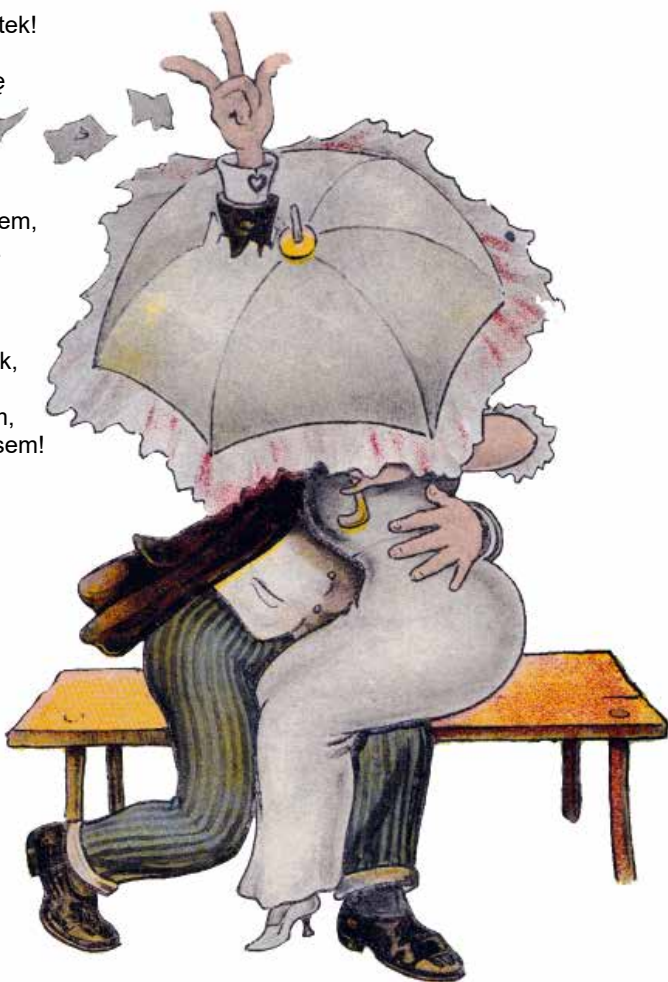
Leoś z eklerkiem! Ona z szarlotką!  
Był ich przenika cudowna słodkość,  
gdy ona chłonie krem z czekoladą,  
a Leoś walczy z wielką roladą.

Jego rozczuła pączek z kruszonką,  
ona się pyszni napoleonką...  
I tu nasz Leoś triumfuje: „O-ho,  
polegniesz ty dzisiaj pod Waterloo!”

\* \* \*

Leoś powiada, że sam Kopernik  
kiedyś we Lwowie siedział w cukierni  
i tu mu właśnie myśl zaświtała,  
że ciało kręci się wokół ciała.

Czym trafił w sedno, albowiem to się  
upowszechniło wkrótce w kosmosie.  
A któż nie liczy się z Kopernikiem?  
No, chyba że jest słodkim piernikiem.



Na I stronie okładki:

widok z Góry Królowej Bony na dawne Liceum Krzemienieckie,  
zwane też Atenami wołyńskimi, założone przez Tadeusza Czackiego,  
działające w latach 1805–1830.

Fot. Janusz M. Paluch

---

Wydawca:

Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Prezes Zarządu:

Stanisław Czerny

---

Rada Programowa:

Stanisław Czerny – prezes Krakowskiego Oddziału TMLiKPW, [dr Stanisław Dziedzic](#) – dyrektor Biblioteki Kraków, dr Karolina Grodziska – dyrektor Biblioteki PAN i PAU, ks. prof. dr hab. Józef Wołczański – Uniwersytet Papieski Jana Pawła II, Katedra Historii XIX i XX wieku, dr Tadeusz Skoczek – dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie, Janusz Paluch – kierownik Działu Animacji i Wydawnictw Biblioteki Kraków

Redakcja:

Piotr Boroń, Paweł Brzegowy, Jarosław Krasnodębski (Warszawa), Anna Madej, Janusz M. Paluch (redaktor naczelny), Michał Piekarski (Warszawa), Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Natalia Tarkowska, Aleksandra Solarewicz, Marta Walczewska

Strona internetowa CL: [www.cracovia-leopolis.pl](http://www.cracovia-leopolis.pl)

oraz [www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/](https://www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/)

Adres redakcji:

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich  
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: [cracovialeopolis@gmail.com](mailto:cracovialeopolis@gmail.com)

Informacje o kwartalniku CL: [cracovialeopolis@gmail.com](mailto:cracovialeopolis@gmail.com), tel. 608 155 693

Konto bankowe Oddziału TMLiKPW w Krakowie:

53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

---

Przygotowanie do druku: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, [fall@fall.pl](mailto:fall@fall.pl)

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiuścacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja nie odpowiada za opinie, stwierdzenia i reklamy, które stanowią wyraz poglądów ich autorów.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

---

# Spis treści

		<b>Książki</b>	
Anna Madej W INTENCJI OBROŃCÓW LWOWA	1	Jerzy T. Petrus NOWY KATALOG LWOWSKIEGO MUZEUM	65
Ks. infułat Bronisław Fidelus TYLKO MI CIEBIE LWOWIE...	1	Paweł Stachnik LWOWSKI PAMIĘTNIK Z WOJENNYCH CZASÓW	67
Stanisława Nowosad WIELKANOC WE LWOWIE	3	Beata Bednarz GALERIA SARMACKICH TYPÓW	72
Stanisław Dziedzic WOŁYŃSKIE ATENY	4	Jerzy Kapłon KILKA WYDAWNICTW O LWOWIE Z CZASU II WOJNY ŚWIATOWEJ	75
Paweł Brzegowy O LWOWIE KSIĄŻĘCYM I KAZIMIERZOWSKIM	10	Piotr Boroń CZARNI LWÓW – KSIĄŻKA O SPORCIE DLA WSZYSTKICH	78
Aleksandra Ziółkowska-Boehm DRAMATY POLSKO-ORMIAŃSKIEJ RODZINY WARTANOWICZÓW	16	Barbara Barnaś O KSIĄŻCE ŚLADAMI PRZODKÓW... AUTORSTWA ROMANA MAĆKÓWKI	79
Anna Stengl PROFESOR WAĆŁAW SZYBAŁSKI (1921–2020) „ZAWSZE W GÓRĘ”	19	Pożegnania STANISŁAW DZIEDZIC (1953–2021)	81
Piotr Boroń JERZY BOŻYK VEL BOŻY JERZYK, LWOWIAK VEL KRAKUS	28	ADAM ZAGAJEWSKI (1945–2021)	82
Jerzy Pączek ROBIMY SVOJE W BOCHNI I WE LWOWIE	33	KONKURS PORTRETY 2020	82
<b>Proza</b>		<b>Sprawozdania</b>	
Karolina Grodziska POZDROWIENIA ZE LWOWA. JUREK BIRNER I ZOŚKA	39	Anna Madej SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI ODDZIAŁU TMLIKPŹ W KRAKOWIE (2017–2020)	83
Piotr Tabasz BŁ. JAKUB STRZEMIEŃ	40	Stanisław Czerny RATUJMY CMENTARZ ŁYCZAKOWSKI WE LWOWIE!!!	84
Zyta Bogusława Turek PIERWSI LWOWIANIE U KRYNICKICH WÓD	43	Anna Stengl ZANIM PANDEMIA POWIEDZIAŁA: SPRAWDZAM!	92
Dominik Filipek MATKA BOŻA ZBARASKA	49	Krystyna Stafnińska Koło Stanisławowian w Krakowie (2017–2020)	93
Marek A. Koprowski KRWAWY NAPAD OUN NA POCZTĘ W GRÓDKU	51	Romana Żuk NASZE PODRÓŻE	94
Antoni Wilgusiewicz SPOŁECZEŃSTWO LWOWA WOBEC POWSTAŃ I PLEBISCYTU NA GÓRNYM ŚLĄSKU (1919–1921)	58	Anna Madej KLUB TARNOPOLAN W KADENCJI 2017–2020	95
Musica Leopoldis Michał Piekarski STO LAT TEMU WE LWOWIE...	62	Janusz Paluch „CRACOVIA–LEOPOLIS” 2017–2020	95
Poezja Stanisław Srokowski	64	Na wesoło Sławomir Gowin LEOŚ I SŁODYCZ EGZYSTENCJI	96